



Philip K. Dick  
**HUMPTY DUMPTY  
W OAKLAND**



FRANK

**Philip K. Dick**

**Humpty Dumpty w Oakland**

Humpty Dumpty in Oakland

Przełożył Jarosław Rybski

## **Spis treści**

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)

Jim Fergesson opuścił szybę swego pontiaka i wystawiwszy łokieć na zewnątrz, wciągał głęboko powietrze wczesnego, letniego poranka. Jadąc wolno San Pablo Avenue, obserwował promienie słoneczne przesuwające się po sklepieniu i chodniku. Wszystko było takie świeże. Takie nowe i czyste. Przeszła tędy machina nocy, wirująca miejska szczotka, zbierając wszystko po drodze — miotła, na którą szły ich podatki.

Zaparkował przy krawężniku, wyłączył silnik i siedział tak przez chwilę, paląc cygaro. Pojawiło się kilka innych samochodów i zaparkowało obok niego. Wozy jechały ulicą. Rozległy się pierwsze dźwięki, odgłosy krzątających się ludzi. W tej ciszy odbijały się metalicznym echem od budynków i betonu.

Ładne mamy dziś niebo, pomyślał. Ale nie potrwa to długo. Zasnuje się później. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej.

Wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiami i poszedł w swoją stronę trotuarem. Po lewej stronie kupcy rozwijali markizy, wykonując skomplikowane ruchy. Jakiś Murzyn spychał szczotką śmieci do rynsztoka. Fergesson ostrożnie lawirował wśród odpadków. Murzyn nie odezwał się słowem...

sprawną poranna miotła.

Przy wejściu do Kalifornijskiej Kasy Pożyczkowej stała gromadka sekretarek. Z kubkami kawy w dłoniach, na wysokich obcasach, wyperfumowane, z kolczykami, w różowych sweterkach i zakietach narzuconych na ramiona. Fergesson chłonał słodką woń młodych kobiet. Śmiechy, stłumione szepty, chichoty, intymne zwierzenia odgradzały je od niego i od całej ulicy. Otwarto biuro i kobiety w szeleście nylonu i poł zakietów weszły do budynku; obejrzał się za nimi z zachwytem. Dobrze jest mieć pracownicę, która przyjmowałaby klientów. Kobieta przydaje przedsiębiorcy klasy, wytworności. Może księgowa? Lepiej taka, którą będą widzieli klienci. Przy takiej mężczyźni nie będą kłąć, tylko żartować i śmiać się.

— Dzień dobry, Jim — usłyszał od strony zakładu fryzjerskiego.

— Dobry — odparł Fergesson, wyciągając rękę za siebie i machając zdawkowo palcami w odpowiedzi na powitanie.

Na wprost znajdował się jego warsztat samochodowy. Wszedł po cementowej rampie z kluczem w dłoni. Otworzył zamek i oburącz podniósł drzwi — zniknęły przy szczęku i zgrzycie łańcuchów.

Krytycznym wzrokiem omiół swój staromodny dobytek. Neon był wyłączony. Wokół wejścia leżały porozrzucane nocne śmieci. Wykopał pusty karton po mleku na chodnik. Potoczył się gdzieś niesiony poranną bryzą. Fergesson schował klucz i wszedł do warsztatu.

Tutaj się wszystko zaczęło. Zmrużył oczy i wypluł pierwszy haust zatęchłego powietrza wiszącego w garażu. Nachylił się i włączył główny przełącznik zasilania. Martwe urządzenia z trzaskiem budziły się do życia. Zablokował boczne drzwi, wpuszczając nieco światła słonecznego.

Zbliżył się do nocnej świetlówki i bezceremonialnie zgasił ją jednym ruchem. Chwycił pręt i odchylił klapę świetlika. Zawieszona wysoko radio zaczęło mruczeć, po czym rozdarło się na cały regulator. Wprawił wiatrak w stan rżęącego rozgorączkowania. Włączył całe oświetlenie, wszystkie urządzenia, iluminowane reklamy. Oświetlił szykowny plakat z oponami Goodrich.

Sprowadził kolor, kształt i świadomość, wytrącając to miejsce z niebytu.

Mrok pierzchnął. Po początkowej krzątaniu odetchnął i spokojnie pozwolił nastać swemu dniowi siódmemu — filiżance czarnej kawy.

Kawa pochodziła ze sklepu i zarazem bistra ze zdrową żywnością tuż obok. Kiedy wszedł do środka, Betty podniosła się, by przynieść dzbanek z kawą z zaplecza.

— Dzień dobry, Jim. Masz dziś od rana dobry nastrój.

— Dobry — powiedział, sadowiac się przy ladzie i wyciągając z kieszeni spodni dziesięciocentówkę. Jasne, że mam dobry nastrój, pomyślał. Mam ku temu powody. Już chciał opowiedzieć Betty o wszystkim, ale się rozmyślił. Nie, nie jej. Ona i tak się dowie.

Musiał to najpierw powiedzieć Alowi.

Przez okno widział, jak parkują samochody. Przechodzą ludzie. Czy ktoś — chociaż jedna — wszedł do warsztatu? Trudno było zobaczyć. Wczoraj wieczorem Al pojechał do domu starym plymouthem zabranym z parkingu, tym zielonym z trzaśniętym błotnikiem. Dlatego pewnie w nim się dziś pojawi, chyba że nie udało mu się go odpalić. Żona mogłaby go popchnąć, a poza tym zawsze mieli w domu kilka wozów. Mógł pojechać prosto na parking.

— Coś jeszcze, Jim? — zapytała Betty, wycierając ladę.

— Nie — odparł. — Szukam Ala. Muszę już iść.

Łyknął kawy. Dostałem żadaną cenę za warsztat, pomyślał. A więc klamka zapadła. Tak się właśnie robi z nieruchomościami: ustala się cenę i jeśli komuś ona odpowiada, zawiera się transakcję. Wystarczy zapytać agenta nieruchomości.

Nie, nie będzie robił scen, pomyślał. Najwyżej rzuci jedno z tych swoich spojrzeń znad okularów. Uśmiechnie się, wydmuchując dym z papierosa. I nic nie powie — to ja będę musiał gadać jak najęty. Przez niego będę się musiał nagadać bardziej, niżbym chciał.

— Słyszałaś chyba — powiedział, kiedy Betty ponownie przechodziła koło niego za ladą. — Sprzedaję warsztat. Ze względów zdrowotnych.

— Nie wiedziałam. Kiedy to się stało? — Aż otworzyła ze zdziwienia pomarszczone usta. — To z powodu serca? Myślałam, że doszedłeś do siebie. Mówiłeś, że lekarz ma wszystko pod kontrolą.

— Jasne, że wszystko jest pod kontrolą — odparł. — Gdybym tylko nie wykończył się przy tych wozach, leżąc na płask i dźwigając skrzynie biegów. Toż to cholerstwo waży ze sto kilo.

Próbowałaś kiedyś coś podnieść, leżąc na plecach? Unieść coś nad głowę?

— A co będziesz teraz robił? — zapytała.

— Powiem ci, co będę robił — rzekł. — Przejdę na zasłużony odpoczynek. Zasłużyłem sobie na to ciężką pracą.

— Oczywiście, ja też tak uważam — powiedziała. — Ale tak sobie myślę... nie próbowałaś diety ryżowej, prawda? Próbowałaś?

— Ryż nie pomaga na moją chorobę — odpowiedział zły na nią i na cały ten wariacki biznes ze zdrową żywnością, pełen warzyw i ziół. — To dobre dla neurotyczek w średnim wieku.

I ona chce mu robić wykłady na temat diety. Ale zabrał kubek, skinął jej głową i wymamrotał coś w podziękowaniu, po czym wyszedł i skierował się z kawą w stronę garażu.

Darzy go sporą sympatią, pomyślał. Ale zaraz przyszło mu do głowy: Kto chciałby się przyjaźnić ze świrami?

Boże, zobaczył starego zielonego plymoutha na parkingu, obok innych starych wozów, które Al szykował do sprzedaży. Przy niewielkim domku z jego banerem. Gdzieś na parkingu zawył głośno silnik, nabierając obrotów. Wrócił, uświadomił sobie. Pracuje. Trzymając przed sobą kubek z kawą, wkroczył do mrocznego, zawilgoconego warsztatu. Zszedł ze słońca. Kroki odbijały się echem w pomieszczeniu.

Stał tam Al.

— Sprzedałem warsztat — powiedział Jim.

— Naprawdę? — zdziwił się Al. Trzymał w dłoni francuza. Wciąż był w marynarce.

— I o tym właśnie chciałem z tobą pomówić — rzekł Jim. — Szukałem cię. Byłem zaskoczony, że ten facet w końcu przystał na moją cenę. Miałem już tego potąd, o czym prawdopodobnie ci już wspominałem. Myślę, że mówiłem o trzydziestu tysiącach, kiedy rozmawialiśmy o tym jakiś miesiąc temu. I wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie mój agent.

Al patrzył na niego, otwierając i zamykając klucz kciukiem. Nie wyglądało na to, żeby się specjalnie tym przejął, ale staruszka trudno było nabrać. Czarne brwi nawet nie drgnęły. Tak samo jak usta. Nie było widać na nich cienia reakcji. Tylko zza szkieł okularów utkwione w nim oczy aż błyszczały. Jakby się nimi uśmiechał.

— Chcesz, żebym wykitował pod jakimś samochodem? — zapytał Jim.

— Nie — odparł po chwili Al. Wciąż bawił się kluczem.

— Nie ma to wpływu na twoją firmę — powiedział Jim. — Ty masz dzierżawę. Zdaje się, że do kwietnia. — Wiedział, że do kwietnia. Pięć miesięcy. — Dlaczego, do diabła, nie miałby jej przedłużyć? Pewnie ją przedłuży.

— Może ją przedłużyć — odezwał się Al.

— Kiedy tu przyszedł — zaczął Jim — nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym terenem.

— Chyba nie zamierza zmienić warsztatu w coś innego?

— A na co można przerobić warsztat?

Ale nie wiedział; nie miał najmniejszej ochoty się przekonywać, ponieważ nic go nie obchodziło, kto będzie go prowadził — nie miało znaczenia, co Epstein z tym zrobi. Mógł sobie spalić budynek, wyłożyć złotymi płytami albo zrobić bar dla zmotoryzowanych. I ta myśl została na dłużej — może faktycznie zrobi tu bar dla kierowców. Mogliby parkować właśnie tutaj. I taki będzie koniec Komisu Samochodowego Ala, kiedy tylko wygaśnie dzierżawa. Ale on przecież może gdzieś te swoje samochody przeprowadzić. Na jakikolwiek plac w Oakland. Pod warunkiem że będzie w dobrym miejscu.

\* \* \*

Później usiadł przy biurku w swoim kantorku. Przez zakurzone szyby wpadało tu słońce, ogrzewając i oświetlając biuro — jedyne suche miejsce w warsztacie, ze stosami faktur, instrukcjami różnych typów wozów i starymi kalendarzami z rozneglizowanymi panienkami reklamującymi Wytrzymałe Panewki i Blachy z Emeryville w Kalifornii. Udawał, że przegląda tabelę punktów smarowania Volkswagena.

Mam trzydzieści pięć tysięcy dolarów, pomyślał, a przejmuję się jakimś najemcą, który być może ucierpi nie z mojej winy. Tacy są ludzie: potrafią wpędzić człowieka w podły nastrój, nawet kiedy powinien się cieszyć. Ten cholerny Al.

Każdy utopiłby w łyżce wody tego, któremu się powodzi, pomyślał. A co miał zrobić po dziesięciu latach? Kiedy byłem w jego wieku, już miałem ten zakład na własność. To tylko najemca. Zawsze będzie tylko podnajmował.

Nie mogę pozwolić, by zepsuło mi to humor, postanowił, bo i tak mam mnóstwo zmartwień.

Muszę się zatroszczyć o siebie, o swoje zdrowie.

To przede wszystkim.

I wszystko to psu na budę. Cała ta praca. Poświęca się człowiek, żeby naprawić ludziom te rupiecie. Mógł już dawno puścić wszystko i dostać takie same pieniądze. Może nawet większe, ale teraz nie mógł czekać. Nie zdołał utrzymać sprzedaży w tajemnicy, jej powodu. Powinien wszystko robić z wolna i z ostrożnością. Ale nie, przyszedł jak człowiek, starając się usprawiedliwić przed pewnymi osobami, o których wiedział, że będą chciały wzbudzić w nim poczucie winy. I tak właśnie

się stało. Można było to przewidzieć.

Wszystkie te lata, pomyślał. A wcześniej różnych innych rzeczy się próbowało. Czy nauczył się czegoś pożytecznego? Ojciec chciał, żeby był farmaceutą. Miał sklep wielobranżowy w Wichita w Kansas. Po ukończeniu szkoły pomagał ojcu, z początku rozpakowując pudła w magazynie, później zajmując się klientami. Ale nie dogadywał się z ojcem, więc rzucił tę robotę i zaczął pracować jako pikolak w restauracji. Potem został kelnerem. A po jakimś czasie wyjechał z Kansas.

W Kalifornii wraz z jeszcze jednym takim prowadził stację benzynową. Obsługa pomp z paliwem przypominała mu nazbyt pracę w sklepie ojca — należało się serdecznie zwracać do ludzi, by chcieli kupić różne towary. Zostawił to zadanie współnikowi, a sam zajął się woskowaniem i naprawami, na tyłach, z dala od wścibskich spojrzeń. Był w tym naprawdę dobry, więc kiedy otworzył własny warsztat, klienci poszli za nim. Niektórzy z nich wciąż się tu zjawiali, prawie dwadzieścia pięć lat później.

Pasuje im to, powtarzał sobie. Przedłużam żywot ich gruchotów. Mogą dzwonić do mnie w dzień czy w nocy; wiedzą, że zawsze ich odholuję albo naprawię wóz na miejscu, na jakimś poboczu. Nawet nie muszą płacić na AAA\*, bo mają mnie. Nigdy ich nie oszukałem ani nie wykonywałem żadnych napraw, które mogły zaczekać. Więc nic dziwnego, pomyślał, że nie ucieszy ich zbyt moją emerytura. Przekonają się, jak to jest z tymi nowymi warsztatami, gdzie wszystko jest czyściutkie, a na powitanie wychodzi jakiś goguś w białym garniturze, z notesem i piórem, i się uśmiecha. Mówią mu, co się popsuło, a on wszystko zapisuje. A później zjawia się jakiś mechanik — związkowiec z palcem w dupie — i zabiera się niespiesznie do ich wozu. I liczy sobie od minuty. Kartka wędruje do kasy, która wyliczy wszystko co do sekundy. Będą bulić mu za kwadransik w sraczu, przerwę na kawę i rozmowę przez telefon z innym klientem. Będą płakać i płacić trzy albo i cztery razy więcej.

Na tę myśl poczuł gniew, że są gotowi zapłacić tyle jakiemuś leniwemu zrzeszonemu mechanikowi, którego na oczy nie widzą ani nie znają. Skoro stać ich na to, dlaczego mnie tyle nie płacą? — zadał sobie pytanie. Nigdy nie kasowałem siedmiu dolców za godzinę. A teraz ktoś inny tyle zarobi.

A jednak wyszedł na swoje. Zawsze miał więcej zleceń niż czasu, szczególnie w ostatnich latach. Zarabia też, wynajmując parking koło warsztatu Alowi Millerowi na używane wozy.

Doradzał mu w sprawach tych jego gruchotów, a Al pomagał mu niekiedy w ciężkich pracach, z którymi sam by sobie nie poradził. Całkiem nieźle im razem szło.

Ale z jakim to człowiekiem musiał spędzać całe dni? Wciąż dręczyło go to pytanie. Z gościem, który pierniczył się ciągle z jakimś wrakiem i sprzedawał może jednego gruchota tygodniowo.

Który dzień w dzień, miesiąc w miesiąc nosił te same brudne dzinsy. Który miał długi u wszystkich i nie stać go było na telefon, po tym jak firma telekomunikacyjna odcięła mu linię za niepłacenie rachunków. I już nigdy nie będzie miał telefonu, do końca życia.

Ciekawe, jak to jest nie mieć telefonu, zastanawiał się. Kiedy po prostu cię na niego nie stać. Ja bym tak nie mógł, stwierdził. Zebrałbym trochę forsy, popłacił rachunki, dogadał się z nimi. W końcu tak zarabiają: sprzedają usługi telekomunikacyjne. Doszliby do porozumienia. Mam pięćdziesiąt osiem lat, myślał sobie. Mam prawo do emerytury, z chorym sercem czy bez. Niech poczeka, aż będzie miał tyle lat co ja. Zobaczysz, jak to smakuje, kiedy człowiek boi się, że wyzionie ducha, ilekroć zmienia koło.

Wtedy przypomniał sobie wizję, która często nachodziła go na jawie. O tym, jak leży pod samochodem, a ten na niego spada. Stara się złapać oddech, wzywać pomocy, ale bezlitosny ciężar napiera na jego klatkę piersiową. Może tylko leżeć, niby żółw czy robak, na wznak. I na to zjawia się Al. Wchodzi do warsztatu jak zawsze, przez boczne drzwi, trzymając część rozdzielacza.

Podchodzi do samochodu. Patrzy w dół. Widzi przygniecionego starszego faceta, który tylko podnosi wzrok, nie mogąc wypowiedzieć słowa. Al tkwi tak jakąś minutę, nie odkładając trzymanej części. Jego wzrok szuka czegoś; spostrzega, że wóz ześliznął się z hydraulicznego podnośnika — koszmar każdego mechanika samochodowego. Albo się ześliznął, albo rozszczelnił się przewód z płynem, albo coś jeszcze innego, tak czy inaczej samochód przygniół starego, i to być może już kilka godzin temu. Stary może jedynie się na niego gapić; nawet nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Ma zmiażdżoną klatkę piersiową. Samochód przygniół go, ale wciąż żyje. Widać jego nieme błaganie o wolność. O pomoc.

Al odwraca się, zabierając część rozdzielacza. Wychodzi z warsztatu.

Siedząc za biurkiem, Jim czuje strach, czuje miazdzący ciężar. Wbija wzrok w tabelę punktów smarowania Volkswagena, następnie omiata spojrzeniem zakurzone okno, kalendarze z rozneglizowanymi dziewczynami, faktury, listę dostawców części. Ale wciąż widzi siebie — jakby z boku — konającego, przygniecionego niczym wielki robak przez — co to w ogóle za maszyna?

— chryslera imperiała. I widzi, jak Al wychodzi.

Całe moje życie, myśli. Odkąd znalazłem się w branży samochodowej, był to mój największy koszmar. Że podnośnik się wyśliźnie. Że będę leżał tak godzinami i nikt nie przyjdzie. Może stanie się to pod koniec dnia, koło siedemnastej. I nikt się nie zjawi aż do rana.

Ale przecież żona zaczęłaby się niepokoić. Gorzej, gdyby stało się to wcześniej.

Nikt by tego nie zrobił, powtarzał sobie. Nikt nie zostawiłby przygniecionego człowieka pod samochodem. Tylko żeby się odegrać. Nawet Al.

Nie mogę mu o tym powiedzieć, pomyślał. On nie okazuje uczuć. Nie wiadomo, co by zrobił.

A po chwili, kiedy tak myślał, pojawiła się wizja, której nigdy wcześniej nie miał. Zobaczył, dokładnie i wyraziście, tę samą scenę, w której Al go znajduje. Ale tym razem Al działa bardzo szybko. Al wyciąga go spod samochodu, biegnie do telefonu, przyjeżdża karetka, wokół słychać rozgorączkowane głosy, lekarze, nosze, droga do szpitala. I Al wciąż jest przy nim, dogląda, czy robią wszystko jak trzeba, pilnuje, żeby pomogli mu najszybciej i najlepiej jak potrafią. I udaje się.

Zdążyli na czas.

Jasne, mógłby właśnie tak postąpić. Potrafi reagować błyskawicznie. Chudzi, tacy jak on, co to nie muszą walczyć z własnym ciężarem, naprawdę potrafią się zwijać jak w ukropie.

Jednak wizja z Alem, który odnajduje go i ratuje, wcale nie poprawiła mu samopoczucia. Było wręcz gorzej. Ale nie wiedział dlaczego. Niech to jasny szlag trafi, pomyślał. Nie musi mnie ratować — potrafię sam o siebie zadbać. Wolałbym już, żeby sobie poszedł. To nie jest w ogóle jego sprawa.

Odłożył tabelę Volkswagena i otworzył notes przy telefonie. Po chwili wykręcił numer swojego agenta, Matta Pestevridesa.

— Halo — powiedział, kiedy sekretarka połączyła go z Mattem. — Słuchaj, jak długo mam tu jeszcze tkwić? Teraz, kiedy już dobiliśmy targu.

— Och, myślę, że jakieś dwa miesiące — odparł Matt radosnym głosem. — Będiesz miał mnóstwo czasu na zwinięcie interesu. Jak sądzę, chciałbyś się pożegnać ze wszystkimi klientami, ze starymi klientami, których znasz od lat. Sam do nich należę.

— Dobra — powiedział i odłożył słuchawkę. Dwa miesiące, pomyślał. Może będę się pojawiał na kilka godzin. I nie będę się brał do niczego ciężkiego. Tylko drobne naprawy... zgodnie z zaleceniami lekarza.



Przed Komisem Samochodowym Ala Al Miller chodził tam i z powrotem z rękami w kieszeniach.

Wiedziałem, że tak będzie, pomyślał Al. Wcześniej czy później. Nie potrafiłby po prostu przekazać komuś tego biznesu. Skoro sam nie może się tym zajmować, pali wszystkie mosty.

I co teraz? — zadawał sobie to pytanie od kilku minut. Bez niego nie będę w stanie latać tych gruchotów. Nie jestem na tyle dobry. Jestem majsterkowiczem, nie mechanikiem.

Odwrócił się i spojrzał na swój parking — stało na nim dwanaście maszyn. Ile mogą być warte? — zapytał się w myślach. Na przednich szybach widniały napisy białą farbą informujące o cenie i innych zaletach samochodów. „Pełna cena \$59. Dobre opony”. I „Buick! Automatyczna skrzynia biegów. \$75”. „Szperacz. Podgrzewacz rozruchowy. Cena do uzgodnienia”. „Dobrze jeździ.

Pokrowce na fotele. \$100”. Jego najlepszy wóz, chevrolet, był wart jedynie sto pięćdziesiąt dolarów. Złom, pomyślał. Powinno się je rozebrać na części. Nie są bezpieczne.

Koło studebakera rocznik 49 buczał prostownik, jego czarne kable niknęły pod uniesioną maską. Tylko tak można je uruchomić, pomyślał. Trzeba mieć przenośny prostownik. Akumulatory, przynajmniej połowa z nich, nie wytrzymają nawet jednej nocy. Nad ranem będą całkowicie rozładowane.

Co rano, kiedy przyjeżdżał na plac, musiał wsiadać do każdego z nich i uruchamiać silnik. W przeciwnym wypadku, gdyby pojawił się klient, nie miałby mu czego pokazać.

Powinienem zadzwonić do Julie, pomyślał. Był poniedziałek, więc miała wolne. Ruszył w stronę warsztatu, ale zatrzymał się w pół kroku. Jak mogę tam rozmawiać? — zadał sobie pytanie. Ale gdyby poszedł do kawiarni i chciał zadzwonić, musiałby zapłacić dziesięć centów. Stary zawsze pozwalał mu telefonować za darmo, więc trudno było mu się pogodzić z perspektywą wydania dziesięciu centów.

Zaczekam, postanowił. Zaczekam, aż się pojawi.

O wpół do dwunastej przy krawężniku zaparkowała jego żona w samochodzie na sprzedaż, starym dodge’u ze zwisającą podsufitką, pordzewiałymi błotnikami i przekrzywioną kratką chłodnicy. Kiedy stanęła, uśmiechnęła się do niego radośnie.

— No i z czego tak się cieszysz? — zapytał.

— A czy wszyscy muszą mieć taką ponurą minę jak ty? — odparła Julie, wyskakując z wozu.

Miała na sobie wypłowiałe dzinsy, w których jej długie nogi wyglądały bardzo szczupło. Włosy związała w koński ogon. W południowym słońcu jej piegowata, nieznacznie zaróżowiona twarz emanowała naturalną pewnością siebie. Zamrugła, podchodząc do niego z torebką pod pachą. — Jadłeś już lunch? — zapytała.

— Stary sprzedał warsztat — odparł Al. — Muszę zwijać interes. — Słyszał ton, jakim to powiedział: złowieszczy jak to tylko być może. Nawet dla niego było jasne, że chciał zepsuć jej nastrój, i nie miał z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. — Więc nie ciesz się tak — rzekł. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie pociągnę tego wszystkiego bez Fergessona. Jezu, co ja wiem o naprawie samochodów? Jestem tylko sprzedawcą. — W największym dole właśnie w ten sposób o sobie myślał: jako o sprzedawcy używanych samochodów.

— A komu sprzedał interes? — zapytała. Nadal się uśmiechała, ale widać było, że już nie jest taka beztraska.

— Nie jestem w stanie ci powiedzieć. Od razu ruszyła w stronę warsztatu.

— Zapytam go — powiedziała. — Dowiem się, co mają zamiar zrobić. Ty nie masz na tyle

rozsądku, żeby się tego dowiedzieć. — Zniknęła we wnętrzu.

Czy powinien pójść za nią? Nie uśmiechała mu się ponowna wizyta u starego. Ale z drugiej strony, to on powinien pogadać z nim na ten temat, a nie jego żona. Więc poszedł za nią, bo wiedział, że dzięki szybkim krokom długich nóg ma nad nim sporą przewagę. I rzeczywiście, kiedy stanął w środku i zdołał przyzwyczać wzrok do półmroku, zobaczył, że jego żona rozmawia już z Fergessonem.

Żadne z nich nie zwróciło na niego uwagi, kiedy zbliżył się wolnym krokiem.

Swoim chrapliwym, niskim głosem stary tłumaczył jej to samo, co już powiedział Ałowi; to samo, niemal tymi samymi słowami. Jakby, zauważył Al, była to wcześniej przygotowana przemowa. Stary powiedział jej, że to życie dokonało za niego wyboru, o czym sama doskonale wie, ponieważ lekarz zakazał mu dalszej ciężkiej pracy przy naprawie samochodów, i tak dalej. Al słuchał tego bez większego zainteresowania, stojąc tak, by widzieć, co się dzieje na zewnątrz, patrzeć na skąpaną w południowym słońcu ulicę, przechodzących ludzi i przejeżdżające samochody.

— Powiem panu, co myślę — rzuciła Julie. — Może i dobrze się stało, bo teraz będzie mógł wrócić na studia.

Na to Al tylko westchnął.

— Jezu.

Stary spojrzał na niego, pocierając spuchnięte i zaczerwienione prawe oko; najwyraźniej coś mu do niego wpadło. Wyciągnął chustkę z kieszeni spodni i zaczął wyłuskiwać to coś jej rogami.

Spoglądał na Ala i Julie z czymś, co według Ala było mieszaniną przebiegłości i nerwowości. Stary już zdecydował — nie tylko, co zrobić z warsztatem, ale również co myśleć o nich. To, czy uważali jego decyzję za słuszną czy nie, nie miało najmniejsze — go znaczenia. Nic go od tego nie odwiedzie. Al znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że stary jest zbyt uparty. Na zmianę decyzji nie mógł wpłynąć nawet kategoryczny ton Julie.

— Mówię pani — wymamrotał stary. — Praca w tej wilgoci i przeciągach to pieskie życie. To cud, że przeżyłem tu tyle lat. Z radością rzucę to w diabły. Zasłużyłem na odpoczynek.

Julie splotła ramiona.

— Mógłby pan w umowie sprzedaży zawrzeć klauzulę, dzięki której mój mąż miałby możliwość dzierżawienia tego terenu od nowego właściciela po tej samej cenie.

Stary przekrzywił głowę.

— No, nie wiem — odparł. — To zależy od mojego agenta. On się wszystkim zajmuje.

Twarz jego żony spurpurowiała. Al rzadko widywał Julie w takiej złości; trzęsły się jej dłonie, dlatego właśnie splotła ręce. Starła się to ukryć.

— Słuchaj pan — odezwała się piskliwie. — Może po prostu zapisałyby pan ten warsztat Ałowi i odwalił kite? Przecież nie ma pan dzieci ani żadnej rodziny.

Zamilkła. Jakby, pomyślał Al, zdała sobie sprawę, że powiedziała coś złego. I było to złe, stwierdził. niesprawiedliwe. Warsztat należał do starego. Ale oczywiście nie docierało to do Julie

— nie przejmowała się takimi drobiazgami.

— Chodź już — rzekł Al. Złapał ją za ramię, odciągnął od starego, który mamrotał coś w odpowiedzi, i poprowadził na zewnątrz, ku ulicy.

— Ale mnie to wkurza — powiedziała, kiedy wyszli już na słońce. — Dementyczny staruch.

— Diabła tam dementyczny — rzekł Al. — To szczwany lis.

— Jak zwykłe bydło — dodała. — Nie liczy się z niczym i z nikim.

— Bardzo wiele dla mnie zrobił — przypomniał jej.

— Jakbyś sprzedał wszystkie samochody na parkingu, ile by to było w gotówce?

— Jakieś pięćset dolców — odparł. Ale w rzeczywistości byłoby nieco więcej.

— Mogę wrócić na pełen etat — stwierdziła.

— Poszukam innego miejsca.

— Mówiłeś, że nie poradzisz sobie bez niego — powiedziała. — Mówiłeś też, że nie masz dość kapitału, by kupić takie samochody, które możesz wystawić bez...

— Zawrę umowę z innym warsztatem — skwitował to Al.

— Czas, żebyś wrócił na studia — oznajmiła Julie. Zatrzymała się i spojrzała mu twardo w oczy.

Według niej powinien skończyć studia. Musiał wytrwać jeszcze trzy lata — studiował rok na Uniwersytecie Kalifornijskim — a wtedy będzie mógł dostać to, co uważała za dobrą posadę.

Powinien wybrać jakiś praktyczny kierunek; jej zdaniem biznes i zarządzanie. Na pierwszym roku nie miał specjalizacji. Uczęszczał tylko na zajęcia z przedmiotów ogólnych, trochę tego, trochę tamtego. Nie podobało mu się to, więc nie wracał na studia.

Po pierwsze, nie lubił przebywać w budynkach. Być może dlatego tak mu odpowiadała praca sprzedawcy używanych samochodów — mógł całymi dniami przebywać na dworze i wygrzewać się w słońcu. I oczywiście sam był sobie szefem. Mógł pójść, dokąd chciał i kiedy chciał, przyjść do pracy o ósmej, dziewiątej lub dziesiątej, wyjść na lunch o pierwszej, drugiej albo trzeciej. Zrobić sobie półgodzinną albo godzinną przerwę, a nawet zjeść w jednym ze swych wozów.

Na środku parkingu postawił z bazaltowych bloków niewielki budynek. Było w nim aluminiowe okno, które dostał na wyprzedaży, podobnie zresztą jak kable, dach i wyposażenie. Wyglądał prawie jak dom i tak o nim myślał — jak o domu, który zbudował własnymi rękami, domu, który należał do niego, do którego mógł wejść, kiedy tylko chciał, i zostać w nim, skryty przed wzrokiem innych, jak długo chciał. Stały w nim grzejnik elektryczny, biurko i szafa z szufladami, w których trzymał ulubione magazyny i firmowe papiery. Czasami pojawiała się tu maszyna do pisania, którą wypożyczał za pięć dolarów na miesiąc. Wcześniej był też telefon, ale zniknął na dobre.

Gdyby się przeprowadzał, gdyby musiał opuścić to miejsce, zabrałby swój dom ze sobą. Należał do niego — był jego własnością, podobnie jak samochody. Ale, w odróżnieniu od samochodów, nie był na sprzedaż. Jeszcze jeden przedmiot, który nie był na sprzedaż i należał do niego, odszedłby wraz z nim. Podobnie jak budynek, był dziełem jego rąk. Na tyłach parkingu, z dala od wścibskich oczu, stał samochód, nad którym ślęczał od miesięcy. Pracował przy nim, kiedy tylko miał wolną chwilę.

Był to marmon rocznik 1932. Miał szesnaście cylindrów i ważył ponad dwie i pół tony. Kiedy jeszcze jeździł, osiągał sto siedemdziesiąt na godzinę. Był to, w gruncie rzeczy, jeden z najwspanialszych samochodów produkowanych w Stanach Zjednoczonych i pierwotnie kosztował pięć i pół tysiąca dolarów.

Rok temu Al natrafił na starego marmona w jakiejś szopie. Samochód był w opłakanym stanie i po kilku tygodniach targów udało mu się go nabyć za sto pięćdziesiąt dolarów, które objęły też dodatkową parę opon. Z tego co wiedział na temat samochodów, po renowacji wóz mógł kosztować od dwóch i pół do trzech tysięcy dolarów. Dlatego też wówczas wydawało mu się, że jest to dobra inwestycja. Ale po roku prac renowacyjnych wyglądał on prawie tak samo jak w dniu zakupu.

Pewnego popołudnia, kiedy pracował nad marmonem, podniósł wzrok i zauważył, że przygląda mu się dwóch kolorowych. Większość przechodniów była tu kolorowa, a on sprzedawał tyle samo wozów Murzynom co białym.

— Cześć — powiedział.

Jeden z Murzynów skinął mu głową.

— Co to? — zapytał drugi.

— Marmon z trzydziestego drugiego — odparł Al.

— O w mordę — rzucił wyższy Murzyn.

Obaj byli młodzi. Mieli na sobie sportowe marynarki, białe koszule bez krawatów i ciemne spodnie. Wyglądali schludnie. Jeden palił papierosa, ten wyższy, który odezwał się po chwili.

— Słuchaj pan — rzekł — może przyprowadziłbym tu ojczulka, żeby się temu przyjrzał.

Spodobałaby mu się taka bryka. Mógłby nią pomykać, kiedy pojedzie na Florydę.

— Taa, jego ojczulkowi spodobałaby się ta bryka — stwierdził drugi Murzyn. Przyprowadzimy go tu, zobaczy pan.

— To okaz kolekcjonerski — powiedział Al, wstając.

Następnie starał się im wyjaśnić, że samochód nie jest na sprzedaż, przynajmniej nie z powodów, które by zrozumieli. To nie jest zwykły środek transportu, wyjaśniał. To drogocenne dziedzictwo przeszłości, jeden ze wspaniałych starych wozów turystycznych, pod wieloma względami najwspanialszy z nich wszystkich. Kiedy im to tłumaczył, spostrzegł, że jednak go rozumieją — zrozumieli go bezbłędnie. Był to właśnie taki wóz, jakim ojczulek wyższego z nich chciałby pomykać na Florydę. I kiedy Al zastanowił się nad tym głębiej, zrozumiał ich racje. Tylko że wóz miał ponad trzydzieści lat i nie był na chodzie. Tak naprawdę ostatni raz jeździł przed drugą wojną światową.

— Uruchomisz pan brykę, to może ją kupimy — rzekł wyższy Murzyn. Obaj byli śmiertelnie poważni: co chwila kiwali głowami na potwierdzenie swych słów. — Ile pan chcesz za niego? — zapytał wyższy. — Po wiele ta bryka, oczywiście, jak zacznie jeździć?

— Jakieś trzy tysiące dolarów — odparł Al. — I taka była prawda. Tyle mógł być wart.

Mężczyźni nawet nie mrugnęli.

— No, to jakoś tak będzie — powiedział wyższy i przytaknął. Wymienili spojrzenia, kiwając do siebie głowami. — Mniej więcej tyle, ile myśleliśmy — dodał. — Oczywiście nie damy wszystkiego naraz. Bank nam to załatwi.

— No właśnie — potwierdził drugi. — Wyłożymy sześć stów, a resztę przy odbiorze.

Póki co, dwaj Murzyni poszli sobie, zapewniając ponownie, że wrócą z ojcem wyższego.

Oczywiście nie spodziewał się, że ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy Ale o dziwo, wrócili na drugi dzień. Tym razem w towarzystwie niskiego, korpulentnego starego Murzyna w kamizelce, z której zwisała srebrna dewizka, i w wyglancowanych czarnych butach. Młodzieńcy pokazali mu marmona i mniej więcej powtórzyli to, co usłyszeli od Ala. Po zastanowieniu staruszek zdecydował, że nie odpowiada mu ten samochód, a to z powodu, który według Ala był niezwykle logiczny. Uważał, że trudno im będzie znaleźć odpowiednie opony do wozu, szczególnie na autostradzie między większymi miastami. I tak w końcu staruszek podziękował mu bardzo oficjalnie i zrezygnował z zakupu.

Spotkanie to utkwilo Alowi w pamięci, być może dlatego, że później często widywał tych Murzynów. Była to rodzina Dolittle, starszemu panu ze srebrną dewizką zaś powodziło się nad wyraz dobrze. A przynajmniej jego żonie. Pani Dolittle była właścicielką domów czynszowych i apartamentowców w Oakland. Niektóre z nich znajdowały się w dzielnicach białych i wynajmowała je za pośrednictwem zarządcy białym lokatorom. Dowiedział się o tym od dwóch młodych mężczyzn i po jakimś czasie właśnie przez tych ludzi wynajął dużo lepsze mieszkanie dla siebie i Julie. Mieszkali obecnie w odnowionym dwupiętrowym drewnianym budynku przy Pięćdziesiątej Szóstej, nieopodal San Pablo; zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze i płacili jedynie trzydzieści pięć dolarów miesięcznie.

Powody tak niskiego czynszu były dwa. Po pierwsze, ich budynek nie stał w dzielnicy jakiegś konkretnej grupy narodowościowej — parter zajmowała murzyńska rodzina, a na drugim mieszkali Meksykanie z dzieckiem. Nie miał nic przeciwko życiu pod jednym dachem z Murzynami czy Meksykanami, przeszkadzało mu co innego. Kanalizacja i instalacja elektryczna były w tak opłakanym stanie, że inspektorzy budowlani Oakland byli o krok od podjęcia decyzji o przeznaczeniu budynku do rozbiórki. Czasami przez spięcie w kablach pod tapetą nie mieli kilka dni prądu. Kiedy Julie prasowała, ściana była tak gorąca, że nie można jej było dotknąć. Wszyscy mieszkańcy byli przekonani, że z budynku wkrótce zostaną zgliszczą, ale większości nie było w nim za dnia i zdaje się, myśleli, że dzięki temu są względnie bezpieczni. Pewnego razu przerdzewiało dno termy i woda zalała palniki gazowe, a następnie meble i dywany Julie. Pani Dolittle odmówiła refundacji szkód. Prawie miesiąc musieli obywać się bez ciepłej wody, aż w końcu znalazła jakiegoś domorosłego hydraulika, który wstawił kolejną wysłużoną termę za dziesięć czy jedenaście dolarów. Pani Dolittle miała wykonawców, którzy tak łatali budynek, że miasto nie mogło natychmiast go zaplombować; dzięki nim wszystko toczyło się starym rytmem.

Żywiła nadzieję, jak słyszał, że pewnego dnia sprzeda dom, a ten od razu pójdzie do rozbiórki.

Sądziła, że mógłby powstać tam parking, bo za rogiem znajdował się supermarket.

Dolittle'owie byli pierwszą murzyńską rodziną z klasy średniej, jaką znał czy też o jakiej słyszał.

Odkąd przyjechał do Bay Area z St. Helena, nie spotkał bogatszych ludzi, a pani Dolittle — która osobiście prowadziła interes wynajmu lokali — była równie wredna i skąpa jak wszystkie właścicielki, z którymi przyszło mu się w życiu borykać. Fakt, że była Murzynką, w najmniejszym stopniu nie wpływał na jej humanitaryzm. Nie dyskryminowała żadnej rasy — traktowała tak samo źle wszystkich, i czarnych, i białych. Pan McKeckney, Murzyn mieszkający na parterze, powiedział mu, że kiedyś była nauczycielką. I wyglądała jak rasowa nauczycielka: drobna staruszka o siwych włosach i ostrym spojrzeniu, w długim płaszczu, kapeluszu, rękawiczkach, ciemnych rajstopach i w butach na wysokim obcasie. Zawsze ubierała się tak, jakby szła do kościoła. Od czasu do czasu wdawała się w karczemne awantury z innymi najemcami w budynku, a jej ostry, wysoki głos przenikał przez podłogę bądź sufit, w zależności od tego, gdzie przebywała. Julie bała się jej, dlatego zawsze on z nią rozmawiał. Jego pani Dolittle nie przerażała, natomiast jej widok sprawiał, iż zaczynał się zastanawiać nad wpływem, jaki bogactwo wywiera na ludzką duszę.

W odróżnieniu od Dolittle'ów, McKeckneyowie nie posiadali niczego. Mieli wypożyczone pianino, na którym blisko sześćdziesięcioletnia pani McKeckney uczyła się sama grać z podręcznika *Pierwsze kroki na pianinie autorstwa Johna Thompsona*. Późno w nocy słuchał raz za razem menueta Boccheriniego, który wykonywała z zapamiętaniem, kładąc równy nacisk na każdą nutę.

W dzień pan McKeckney siedział przed domem na skrzynce po jabłkach, którą pomalował na zielono. Później ktoś mu dał krzesło, pewnie ten wielki Niemiec, który handlował używanymi meblami na ich ulicy. Pan McKeckney tkwił całymi godzinami na brzeżku krzesła, kłaniając się każdej przechodzącej osobie. Z początku Al był zadziwiony ekonomicznymi umiejętnościami McKeckneyów, bo nie widział, żeby którekolwiek z nich pracowało. Pan McKeckney nigdy nie opuszczał domu, a pani McKeckney, chociaż spędzała większość czasu w mieście, przeważnie robiła zakupy, odwiedzała znajomych albo działała na rzecz Kościoła. Później jednak Al dowiedział się, że wspierają ich finansowo dorosłe już dzieci. Utrzymywali się, co z dumą zakomunikował mu pan McKeckney, za osiemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc.

Kiedy McKeckneyów odwiedzał ich wnuczek, bawił się sam na chodniku albo na pustym placu na rogu. Nawet nie próbował się przyłączyć do watahy dzieci, które cały rok kręciły się po

okolicznych zaułkach. Miał na imię Earl. Był bardzo cichy, rzadko odzywał się nawet do dorosłych.

Pojawiał się o ósmej z poważną miną, ubrany w wełniane spodnie i sweter. Miał bardzo jasną skórę i Al doszedł do wniosku, że ma sporą domieszkę białej krwi. McKeckneyowie zostawiali go samemu sobie i chyba zasługiwał na takie zaufanie; trzymał się z dala od ulicy i nigdy niczego nie podpalał, w przeciwieństwie do większości dzieci z sąsiedztwa, białych, czarnych i śniadych. W

istocie wyróżniał się na ich tle ze swym niemal arystokratycznym wyglądem, co skłaniało Ala do rozważań na temat jego pochodzenia.

Jedynie raz słyszał, jak Earl podniósł głos w gniewie. Po drugiej stronie ulicy mieszkało dwóch małych, białych łobuzów, którzy mieli niewiele w głowie i mnóstwo wolnego czasu. Byli w tym samym wieku co on. Kiedy coś ich naszło, potrafili zbierać zielone owoce, butelki, kamienie i grudki błota i ciskać nimi w Earla stojącego w milczeniu przed domem. Pewnego dnia Al usłyszał, jak zaczęli wołać swymi piskliwymi głosikami:

— Ej ty, ale masz paskudną starą.

Powtarzali to raz za razem, a Earl stał tylko, piorunując ich wzrokiem, z rękami w kieszeniach i coraz bardziej zaciętą miną. W końcu kpiny przebrały miarę i zareagował.

— Uważajcie, chłopaczki — zawołał głębokim głosem. — Uważajcie na siebie, malutkie paskudy.

Wystarczyło. Biali chłopcy odeszli.

Wspomnienia, różne myśli przepęłniły Ala. Przypominał sobie ludzi, którzy przychodzili na parking oglądać samochody — młodziaków bez pieniędzy, robotników, którzy potrzebowali środka transportu, młode pary; kiedy tak stał z żoną przed warsztatem, myślał właśnie o nich, a nie o tym, co mówiła Julie. Mówiła o swej posiadce sekretarki w Western Carbon and Carbide — przypominała mu o chęci rzucenia tego pewnego dnia. Będzie musiał zarabiać o wiele więcej, by jej to umożliwić.

— Chowasz się przed życiem — podsumowała Julie. — Patrzysz na nie przez malutką dziurkę.

— Może i tak — powiedział załamany.

— Musisz się wynieść z tej obskurnej dzielnicy. — Wskazała ulicę z małymi sklepami, zakładem fryzjerskim, piekarnią, firmą udzielającą pożyczek i barem po drugiej stronie. Oraz zakładem zajmującym się płukaniem jelit, którego szyld zawsze ją irytował. — I chyba już nie zniosę tej szurzej nory, w której mieszkamy, Al — rzuciła, po czym dodała łagodniejszym głosem: — Ale nie chcę wywierać na ciebie presji.

— Dobra — powiedział. — Może powinienem sobie zrobić płukanie jelit. Cokolwiek to znaczy.

Tego wieczoru, kiedy Jim Fergesson podszedł po betonowych schodach do drzwi swego domu, roleta za szybą zadrżała, przesunęła się w bok, a zza niej wyjrzało żwawe, czujne oko. Drzwi otworzyły się z rozmachem. Stała w nich jego żona Lydia, trajkocząc z zadowoleniem i czerwieniąc się, jak zawsze kiedy wracał do domu; był to nawyk, który można chyba było przypisać jej greckiemu pochodzeniu. Pospiesznie wprowadziła go do przedpokoju, trajlując cały czas.

— Och, jestem taka szczęśliwa, że w końcu wróciłeś. No i co tam ci się dzisiaj przydarzyło?

Słuchaj, a wiesz, co ja zrobiłam? Wiesz, jak lubię sprawiać ci przyjemność, a to ci na pewno zasmakuje. No to zgadnij, co dzisiaj włożyłam dla ciebie do piekarnika i właśnie dochodzi!

Pociągnął nosem.

— Kurczak, duszony kurczak w szpinaku — rzekła i zaśmiała się, idąc przodem w głąb domu.

— Nie jestem dziś specjalnie głodny — powiedział. Odwróciła się.

— Widzę, że masz zły humor.

Zatrzymał się przy szafie, by powiesić kurtkę. Sztywne palce z trudem radziły sobie z tym zadaniem, co Lydia obserwowała z zaniepokojeniem spłoszonego ptaka.

— Ale teraz jesteś w domu, więc nie ma powodu się boczyć — stwierdziła Lydia. — No, nie mam racji? Stało się coś dzisiaj? — Momentalnie się zaniepokoiła. — Nic się nie stało, mam nadzieję. Wiem z całą pewnością, że nic się nie mogło stać.

— Miałem tylko małe spięcie z Alem. — Minał ją w drodze do kuchni. — Rano.

— Ach — jęknęła, kiwając ze smutkiem głową na znak, że rozumie, o co poszło. Przez te wszystkie lata nauczyła się wyczuwać i podchwytować jego nastroje, solidaryzować się z nimi — przynajmniej na zewnątrz — by nawiązać z mężem nić porozumienia.

Angażowała się w pełni w dyskusje na temat jego problemów, a czasami wyluskiwała szczegóły, które umknęły jego uwagi. Lydia kiedyś studiowała. Nawet teraz uczyła się na kursach korespondencyjnych. Ponieważ знаła grekę, była w stanie tłumaczyć teksty filozoficzne. Znała również łacinę. Jej smykałka do języków obcych zawsze robiła na nim wrażenie, ale z drugiej strony nie potrafiła prowadzić samochodu, choć uczęszczała na kursy jazdy.

Mimo to wysłuchiwała wszystkiego, co miał do powiedzenia o samochodach, choć wiele terminów było dla niej pustymi słowami. Zawsze pilnie słuchała tego, co mówił, bez względu na temat.

Stół we wnęce jadalnej był nakryty. Lydia poszła do kuchni, by wyciągnąć brytfannę z piekarnika. Fergesson usadowił się na wbudowanej ławce i zaczął rozwiązywać sznurówki.

— Może bym kąpiel wziął? — powiedział. — Przed kolacją?

— Oczywiście — odparła Lydia, momentalnie wkładając ponownie brytfannę do piekarnika. — Bez wątplenia poczujesz się wtedy bardziej pogodzony ze światem.

Poszedł więc do łazienki, by się wykąpać.

Gorąca woda spływała po nim z głośnym szumem; zostawił włączoną tylko z powodu hałasu, z jakim wyciekała z kranu. Tutaj, za zamkniętymi drzwiami, przy unoszącej się wokół parze i szumie wody, wreszcie się odprężył. Zamknął oczy i pozwolił sobie nawet unosić się na powierzchni w prawie całkiem napełnionej wannie. Kafelki iskrzyły się od skroplonej pary wodnej. Ściany i sufit pokryły się wilgocią; łazienka zaszła parą, przez co sprzęty zatraciły kontury, stały się słabo widocznymi, wilgotnymi przedmiotami. Jak w prawdziwej saunie, pomyślał. W szwedzkiej saunie, gdzie obsługa tylko czeka, by podać biały szlafrok czy ręcznik. Oparł ramiona na brzegach wanny i palcami stóp przykręcił kran. Wartki strumień zmienił się w strumyczek — dopasował idealnie ilość

wody wpadającej do wanny do ilości uciekającej przez odpływ.

Tutaj, teraz, z dala od warsztatu, zamknięty w ciepłe i wilgoci doskonale znanej łazienki — mieszkał w tym domu już szesnaście lat — poczuł, jak odpływają wszystkie jego troski. Cóż to był za solidny stary dom, z prawdziwymi parkietami i szafami o przeszklonych drzwiach. Przez lata drewno stwardniało niby żelazo nasączone płynami przeciwko termitom, którymi nacierał je wczesną jesienią. Nakładane na deski warstwy farby stały się drugim domem, chroniącym ten pierwszy, wewnętrzne domostwo z drewna. Nawet ów sztuczny dom, który tworzył przez lata, nanosząc warstwę za warstwą, wystarczyłby aż nadto — w końcu osy budują swoje gniazda z papieru i nikt ich nie nachodzi.

Dom, w którym mieszkał, nie był z papieru. Niech spadają te świnię. Ta trójka; dałem im do wiwatu. Mogłem im powiedzieć to czy owo, nawet temu ostatniemu — świni, która dostała kredyt na budowę. Ile jego dom może wytrzymać? Ten będzie tu stał jeszcze długo po nim. W tamtych czasach, w latach trzydziestych, budowano naprawdę. To budynek przedwojenny — żadnej sklejki.

I leżąc tak w wannie i bawiąc się palcami stóp armaturą, zaczął się zastanawiać. Myślał — pozwolił, by jego myśli podryfowały w tym kierunku — o starym problemie. Dotarło do niego, że istnieje coś takiego jak zysk.

Tak, pomyślał, popatrzcie tylko. Mam trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Jaka to kupa forsy. I nic nie muszę robić. Już po zawodach, wszystko jest na papierze. Leżę sobie w wannie i spokojnie czekam, a termin się zbliża. Mogę teraz na to liczyć i nawet nie muszę się starać.

Więc teraz nie musiał już martwić się pracą. Przez lata ta praca wciskała mu się uporczywie do mózgu. Mogą sobie wziąć te swoje gruchoty, pomyślał, i wsadzić do dupy.

Już nigdy tam nie wrócę, postanowił. Do warsztatu. Chyba zostanę w domu.

Nic mnie nie zmusi, by tam wrócić, pomyślał. I z gniewem spoglądał na tych, którzy chcieli ponownie go tam zaciągnąć; poczuł prawdziwą nienawiść.

Co ja zrobię z taką forszą? — zadał sobie pytanie. Z tą bajońską sumą, małą fortuną? Powiem ci, co zrobię: dam ją żonie. Ta wielka kwota jest zapłatą za wszystko, co zrobiłem w życiu — ja kopnę w kalendarz, a ona będzie ją wydawać. Przecież nawet tyle nie potrzebuje.

Czy stała u mego boku? — pytał się w myślach. Pracowała ze mną? Nawet jeśli tak było, to ja tego nie widzę. Wspierała bibliotekę publiczną w Oakland, a nie mnie. Tak samo Uniwersytet Kalifornijski i tych profesorów, a szczególnie studentów w swetrach. Wszyscy oni ładnie się ubierają i regularnie przycinają paznokcie. Mają mnóstwo czasu i szkolą się, by mieć go jeszcze więcej.

Jego uwagę przyciągnęło nieznaczne poruszenie przy drzwiach łazienki. Gałka się przekręciła, ale drzwi ani drgnęły, zamknięte na zamek.

— No co jest?! — wrzasnął.

— Chciałam... — Szum wody zagłuszał jej głos. Zakręcił ciekący kran.

— Zamknięte! — krzyknął.

— Masz czysty ręcznik?

— Mam — odparł.

— Kolacja na stole — odezwała się po chwili. — Chciałam, żebyś zjadł, póki ciepłe.

— Dobra — odparł. — Zaraz wychodzę.

Później usiadł naprzeciwko Lydii i zaczął jeść zupę. Jak zwykle nakryła ładnie do stołu, postawiła świece na białym obrusie i położyła płócienne serwetki. Założyła również biżuterię — naszyjnik. Przypudrowała różem policzki. Jej ciemne oczy błyszczały i uśmiechnęła się do niego, kiedy tylko zauważyła, że na nią patrzy.



— Skąd ta ponura mina? — zapytała. — Czy nie lepiej byłoby dla ciebie i dla całej ludzkości, gdybyś przybrał miłszą powierzchowność? — Kiedy nie odpowiedział, Lydia ciągnęła: — Bo taki nastrój dosięga w końcu twojej jaźni, przynajmniej według wspaniałej teorii psychologicznej Williama Jamesa i Langa.

— Dowiedziałaś się tego na tych twoich zajęciach? Pospiesznie, nie mając zamiaru psuć sobie dobrego nastroju, odpowiedziała:

— Tak, dowiedziałam się tego na moich zajęciach, panie Straszny Ponuraku.

Będzie walczyć o jego radość do ostatniej kropli krwi. Widział to wyraźnie. Jej uśmiech promieniał, podsycany determinacją, na przekór i wbrew nastrojowi męża. Za wszelką cenę, pomimo wszystko, stała zawsze na straży swego życiowego credo, a on nie miał pola manewru.

W tym domu, pomyślał, w moim domu, nie wolno mi nawet mieć złego nastroju. Przynajmniej otwarcie. Jest zakazany. Jak brud.

Trzeba go wymieść za drzwi.

Poruszała się teraz nieco szybciej. Jej dłonie wędrowały od maselniczki przez filizankę z kawą do serwetki. Jaka chyża, pomyślał. Czy ta chyżość nie zmarnuje się, kiedy będę już kwiatki wachał od spodu? Będę wachał, ale łopian, stwierdził. Wyobrażam sobie, jak staje nad moją mogiłą z naręczem ogrodowych kwiatów, z różami i innym zielskiem, a tu łopian rośnie aż miło. Zaśmiał się.

— Aha — odezwała się gardłowym głosem.

Kiedy tak ją obserwował, dotarło doń, że jest od niego dużo młodsza. Oczywiście wiedział o tym, zawsze miał tego świadomość. Ale zwykle się nad tym nie zastanawiał. Jej dłonie. Wciąż gładkie. Cóż, nie musiała ich szorować cztery razy dziennie pastą przemysłową. A kto zajmował się parkietami? Dwa razy w tygodniu przychodziła do niej kolorowa dziewczyna — to ona odwaliała czarną robotę, najcięższą i najbrudniejszą. Lydia tylko odkurzała, zmywała i robiła zakupy, gotowała coś tam i resztę czasu poświęcała na naukę.

— Czego się nauczyłaś? — spytał. — Znaczą, dzisiaj.

— Interesuje cię to? — zapytała rozradowanym głosem.

— Jasne — stwierdził. — Skoro za to płacę.

— Pieniądze — prychnęła — są wykładnikiem wartości w społeczeństwie barbarzyńców, którzy ujawniają swoją prawdziwą naturę, kiedy stają przed świętą tablicą w świątyni ze złota. — Utkwiła w nim wzrok. W jej oczach nie było nieśmiałości.

— Pewnego dnia sama zmienisz się w takiego barbarzyńcę po byku — rzekł.

Oczy ani drgnęły. Obserwowały.

— Trzydzieści pięć tysięcy — powiedział z taką wściekłością, że przynajmniej przestała się uśmiechać. — Może byś założyła fundację? Fundację Fergessona na rzecz Wspierania Obiboków.

Będzie płacić nierobom za spanie cały dzień. — Podniósł głos. — W salonie! Na kanapie! — wykrzykiwał skrzekliwie. — Tu, w moim domu!

Nie odezwała się. Tylko patrzyła.

— Może pójde do Louisa Malzonego — mówił dalej. — Mojego prawnika. Przy odrobinie wysiłku mógłbym zainwestować pieniądze w obligacje. — Ale po co? — pytał się w myślach. I tak w końcu ona je dostanie, za nic, za to, że nic nie robi. A co on dostanie za wszystko, co zrobił w życiu?

Poczuł się zmęczony. Zjadł bułkę posmarowaną masłem — prawdziwym masłem. Przez cały czas Lydia nie spuszczała z niego wzroku.

— Powiedz, co to było za śpięcie z Alem — powiedziała. Nie odezwał się słowem. Jadł w milczeniu.

— To ten incydent jest odpowiedzialny za wykoślawienie u ciebie obrazu rzeczywistości — stwierdziła.

Zaśmiał się.

— Ten mężczyzna — ciągnęła — już samym zachowaniem obrazuje swoje zmarnowane życie.

A jego stosunek do innych przekłada się na własną wewnętrzną rzeczywistość. Kiedy wraz z żoną

— którą, jak wiesz, cenię nad wyraz — pojawili się w tym domu pewnego niedzielnego popołudnia, wrażenie to jeszcze się spotęgowało.

— Jakie wrażenie?

— Nie domyślasz się, jakie mam odczucia? — spytała Lydia. — Nie jestem w stanie dociec dlaczego. Wiem, że w przeszłości dyskusja z tobą na ten temat szła dość opornie. Od jak dawna wynajmuje od ciebie plac, żeby trzymać tam te swoje samochody? Będzie już sporo lat. W tym okresie uwidoczniły się u ciebie zmiany. Nie ma tu mowy o przypadku. O czym wspomniałam, kiedy pojawiłeś się wieczorem w domu? Że jesteś w złym nastroju. Czym on jest w twoim życiu?

Wyznacznikiem skrajnej, beznadziejnej głupoty. Ten człowiek robi z siebie głupca. Ale to ty z niewiadomych powodów winisz się za to, nie będąc w najmniejszym stopniu za to odpowiedzialny.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że mierzy w niego palcem ze srogą miną.

— Ponieważ — ciągnęła — chociaż to on zepsuł swoje życie całkowitą inercją, sprawił, że czujesz się, jakbyś był mu coś winien, ale w gruncie rzeczy powinieneś mu pozwolić odejść.

Powinieneś go odstawić od siebie.

— Tylko dlatego, że ma niechlujny wygląd — powiedział Fergesson.

— Co takiego, kochanie?

— Jezusie Nazareński! — wypalił. — Potknął się o tę cholerną popielniczkę. Może o to chodzi.

Dorabiasz teorię do drobiazgów, a wiesz, o co chodzi? Tylko o to, że gdy pierwszy raz tu przyszedł, potknął się o popielniczkę. I o to, jak się nosi.

— Wybacz mi — odparła Lydia. — Ale ja wiem swoje, kochanie. To człowiek pełen pogardy.

No sam powiedz. Jakie są jego preferencje?

Nie zrozumiał; jego żona weszła na tory swej szybkiej greckiej retoryki, a kiedy tak się działo, kiedy zaczynała mówić w ten sposób, większość treści mu umykała.

Lydia wyjaśniła, o co jej chodziło.

— Do jakiego uczęszcza kościoła?

— A skąd mam wiedzieć — rzucił.

— Do żadnego — odparła za niego.

— Może i do żadnego — zgodził się.

— Czy wiesz — kontynuowała — że według Freuda to, co człowiek sądzi o Bogu, jest w istocie odzwierciedleniem jego stosunku do ojca? A człowiek, który nie potrafi odnaleźć w sobie właściwego szacunku dla Ojca Niebieskiego, co jest odpowiednim terminem, nie ma na tym łez padole ojca, na którym mógłby się oprzeć. Chcę wiedzieć, co myślisz na ten temat. Jak jednostka staje się prawdziwym człowiekiem? Dzięki rodzinie. To w rodzinie dorasta roześmiany berbec. A kto spogląda na niego znad krawędzi błogosławionej kołyski?

— Jego matka — odparł Fergesson.

— Jego matka — potwierdziła Lydia — którą poznaje poprzez pierś, źródło wiecznej obfitości.

— Dobra — zgodził się — ale też ją widzi.

— Doświadcza jej jako nektaru — odparła Lydia — który jest pożywieniem bogów. Tymczasem od ojca niczego nie dostaje. Między nim a jego ojcem jest rozdział. A między nim a jego

matką jedność. Rozumiesz?

— Nie — odparł.

— Ojciec — powiedziała — reprezentuje całe społeczeństwo i stosunek człowieka do niego.

Kiedy to otrzymuje, nigdy z tego nie wyrasta. Ale jeśli nie ma tego na początku, nigdy nie jest mu dane otrzymać tego w późniejszym życiu.

— Czego? — zapytał.

— Zaufania i nadziei — odparła Lydia.

— Poddaję się — przyznał Fergesson. — Wydaje mi się, że oprócz zajęć z Platona powinnaś jeszcze pójść na angielski.

— Wiem — powiedziała — że gdyby tkwił w tobie szczęśliwszy człowiek, nie patrzyłbyś w przyszłość z taką obojętnością. Co pomyślałby na twoim miejscu ktoś inny, przechodząc na zasłużony odpoczynek z takim bogactwem? Pozwól, że ci to opiszę jednym słowem, kochanie.

Czułby radość.

— Radość — powtórzył jak echo, choć z nutą goryczy i rozbawienia.

— Radość jutra — dodała Lydia.

— Chory jestem — powiedział. — Zmęczony i chory. Zapytaj lekarza. Zapytaj doktora Fratta.

Zadzwoń do niego. W końcu zadzwoń do niego i poznaj fakty, zamiast wyjeżdżać mi tu z tą całą filozofią. Na mój koszt! Co ja mam zrobić? Zacząć chodzić z tobą na te twoje zajęcia? Czytać tych wszystkich facetów? Co ty tam wiesz. Chciałbym zobaczyć, jak coś naprawiasz, cokolwiek, wtyczkę od lampy. Napraw, a potem wyjeżdżaj mi z czymś takim.

— Bardzo przypominasz tego człowieka — powiedziała. Mruknął coś i siedział, pocierając czoło.

— Jest częścią ciebie — stwierdziła. — Ale ty jesteś kimś więcej. On tego w ogóle nie ma. Nosi w sobie tylko zarzewie porażki. Bo brak mu wiary.

W końcu Jim wrócił do kolacji — zjadł zupę i odgarniał łyżką miękkie, bezbarwne kości duszonego kurczaka.

\* \* \*

Po kolacji Jim Fergesson zrobił to, co w ostatnich latach stało się dla niego całkowicie naturalne.

Włączył telewizor i przysunął do niego zbyt mocno wypchany fotel.

No nie, znowu, powiedziałyby jego żona, gdyby była w domu. Ale dziś wieczorem Lydia miała seminarium i przyjechał po nią samochód; zatrąbił raz i zniknęła z książkami, w płaszczu i butach na płaskim obcasie. Dlatego nie mogła w ten sposób powiedzieć.

Zamiast niej sam sobie to powiedział w myślach.

Na ekranie Groucho Marx obrażał mężczyznę w garniturze, który szczyrzył do wszystkich zęby w uśmiechu. Bez względu na to, co Groucho mówił, on dalej się uśmiechał. Oglądając film, Jim Fergesson poczuł, że miota nim niepokój. W końcu wyłączył odbiornik.

Czy tylko to mają? — zadał sobie pytanie. Pospiesznie wyłączył ponownie telewizor i zaczął sprawdzać, co jest na innych kanałach. Westerny, dyskusja panelowa... wyłączył go. Banda głupków, pomyślał. Szczególnie drażniły go te cioty, ci uśmiechnięci faceci, którzy nadskakiwali babkom, podawali półmiski z przekąskami i całowali staruszki w policzek. Zadawali kretyńskie pytania w jakichś kwizach. Ale sprytnych łajdaków mają w tej telewizji, pomyślał. Dobrze, że to wyłączył. Szczególnie tego jednego, tego ę-ą, bułkę przez bibułkę. Co to za oszust. Lydia bardzo lubiła tego faceta, tego VanDorena. Naprawdę potrafił wszystkich zwieść, pomyślał stary. Ale mnie tam nie

nabierze swoimi manierami. Kawał wykształconego gnoja. Uczą ich tam, jak oszukiwać innych.

Podszedł do szafy i wyciągnął kurtkę. Zrobił coś, co choć nieczęsto, zdarzało mu się już.

Zamknawszy drzwi do domu (jak nie wzięła klucza, to sama sobie jest winna), zszedł po schodach i wsiadł do samochodu. Chwilę później jechał już ciemną ulicą w stronę San Pablo Avenue, do swego warsztatu.

Tego właśnie powinni uczyć na studiach, myślał po drodze. Dawać wiedzę, żebyś mógł poznać się na dobrym człowieku, jeśli takiego spotkasz na swej drodze. Ale nie, wystarczy spojrzeć na Lydię zabujaną w tym Van Dorenie. A taki Alger Hiss. Jak wszyscy chodzili u niego na pasku przez ten arystokratyczny wygląd, pociągłą twarz, godność, szyk i wychowanie, mimo że był szpiegiem komunistów... nawet Stevenson dał się nabrać. Mogliśmy mieć prezydenta, który oddałby nasz kraj pedałom w sztuczkowych portkach, tym z Departamentu Stanu, po Harvardzie.

Jedynym, który go przejrzał, był stary Joe, ale go dopadli, bo był zbyt szczery. Nazywał rzeczy po imieniu.

Joe McCarthy, pomyślał, na wylot przejrzał kłamstwa i oszustwa, jakie toczyły to społeczeństwo. A teraz gryzie ziemię, właśnie dlatego.

Odkąd w światłach samochodu ukazała się San Pablo Avenue, Jim Fergesson trzymał się pasa przy chodniku. Zwolnił, ale nie podjechał pod swój warsztat. Zaparkował przecnicę dalej, przy czerwonym neonie THE RING—A—DING CLUB baru, który odwiedzał czasami, kiedy go coś naszło.

W środku było całkiem sporo ludzi i kiedy otworzył drzwi, owionął go ożywczy harmider. I ludzkie zapachy, żrałe, ciepłe wonie; koleżeństwo, śmiechy, rwetes życia — jego charakterystyczny ruch i barwa. Znalazł sobie miejsce przy barze i zamówił mieszcucha.

W barze było nawet kilka kobiet. Jednak w większości starszych. Rzut oka powiedział mu, że to miejscowe lampucery. Odwrócił wzrok.

Przy wejściu wysoki Murzyn po trzydziestce, w palcie i beżowym swetrze, nadmuchiwał balon.

Obok niego dyszał na podłodze pulchny czarno — biały spaniel z wywalonym ozorem.

Chyba wszyscy patrzyli na psa. Murzyn dmuchał w powiększający się balon — ludzie wokół niego przekrzykiwali się, coś mu podpowiadając.

O co tu chodzi? — zastanawiał się Fergesson. Odwrócił się, żeby lepiej się przyjrzeć.

Pies, dysząc, przysiadł na zadzie. Ślepią miał utkwione w balonie, który był już wielki jak arbuz.

Balon był czerwony. Mężczyzna ze śmiechem odstawił go od ust i otarł je wierzchem dłoni. Śmiech nie pozwalał mu dalej dmuchać.

— Hej — powiedział jego kompan, wyciągając rękę. — Daj, ja podmucha.

— Nie, ja to muszę zrobić. On woli, żebym ja dmuchał.

— Mężczyzna wrócił do przerwanej czynności; balon puchł w oczach, a pies gapił się na niego cały czas. Nagle ramiona Murzyna zadrżały i puścił balon. Ten poleciał w bok ze świstem. Dłonie klientów próbowały zatrzymać balon, który obijał się o podłogę. Pies zaskowyczał i puścił się za nim, biegając to tu, to tam. Całe jego okrągłutkie ciało tańczyło. Mężczyzna śmiał się bezgłośnie, oparty o ścianę, a jego koledzy ścigali między krzesłami i stołami pusty już niemal balon.

— Mam więcej — powiedział mężczyzna, sięgając do kieszeni palta. Balony wysypały się z niej jak palce rękawiczek. — Stary — wysapał — mam wszystkie balony świata. Tamtego zostawcie, jest już brudny.

Tym razem zaczął nadmuchiwać żółty. Jęzor psa chował się i pojawiał, kiedy zwierzę łykało ślinę. Dziwne, pomyślał Fergesson. Dlaczego ten pies tak na to czeka? Przypomniał mu się jego pies, który zginał pod kołami samochodu jednego z klientów. Pies mieszkał w warsztacie i spał pod

naprawianymi wozami. Minęło już kilka lat.

Murzyn nadmuchał żółty balon i zawiązał na końcu supeł. Pies poderwał się z podłogi i głośno zaskomlał, podnosząc i opuszczając pysk.

— Rzuć mu go — ponagliła Murzyna jedna z kobiet. — Nie każ mu czekać.

— No dalej — dodał mężczyzna przy stole.

— No właśnie. Dalej, puszczaj go.

Murzyn uniósł wysoko balon, po czym go puścił. Pies przyjął go na nos i popchnął. Balon poszybował w górę i przesunął się po stole. Spaniel pobiegł za nim i znów szturchnął go nosem; balon unosił się i opadał, a zwierzę zawsze było pod spodem. Ludzie schodzili mu z drogi. Pies truchtał w koło z otwartym pyskiem, jego pulchne ciało obracało się wokół własnej osi. Widział tylko balon, a kiedy wpadał na kogoś, ten się odsuwał i zwierzę mogło dalej gonić zabawkę.

— Ej! Powinni tego cudaka postawić przed komisją śledczą — rzekł Fergesson do mężczyzny obok i wybuchnął śmiechem. Śmiał się, aż poczuł, że mu lecą łzy. Oparł się o bar i zanosił śmiechem. Pies wpadał na krzesła i ludzkie stopy, rzucał się na balon i za każdym razem podbijał go, aż w końcu przygryzł, podekscytowany, i balon pękł.

— Hau! — szczechnął chrapliwie pies i stanął w miejscu. Ślepią zaszyły mu mgłą, usiadł i gwałtownie łapał powietrze. Wyglądał na oszołomionego.

Młody Murzyn w fioletowej koszuli pozbierał strzępy balonu i włożył je do kieszeni sportowej marynarki.

— Jezu — wysapał Fergesson, wycierając oczy. Pies leżał i odpoczywał, a mężczyzna nadmuchiwał następny balon. Tym razem niebieski. — O, zaraz znów się zacnie — powiedział

Jim do mężczyzny, który siedział koło niego i szczerząc się od ucha do ucha, także obserwował całą scenę. — On tak może cały wieczór? Nie męczy się, psiajucha?

— Wystarczy już — rzekł Murzyn, spuszczać powietrze z balonu.

— No, dalej — powiedziała jakaś kobieta.

— Jeszcze raz — zachęcał mężczyzna przy barze.

— On już pada na pysk — stwierdził właściciel psa i wepchnął balon do kieszeni. — Może później.

— To bez sensu — odezwał się ponownie Fergesson do mężczyzny obok. — Co taki pies z tego ma?

Mężczyzna z uśmiechem potrząsnął głową.

— To wbrew naturze — powiedział Fergesson. — To jakiś zboczony pies. Pewnie całymi dniami i nocami myśli o balonach. O niczym, tylko o balonach.

— To gorzej niż niektórzy — rzekł facet obok.

— Zwierzęta nie mają pomysłu — stwierdził Fergesson. — Nie wiedzą, kiedy przestać. Jak już się na coś zawezmą, to szlus. Mogą tak w kółko.

— To instynkt — zawyrokował mężczyzna obok. Właściciel psa, wysoki Murzyn, przesuwiał się od stołu do stołu z otwartym pudełkiem po cygarach. Nachylał się i czasem coś mówił, a goście niekiedy wrzucali do pudełka drobniaki. Dotarł do baru.

— Na psa — powiedział. — Chce iść do szkoły i nauczyć się jakiegoś fachu.

Fergesson wrzucił dziesiątaka.

— Jak się wabi? — zapytał. Ale Murzyn poszedł już dalej.

— Ten kolorowy — powiedział gość obok Fergessona — pewnie tresuje go do telewizji. Cały czas pokazują tam takie psiaki.

— Kiedyś pokazywali — sprostował Fergesson. — Teraz już nie tak często. Teraz przeważnie

pokazują westerny albo programy dla dzieci. Ja tam nie mogę na to patrzeć.

— Jak pan myślisz, gdybyś zobaczył pan w telewizorze, jak pies lata za balonem, to śmiałybyś się pan?

— Jasne, że bym się śmiał — odparł Fergesson. — A nie widziałeś pan, jak się przed chwilą zarykiwałem? Śmiałem się tak, że mi się zajady zrobiły. I to właśnie chcę oglądać w telewizorze, prawdziwą rozrywkę.

— Ja tam myślę, że w telewizorze nie byłoby to takie śmieszne — powiedział facet. — Na małym ekranie.

— Ja mam odbiornik dwudziestosześcioro-calowy — rzekł Fergesson. Postanowił zignorować faceta; wziął łyk piwa i spojrzął w drugą stronę.

W łóżu siedział Al Miller. Towarzyszyła mu jego żona Julie. A wraz z nimi siedział Murzyn w palcie, właściciel psa. Rozmawiał z nimi, cała trójka najwyraźniej świetnie się bawiła i wyglądało na to, że są w zażyłych stosunkach.

Patrząc, jak Al gestykuluje, Fergesson nagle uświadomił sobie że Miller jest napruty.

Pierwszy raz widział go naprawdę pijanego. Od czasu do czasu widywał Ala na lekkim rauszu po kilku drinkach, kiedy przychodził na kolację. Miał wtedy problemy z koordynacją, ale teraz było naprawdę tragicznie. Wstawił się na poważnie i stary aż parsknął śmiechem. Obrócił się, by móc lepiej ich obserwować. A więc nawet Al — ponurak, który zawsze się garbił, nigdy nie żartował ani się nie śmiał, chyba że sarkastycznie — czasami dawał w gaz. Ten facet, stwierdził stary, jest jednak człowiekiem z krwi i kości. A może do nich dołączyć? — pomyślał sobie. I co pan na to?

Obserwował ich i spostrzegł, że Al chce kupić psa od Murzyna. Dawał mu czek, który wypisał swoim piórem. Julie starała się odebrać mu ten czek. Kręciła wciąż głową, robiła niezadowolone miny i rozmawiała z nimi. Jedną rękę trzymała na ramieniu Ala, a drugą na ramieniu Murzyna.

W oczach starego było to zabawne, na tyle zabawne, że znów zaczął się śmiać, a łzy ponownie napłynęły mu do oczu. Postawił szklankę na barze i podniósł się ze stołka. Złożywszy dłonie przy ustach, krzyknął przez barowy harmider:

— Ej, Al, takie powinienesz robić interesy!

Ale zdaje się, że Miller go nie usłyszał; obaj mężczyźni byli zaabsorbowani negocjacjami. Więc zawołał jeszcze raz.

Tym razem Al podniósł wzrok. Nie miał okularów i włosy zasłaniały mu oczy. Bez okularów wzrok miał słaby i zamglony, jak u krótkowidza. Rozejrzał się, mrużąc oczy, po czym wrócił do negocjacji. Teatralnym gestem podarł czek na drobne kawałki, wyciągnął portfel i zaczął wypisywać drugi.

Chichocząc, stary podszedł do kontuaru i wziął swoje piwo. Cóż to za okazja dla Ala Millera, stwierdził. Biznes stulecia. Pies, który podbija balon po barach — Al będzie mógł chodzić z kapeluszem wśród gości. Pomyślał, że pies mógłby nawet pójść do szkoły zamiast Ala.

— Ej! — krzyknął, ponownie się odwracając. Ale jego głos utonął w hałasie. — Mógłby pójść do szkoły zamiast ciebie i dostać dyplom.

Wreszcie Al go usłyszał; zobaczył starego i pomachał mu na powitanie.

Fergesson zsunął się ze swego miejsca przy barze i ostrożnie torował sobie drogę przez tłum w kierunku łóżu. Naprawdę trudno było coś usłyszeć. Nawet kiedy podszedł do boksu, nie słyszał wyraźnie Ala. Schylił się i oparł dłoń na ścianie łóżu, skłaniając głowę ku Millerowi.

— Nie słyszałem, co mówiłeś! — wydarł się Al.

— Poślij psa do szkoły — powiedział stary, śmiejąc się z własnego dowcipu i na myśl o tym, co wymyślił. — Zamiast iść samemu. — Mrugnął do Julie, ale ona jakby go nie zauważała.

— Do diabła tam, kupuję tego psa, żeby go wykończyć — rzekł Al. — Nienawidzę sukinsyna. Jest paskudny.

— Ach — powiedział stary, wciąż się śmiejąc. Tkwił obok nich jakiś czas, ale żadne nie zwracało na niego uwagi; byli zbyt zaaferowani transakcją.

— To Tootie Dolittle — oświadczył Al po chwili, przedstawiając Murzyna, a ten podniósł wzrok i skinął głową z rezerwą. — Mój kuzyn.

Stary wymamrotał coś, ale nie próbował nawet uścisnąć mu dłoni.

— No to chyba już pójdę — powiedział. Nie poprosili go, by usiadł. Teraz już się nie śmiał. Już nie było tak zabawnie i poczuł się zmęczony. Muszę jeszcze pojechać do warsztatu i popracować, przypomniał sobie. Nie mogę tu zostać, a pies ich drapał, jak nie chcą, żebym się przysiadł. — Na razie — rzucił.

Al skinął mu głową.

I tak bym się nie dosiadł, stwierdził, otwierając drzwi baru i wychodząc na zimny chodnik.

Kiedy szedł do samochodu, owiało go świeże powietrze. Wziął kilka głębokich wdechów, które momentalnie rozjaśniły mu w głowie. Niech to szlag, pomyślał. Odkąd to w ogóle siadam z Murzynami?

Włączył silnik i podjechał jakąś przecznicę do warsztatu.

Wkrótce leżał pod studebakerem, sam w wilgotnym, skąpo oświetlonym budynku, i słuchał muzyki z radia na półce. Co ja tu właściwie robię? — pomyślał, odkręciwszy pokrywę wału korbowego. Leżę na wznak pod samochodem... sam w garażu i nikt nie wie, że tu jestem. W jakim celu?

Ale twardo odkręcał kolejne śruby. Pracował zawzięcie. Żeby facet mógł go jutro odebrać? — zapytał się w myślach. Czyżby lojalność wobec starych klientów? Może i tak. Nie wiedział.

Wiedział tylko, że nie ma innego miejsca, do którego mógłby pójść, w którym mógłby być. Nie był to problem, bo znalazł się tutaj bez specjalnego zastanawiania. Przyszedł, bo zawsze tu przychodził.

Kiedy nie było niczego ciekawego w telewizji albo kiedy Lydia wychodziła i nie było do kogo gęby otworzyć, albo też kiedy nic ciekawego nie działo się w Ring-a-Ding.

Popracuję z godzinkę, pomyślał. A potem zadzwonię do domu i sprawdzę, czy Lydia wróciła.

Nie będę musiał długo robić.

Dla Ala Millera było jasne, że wkrótce będzie musiał zamknąć swój komis. Zostanie wyczyszczony z myślą o jakimś dużym przedsięwzięciu: nowy właściciel wyburzy warsztat i postawi w tym miejscu supermarket albo skład meblowy, a może budynek mieszkalny. Taki wzorzec powtarzał się od kilku lat w Oakland i Berkeley. Wyburzano stare budynki, nawet kościoły. A skoro nie mogły się ostać stare kościoły, to co powiedzieć o warsztacie Fergessona czy też Komisie Samochodowym Ala.

Zupełnie bez nastroju jechał następnego popołudnia San Pablo do biura agentki nieruchomości, kobiety, z którą miał już do czynienia w przeszłości. Nieprzypadkowo pani Lane była Murzynką — poznał ją przez Dolittle'ow. Załatwiła pani Dolittle kilka nieruchomości pod wynajem.

Specjalizowała się w terenach pod działalność gospodarczą w otwartej — w myślach dodał: zrujnowanej — części Oakland. Wiedział, że nie może liczyć na nic lepszego. Czymże był komis samochodowy, jeśli nie ucieleśnieniem otwartej strefy w Oakland?

Z takimi właśnie myślami wszedł do siedziby Lane Realty i zbliżył się do lakierowanej dębowej lady. Po prawej stronie, w donicy przewiązanej szafranową wstążką, tkwił kauczukowiec. Obok leżał stosik egzemplarzy „Saturday Evening Post” i popielniczka.

Całym wyposażeniem Lane Realty były biurko wraz z maszyną do pisania oraz wisząca na ścianie mapa East Bay. Pani Lane siedziała przy biurku i pisała na maszynie, lecz kiedy go spostrzegła, wstała i podeszła z uśmiechem do lady.

— Dzień dobry, panie Miller — powiedziała.

— Dobry — odparł.

— W czym mogę panu pomóc?

Pani Lane mówiła aksamitnym, niskim głosem. Nosiła czarną sukienkę, a na jej palcu lśnił duży, ładny pierścionek. Miała starannie uczesane włosy oraz mocny makijaż; jak zwykle wyglądała imponująco. Miała jakieś, pomyślał, czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt lat. Ta postawna kobieta mogła z powodzeniem być ozdobą każdego biura czy klubu kobiecego, uświadomił sobie, tylko że oczywiście była kolorowa. No i jeszcze należałoby przymknąć oko na to, że kiedy się uśmiechała, widać było dwie wielkie złote jedyńki, które, podobnie jak pierścień, służyły ku ozdobie. Na lewej widniał symbol kierów, a na prawej — trefli.

— Szukam nowego miejsca — oznajmił Al.

— Rozumiem — powiedziała pani Lane. — Na San Pablo? Mam parking na Telegraph Avenue.

— Spojrzała na niego z wyczekiwaniem, żeby się upewnić, czego oczekuje.

— Nie interesuje mnie gdzie — rzekł Al — byle było to miejsce z dobrą lokalizacją.

Nie był w stanie powiedzieć tego zgrabniej; sięgnął do zasobów mózgu, ale nie odnalazł tam dobitniejszego określenia. Kobieta uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem — bez wątplenia chciała mu pomóc. Na tym polegała jej praca. A w swoją pracę wkładała całe serce. Czuł, że tak jest.

— Jak sądzę, nie ma pan zamiaru przepłacać — powiedziała. — Jeśli chodzi o koszty dzierżawy.

— Nie — zgodził się z nią.

— Mogłabym podwieźć pana do tego miejsca na Telegraph. Obejrzałby pan je sobie.

— Nie potrzebuję go od razu — odparł. — Mam jakieś dwa miesiące. Nie ma pośpiechu.

Muszę się upewnić, że nie biorę kota w worku.

— Tak, to bardzo ważne — stwierdziła pani Lane.



— Branża używanych samochodów nie jest specjalnie lukratywna.

— Pewnie tak jak branża nieruchomości — powiedziała z uśmiechem.

Może i tak, pomyślał. Jedziemy na tym samym wózku. A może robię ci krzywdę, porównując ze sobą. Stawiając w równie beznadziejnej sytuacji. Taką ujmującą kobietę. Co by było, gdybyś urodziła się biała? Czy byłabyś przewodniczącą partii republikańskiej w okręgu? A może żoną jakiegoś przemysłowca? A co by było, gdybym ja urodził się czarny? Byłbym tylko chacharem.

Kolejnym pasożytem bez szkoły.

— Panie Miller — Lane odezwała się swoim aksamitnym, niskim głosem — naprawdę jest pan dzisiaj bardzo smutny.

— To prawda — odparł, zgadzając się z nią w całej rozciągłości.

— Niech pan się nie smuci — powiedziała. — Zawsze trzeba patrzeć na wszystko z dystansem.

— Wróciła do biurka i wyciągnęła z szuflady kluczyki do samochodu.

— Może jednak zawiozę pana na miejsce, o którym mówiłam? Bardzo chętnie pokażę je panu.

— Może później — rzekł.

— Ale czemu nie teraz?

— Bo ja wiem? — powiedział, sam słysząc, że zabrzmiało to jak mamrotanie. — Muszę wracać na parking.

— Może pan później żałować, że zmarnował taką okazję.

— Może i tak — odparł, czując wyraźnie otępienie i przygnębienie.

— Niech pan posłucha, panie Miller — powiedziała cicho pani Lane, opierając odstonięte, krągłe ramiona na ladzie. — Jak człowiek nie działa zdecydowanie, to jest stratny. Nauczyłam się tego przez lata pracy w nieruchomościach. Jeśli chce pan do czegoś dojść, musi pan wykorzystywać okazje i iść naprzód. Wie pan o tym? — Czekwała, ale on milczał. Wbił wzrok w podłogę, czując zbyt wielką pustkę w głowie, by coś powiedzieć. — Musi pan wszystko załatwić albo zostanie pan załatwiony. Znaczący się, o n i pana załatwią. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest jak żywe srebro.

— Przemawiała z ciepłą, życzliwą cierpliwością; brzmiało to niemal jak matczyzna połajanka. — Nikomu nie zrobi pan tym krzywdy. Myślę, że właśnie tego się pan obawia. Boi się pan, że ktoś na tym ucierpi. Ponieważ robi pan w branży, w której i tak wszyscy tak postępują. Pokiwał głową.

— Rozmawiałam już z panem i zauważyłam to sama, tak jak zauważył to pan Jones, który mi tu pomaga — powiedziała pani Lane. — Jest pan dobrym człowiekiem, podobnie jak ten pan, z którym pan współpracuje, pan... no, jak mu tam? Pan Fergesson. On też jest wzorem uczciwości.

Dałabym mu samochód do naprawy... — Zamilkła w pół zdania. — No cóż, mam już mechanika.

Mechanika Murzyna, pomyślał Al. Mimo że jest kryształowo uczciwy, nie odważyłaby się dać Fergessonowi swego samochodu do naprawy. Prawdopodobnie nie chciałby go nawet tknąć. Może tak, a może nie. Ale nie mogła sobie pozwolić na ryzyko odmowy. Nie było warto.

— Możemy już tam pojechać? — Pani Lane trzymała kluczyki do samochodu.

— Nie — odparł. — Innym razem. Dziękuję.

Kiedy wyszedł już z biura obrotu nieruchomościami, zauważył, że odprowadza go spojrzeniem. Obserwowała go, aż zniknął za załomem budynku.

Wrócił i powiedział przez próg:

— Może za kilka dni. Kiedy wszystko dopracuję.

Pani Lane uśmiechnęła się do niego. Jak pomyślał, ze współczuciem. Ze współczuciem i zrozumieniem. Więc poszedł. Wrócił do samochodu.

Ona chce mi tylko coś wcisnąć, stwierdził. Ale wiedział, że jest w tym coś więcej, w

rzeczywistości zupełnie coś innego. Co w takim razie? Miłość, pomyślał. Miłość do niego. Miłość dobrze zbudowanej, przystojnej, niezależnej finansowo Murzynki w średnim wieku i o skórze koloru kawy z mlekiem. Chce mi matkować, jeśli jej się to uda. Był przybity, ale jednocześnie miał wrażenie, jakby zdjęto mu z barków duży ciężar. Nie czuł się tak podle jak wcześniej. To mądra kobieta, zna się na sprzedaży, poznała różne sztuczki, pomyślał. Prawdziwa profesjonalistka.

Wróćę. Ona o tym wie.

Wpakował mnie w to ten spryciarz o umysłowości wiejskiego kretyna, ten stary łajdak Fergesson. Teraz muszę zdać się na łaskę kobiety, która mi współczuje. Teraz nie mam niczego w zanadru, nie mam żadnego innego pomysłu na przetrwanie, żadnego własnego planu. Muszę się posiłkować słabością, jaką ma do mnie agentka sprzedaży nieruchomości.

Powinienem teraz zrujnować mu reputację, pomyślał, na zawsze zepsuć mu opinię. Powinienem otworzyć burdel na parkingu i splugawić to miejsce. Powinienem przekształcić to w... no, czym jeszcze nie jest park sprzedaży używanych samochodów?

Kto będzie mną gardził? — pytał się. Każdy? Wszyscy?

Nie miał ochoty wracać na parking. Włączył silnik i ruszył przed siebie bez celu — po prostu jechał ulicami Oakland dla czystej przyjemności. Był to solidny stary chrysler ze skórzaną tapicerką. Jednak nie wchodził wsteczny, dlatego kupił go za jedyne siedemdziesiąt pięć dolarów.

Ale i tak był to dobry samochód. Wystarczająco dobry dla każdej rozsądnej osoby. Doskonały samochód na autostradę.

W trakcie jazdy zaczął wymyślać prezentację sprzedaży tego wozu; robił to, by się czymś zająć.

Wróciwszy do Komisu Samochodowego Ala, zobaczył, że duże białe drzwi warsztatu są opuszczone. Stary zamknął warsztat, ale nie na lunch, bo nie było pontiaka. Na staromodnym kartonowym szyldzie dwie dłonie wskazywały napis:

WRÓCĘ O 2.30

Kiedy stanął pomiędzy wozami na parkingu, spostrzegł, że drugi samochód, prawie nowy cadillac, który jechał za nim, zaparkował z tyłu, obok chevroleta. Wysiadł i to samo uczynił kierowca cadillaca.

— Cześć! — zawołał mężczyzna.

Al zamknął drzwi samochodu i podszedł do niego. Mężczyzna, ledwo po pięćdziesiątce, miał pięknie uszyty garnitur, krawat — modny „śledzik” — i włoskie buty ze szpicem, które Miller widział w reklamach i witrynach sklepów w śródmieściu. Mężczyzna uśmiechnął się do niego. Był nastawiony umiarkowanie przyjacielsko. Miał kręcone, siwe włosy i chociaż były nieco przydługie, rzucało się w oczy, że przystrzygł je mistrz grzebienia i nożyczek. Al poczuł się nieco przytłoczony.

— Cześć. Co dobrego? — przywitał się standardowo.

Na parkingu z całą pewnością nie było niczego, co mogłoby zainteresować tego dobrze ubranego i niewątpliwie zamożnego człowieka, który rozbijał się ostatnim modelem cadillaca. Al od razu się zaniepokoił — być może to poborca podatkowy albo nawet agent federalny; kilka podobnych myśli przemknęło mu przez głowę, kiedy tak patrzył na mężczyznę w dalszym ciągu uśmiechającego się na powitanie.

I wtedy go rozpoznał. Był to jeden ze starych klientów Fergessona. Najwyraźniej przyprowadził samochód do warsztatu i zastał drzwi zamknięte.

— Szukam Jima — powiedział mężczyzna pełnym, donośnym głosem. — Ale widzę, że drzwi zamknięte. — Uniósł przedramię i spojrzął na zegarek widoczny pod srebrną spinką do mankietu.

Al przyglądał się zarówno spince, jak i zegarkowi i nagle gdzieś w nim odezwało się wprawiające w zakłopotanie pragnienie. Zawsze tego chciał. Chciał mieć dobry zegarek, taki jakie

reklamują w

„New Yorkerze”.

— Pewnie pojechał po jakąś część — powiedział. — A może ktoś się rozkraczył na drodze.

Dzwonią do niego zamiast do pomocy drogowej z AAA.

— I nawet rozumiem dlaczego — rzekł mężczyzna. Gdybym miał, powiedzmy, trzy dobre wozy, pomyślał Al, mógłbym przyciągać takich klientów. Gdybym mógł się pochwalić czymś przyzwoitym... Naszły go chmurne myśli, włożył ręce do kieszeni i zaczął się kołysać w przód i w tył na piętach, ze wzrokiem wbitym w chodnik. Nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby w takiej sytuacji powiedzieć.

— Przyjeżdżam do niego od czterech i pół roku — powiedział mężczyzna. — Ze wszystkimi drobiazgami, nawet ze smarowaniem.

— Sprzedał warsztat — odparł Al.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

— Nie — wyszeptał z przerażeniem.

— Właśnie tak — potwierdził Al. Jego przygnębienie się pogłębiło — niemal nie był w stanie wykrztusić słowa. Tylko się wciąż kiwał w przód i w tył.

— Z powodu wieku?

— Ma, zdaje się, jakieś problemy z sercem — wymamrotał Miller.

— No to bardzo mi przykro — powiedział mężczyzna. — Naprawdę przykro. Tak kończy się pewna epoka. To koniec starego rzemiosła.

Al pokiwał głową.

— Nie byłem u niego jakiś miesiąc — powiedział facet. — Kiedy podjął decyzję? Musiał się niedawno zdecydować.

— Tak — odparł Al.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę. Al zauważył ten gest, podskoczył cały, wyciągnął swoją i uścisnął dłoń nieznanemu.

— Nazywam się Harman — powiedział gość. — Chris Harman. Zajmuję się nagraniami.

Prowadzę Teach Records.

— Rozumiem — rzekł Al.

— Chyba już raczej nie wróci — powiedział Harman, ponownie spoglądając na zegarek. — Cóż, nie mogę dłużej czekać. Proszę mu powiedzieć, że wpadłem. Zadzwonię do niego i powiem, jak bardzo mi przykro. Do widzenia. — Pokiwał głową, machnął Alowi ręką na pożegnanie, wsiadł do cadillaca, zatrzasnął drzwi, wrzucił wsteczny i wycofawszy się z parkingu, włączył się do ruchu na San Pablo. Po chwili wóz zniknął z pola widzenia.

Pół godziny później pontiak starego pojawił się na parkingu. Kiedy Fergesson wysiadł, Al podszedł do niego.

— Pojawił się twój stary klient — oznajmił. — Przykro mu się zrobiło, kiedy dowiedział się, że sprzedałeś warsztat.

— Kto taki? — zapytał Fergesson, otwierając zamek w drzwiach warsztatu i podnosząc je obiema rękami. Ze zmartwioną miną spojrzał w głąb pomieszczenia.

— Niech to szlag — zaklął — jestem naprawdę do tyłu z pracą, bo wciąż muszę gdzieś wychodzić.

— Harman — powiedział Al, idąc za nim krok w krok.

— A tak, cadillac z pięćdziesiątego ósmego — rzekł stary. — Przystojny, siwe włosy. Koło pięćdziesiątki.

— Ma firmę płytową czy coś takiego — dodał Miller.

Stary włączył lampę przemysłową w drucianej oprawce i pociągnął długi gumowy kabel po powalanej smarem podłodze warsztatu w stronę stojącego na podnośniku studebakera.

— Znasz ten budynek z cegły na dwudziestej trzeciej, tuż za Broadwayem? Tam gdzie są te nowe przedstawicielstwa firm samochodowych? Koło zjazdu nad jezioro? Nieważne. To właśnie tam. Jest właścicielem całego budynku. Cały zajmuje jego firma nagraniowa. Robi płyty. Ma tłocznię.

— Tak właśnie mi mówił — powiedział Al. Odczekał chwilę, aż stary położy się na płaskim wózku z rolkami.

Fergesson wśliznął się zrećcznie pod studebakera i wrócił do pracy.

— Posłuchaj — odezwał się spod samochodu.

Al nachylił się.

— Nagrywa sprośne kawałki na płytach — powiedział stary. Na te słowa Al poczuł, jak mu cierpnie skóra na głowie.

— Ten dobrze ubrany facet? W takim samochodzie? — Nie mógł w to uwierzyć. Zupełnie inaczej sobie to wyobrażał. Mężczyzna, który nagrywa sprośne kawałki na płytach... byłby niechlujnie ubranym, spoglądającym ukradkowo kurdupłem z przetłuszczonymi włosami, może w okularach z zielonym fotochromem, z zepsutymi zębami, ochrypłym głosem i wykałaczką w gębie.

— Bez żartów — powiedział.

— Nie tylko tym się zajmuje — rzekł stary. — Ale to tak między nami, nie rozpowiadaj tego.

— Dobra — powiedział zainteresowany nagle Al.

— Przy nazwie Teach Records nie widnieje jego nazwisko. To jedna z tych anonimowych firm, tych bezimiennych.

— A skąd wiesz?

— Pojawił się tu jakiś rok temu. Od lat przyprawdzał mi samochody do naprawy. Przywiózł całe pudło tych sprośnych kawałków i chciał, żebym je sprzedawał.

Al zaśmiał się.

— Wolne żarty.

— Ja... — Stary wytoczył się spod samochodu i leżąc na wózku, spoglądał na Millera. — Trzymałem to pudło jakiś czas na widoku, ale nie działałem wiele. Były tam foldery reklamowe. — Podniósł się mozolnie. — Chyba mi trochę zostało. Kilka folderów z grubymi żartami reklamującymi te nagrania.

— Chciałbym je zobaczyć — powiedział Al. Wszedł za starym do biura i czekał, kiedy Fergesson przetrząsał przeladowane szuflady biurka. W końcu stary natrafił na to, czego szukał, w jednej z kopert.

— Masz. — Podał Alowi kopertę.

Miller znalazł w środku niewielkie foldery drukowane na błyszczącym papierze. Miały odpowiednią wielkość, w sam raz, by je umieścić w stosiku na ladzie. Na okładce widniał rysunek nagej dziewczyny z hasłem: SPREE RECORDS. LISTA LETNICH WYGLUPÓW (TYLKO DLA PANÓW), a w środku znajdowała się lista tytułów. W samych tytułach nie było nic zdroźnego.

— Piosenki? — zdziwił się. — Takie jak *Ruth Wallace*?

— W większości to monologi — powiedział stary. — Słuchałem jednego. Opowiadał o Ewie idącej przez lód, no wiesz, z *Chaty wuja Toma*.

— Sprośny był?

— Naprawdę świński — stwierdził stary. — Każde jedno słowo. Jakiś facet czytał. Harman powiedział, że to bardzo znany satyryk, który sam sporo pisze — czy też pisał, bo powiedział, że

facet już nie żyje, o ile sobie przypominam — dla wszystkich większych magazynów. Naprawdę znany facet. Na pewno słyszałeś to nazwisko. Jakiś Bob.

— Nie pamiętasz dokładnie?

— Nie — odparł Fergesson.

— A niech to! — wykrzyknął Al. — Nigdy nie poznałem faceta, który by nagrywał świńskie kawałki. To nielegalne, prawda? No, takie nagrania?

— Jasne, że tak — rzekł stary. — Ale on robi również inne rzeczy. Ale ja widziałem tylko to.

Zdaje się, że wydaje też jazz i nawet jakieś klasyczne kawałki. Ma kilka linii produkcyjnych.

Al odwrócił folder i zauważył, że nie ma na nim adresu. Ani tłoczni.

— Myślałem, że to jakiś bankier — powiedział. — Albo prawnik czy biznesmen.

— On jest biznesmenem.

A więc to tak. Al pokiwał głową.

— Zarabia kupę forsy — stwierdził stary. — Widziałeś jego samochód.

— Mnóstwo ludzi jeździ cadillacami — stwierdził Al. — Nawet tacy, którzy nie mają ani centa.

— Powinieneś zobaczyć jego dom. Ja widziałem. Kiedyś go odwiozłem. Mieszka sobie w Piedmoncie. To właściwie posiadłość. Z drzewami i żywopłotami wokół. Jest też brama z kutego żelaza. Po jednej stronie domu na ścianie pnie się bluszcz. I ma babkę z klasą. I jeszcze przynajmniej jedną furę. Sportowego mercedesa.

— Może wziął na raty — odparł Al. — Dom pewnie jest własnością spółki. Choć przyznaję, że ubrać to się potrafi.

— A jednak przyjechał tutaj — powiedział stary. — I stał tu, i ze mną rozmawiał, i nie zadzierał nosa. Nie zachowywał się jak ci wszyscy w drogich gaj erach, co przyjeżdżają do warsztatu.

— Niektórzy są w porządku — rzekł Al. — Prawdziwy gentleman tak się zachowuje. Z godnością. To cecha prawdziwego arystokraty. — Ale, pomyślał, nie jest to profesja, którą przypisałby prawdziwej arystokracji. — Mam nadzieję, że mówimy o tym samym facecie — dodał.

— Zapytaj go, jak go zobaczysz — powiedział stary. — Pewnie wróci, jeśli chce zrobić coś przy samochodzie. Zapytaj go, czy sprzedaje specjalne nagrania na przyjęcia.

— Może tak właśnie zrobię.

— Powie ci to prosto w twarz — ciągnął stary. — On się tego nie wstydzi. To biznes jak każdy inny.

— Raczej nie — odparł Al. — Raczej nie jak każdy inny, choć — by dlatego, że jest nielegalny.

Wiedząc to, co wiesz, mógłbyś pewnie wsadzić go za kratki. Lepiej nie mów nikomu. Mam nadzieję, że nie rozpoviadasz o tym na prawo i lewo. On nie prosił cię o dyskrecję?

— Nikomu o tym nie mówiłem, tylko tobie — odparł Fergesson z mocnym rumieńcem na twarzy. — A teraz żałuję. Daj mi święty spokój. — Z tymi słowami Fergesson wjechał na wózku pod studebakera i wrócił do pracy.

— Bez urazy — powiedział Al, po czym wyszedł z warsztatu i stanął w słońcu.

Mógłbym go zacząć szantażować, pomyślał. Ten pomysł zagościł na chwilę w jego głowie, odsuwając wszystko inne na bok i wywołując niezdrowe dreszcze.

Najwyraźniej Harman nie nagrywał już świńskich kawałków — była to melodia przeszłości.

Pewnie w tamtych czasach nie był tak modnie ubrany i nie powodziło mu się tak dobrze. Może wtedy zaczynał i jeszcze się nie dorobił. Był to okres w jego życiu, który zamknął na zawsze.

Kiedy Miller rozmyślał o tym, zrobiło mu się zimno, a po chwili jeszcze chłodniej; poczuł, jak na moment staje mu serce. Ta myśl sprawiła, że szantaż naprawdę zaczął się jawić jako dochodowy interes.

Do diabła, powiedz mi to prosto w twarz, pomyślał. Gdyby Harman wiedział, że ja wiem, pewnie by zbladł i padł zemdlony.

\* \* \*

Był to zupełnie nowy pomysł na zarobienie pieniędzy — szantaż. Co takiego powiedziała mu pani Lane? Coś o tym, a niech to szlag, że trzeba wszystko załatwić albo ciebie załatwią. Może, pomyślał, ta kobieta ma dar jasnowidzenia? Jak to się nazywa? Że jest medium zagląającym w przyszłość. Jasnowidzem. Była to idealna opcja biznesowa.

Nie wymagała kapitału. Żadnych towarów. Sprzętów. Inwestycji. Nawet ogłoszeń czy wizytówek Ani podatków.

Ale szantaż był też niezłym bagnem. Chociaż podobnie mówiło się o sprzedaży używanych samochodów. Wszyscy to wiedzieli. Nic nie stało w hierarchii społecznej niżej od sprzedaży używanych samochodów, a on wykonywał ten zawód od wielu lat. Czy szantażowanie producenta świńskich nagrań było gorsze niż sprzedawanie używanych samochodów? Trudno powiedzieć.

Kiedy tak siedział w swojej budce pośrodku parkingu, zauważył, jak na krawężnik wjeżdża stary, brązowy cadillac. Wyszła z niego obfita kolorowa jejmość w płóciennym kostiumie. Ruszyła ku niemu z uśmiechem i rozpoznał panią Lane.

Wstał i wyszedł jej na spotkanie.

— Jak się pan miewa, panie Miller? — powiedziała przyjaznym, choć nieco kpiącym głosem. — Co u pana? Wydaje mi się, że nie widziałam pana jakąś godzinę, więc wpadłam w odwiedziny. — Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Proszę wejść — rzekł, przytrzymując drzwi do biura.

— Dziękuję. — Weszła do środka i czekała, aż podsunie jej krzesło. — Dziękuję — powtórzyła i usiadła, zakładając nogę na nogę, po czym wygładziła spódnice. — Panie Miller — zaczęła, kiedy i on usiadł — rozmawialiśmy o parkingu. Na pański punkt sprzedaży używanych samochodów. — Zatopiona w myślach, zmarszczyła czoło. — Zadzwoiłam do kilku osób i mam już trochę lokalizacji, z których szczególnie jedna może być dla pana niezwykle atrakcyjna. Będzie to idealne miejsce na sprzedaż używanych samochodów, chociaż nigdy nie wykorzystywano go na potrzeby tej branży. — Jej głos, łagodny i monotony, otoczył go jak opar; siedział, zdając się na to, co miało mu się przydarzyć.

Na zewnątrz jakiś przechodzień zatrzymał się, by przyjrzeć się jednemu z jego samochodów. Ale Al nawet nie drgnął, nawet nie poruszył się na krześle.

— To miejsce — mówiła dalej pani Lane — znajduje się w sercu Oakland, koło Dziesiątej Ulicy. W prawdziwej dzielnicy biznesowej, gdzie nieczęsto widuje się takie place. Znaczą, tam gdzie ich prawie nie ma.

— Rozumiem — rzekł Miller, a potem, podnosząc się z krzesła, dodał: — Powiem coś pani.

Właśnie rozważałem całkowitą zmianę branży. Od naszej rozmowy pojawiła się nowa perspektywa biznesowa.

— Mówi pan, że stało się to od czasu naszego dzisiejszego spotkania? — zapytała, spoglądając na niego podejrzliwie. — Godzinę temu, kiedy był pan u mnie w biurze?

— Tak.

Patrzyła na niego przez chwilę.

— Mój Boże — powiedziała.

— Jest to zupełnie inna branża — rzekł. — Właśnie siedziałem i zastanawiałem się nad tym wszystkim.

— Ale nie zdecydował się pan jeszcze. Klamka nie zapadła.

— Nie — przyznał.

— Panie Miller, oczywiście nie mam bladego pojęcia, o czym pan mówi. Wiem jednak, że jest pan w stanie wejść w ten interes i świetnie sobie poradzić. Wiem to doskonale. Ale pozwolę sobie podkreślić, że sprzedaje pan używane samochody od jakiegoś już czasu i moim zdaniem, nadaje się pan do tego idealnie. — Głos jej się jednak załamał, kiedy to powiedziała. Opuściła ją pewność siebie. Wyglądało to, jakby go sondowała, chciała, żeby się otworzył. Wzmianka o nowej możliwości biznesowej najwyraźniej zbiła ją z pantafelku. — Chciałabym panu pokazać to miejsce, jeśli się pan zgodzi. Co do mnie, oferta jest wciąż aktualna i zawsze będę gotowa udostępnić panu to miejsce.

— Wiem — powiedział. — Dziękuję.

Spojrzała na niego z czymś na kształt niepokoju.

— Oczywiście bez zobowiązań, panie Miller, tego może być pan pewien. — Otworzyła torebkę i grzebała w niej chwilę. — Chciałabym, żeby dostał pan idealną lokalizację. Tak wielu ludzi popełnia błąd właśnie w tym momencie. Kiedy przenoszą się ze wszystkim. To przecież bardzo ważne. Nie wiedzą, jak się do tego zabrać, i tylko się martwią. Są zaniepokojeni zmianami. — Starannie wymówiła przedostatnie słowo.

— Myślę, że łapią pierwsze, co podłeci — usłyszał siebie Miller. Ale była to zdawkowa uwaga; już go to nie obchodziło. Wciąż myślał o Harmanie.

— Całe pańskie życie zależy od tego rodzaju decyzji — powiedziała pani Lane. — Zawsze powtarzam to swoim klientom. Nie dostrzegają tego, mimo że będzie miało to wpływ na ich przyszłość. Pod tym względem wiem więcej na ich temat, niż sobie uświadamiają. Oglądam to wszystko od czternastu lat, odkąd zostałam licencjonowanym agentem nieruchomości stanu Kalifornia. Są ludzie, którzy kupują za moim pośrednictwem nieruchomość, traktując to jako sposób na zarobienie pieniędzy, jako inwestycję... i zmienia to ich życie. Nie są już tacy, jak byli.

Mogłabym podać mnóstwo przykładów, ale wiem, że jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem, panie Miller, dlatego nie muszę wchodzić w szczegóły. Choćby to, jak pan poznał pana Fergessona i jak się pan wskutek tego stał zupełnie inną osobą.

Mówiła cicho, z wyraźną nutą szczeroci. Absolutnie nie był to głos sprzedawcy i ponownie, tak jak w jej biurze, wysłuchiwał tego matczynego kazania, czy też cokolwiek to było. Bez względu jednak na to, czym było, nie miało żadnego związku ze zwyczajową biznesową rozmową, przynajmniej nie wśród białych.

— Myślę, że ma pani rację — zdołał odpowiedzieć, ponieważ poczuł senność i z wielkim trudem trzymał oczy otwarte.

Pani Lane zamknęła torebkę i postawiła ją na kolanach swoimi dużymi, dziwnie jasnymi dłońmi. Jakież ona ma kształtne dłonie, zauważył Al Miller. Wyglądały niemal jak dłonie mężczyzny.

Całkowicie pewne dłonie, których mięśnie i ścięgna wykonywały wszystkie skomplikowane czynności. Jakby te dłonie były wszędzie, wszystko robiły. I jakie były pomarszczone. Reszta jej ciała była gładka — miała ciało, skórę młodej dziewczyny. Zdjęła marynarkę. Znow zwrócił uwagę na jej odkryte ramiona. Nawet się chyba nie pociła. Niesamowite, pomyślał. A wracając do dłoni...

ich budowa, barwa, rozmiar nie miały nic wspólnego z resztą ciała. Pewnie ktoś jej je przyszył, stwierdził. Były prawie różowe. Jednak skóra w tych miejscach była bardzo gruba, niemal jakby została wyprawiona. I niezwykle sucha.

— Widzę, że wpadł tu mój znajomy — powiedziała, przypatrując mu się swymi wielkimi, zamglonymi oczami. — Ma pan od siebie taki sam widok jak ja ze swojego biura. Widzi pan ulicę po prawej i po lewej i gdy ktoś przychodzi, z ciekawości wygląda pan przez okno. Czy to nie pan

Harman wpadł tutaj niedawno w swoim coupe de ville, po tym jak pan ze mną rozmawiał?

Skinął tylko głową.

— Znam go — oświadczyła pani Lane. — Pozwoli pan, że o coś zapytam. — Niepewnym, zafrasowanym głosem spytała: — Chce pan robić z nim jakieś interesy?

Al Miller wydał odgłos, który równie dobrze można było uznać za „tak”, jak i „nie”. Ożywił się jednak. A więc pani Lane знаła Harmana; od razu się zainteresował. I stał się czujny.

— Z pańskiego tonu — powiedziała — wnoszę, że negocjował pan z panem Harmanem i o tym właśnie pan mówił, wspominając o nowej możliwości biznesowej. Cóż, chcę panu coś powiedzieć na ten temat. — Wyglądała, jak mu się nagle wydało, na nieco przestraszona. Oblizwała usta, zawahała się, chwyciła torebkę i poruszyła się niespokojnie na krześle. — To małe krzesło — stwierdziła.

— Tak — zgodził się.

— Znam go — zaczęła — od jakichś pięciu lat. Oczywiście słyszę różne rzeczy. Na tym polega moja praca. On pojawia się w branży nieruchomości już od dawna, cały czas. Kupuje, sprzedaje, jak to mówią. Bierze się do wielu rzeczy. Dlatego mówią o nim, że jest spekulantem.

— Rozumiem — powiedział Al.

— Załatwia mnóstwo... — Umilkła na chwilę. Następnie, z nieoczekiwane szerokim uśmiechem, ukazując garnitur złotych zębów, wróciła do przerwane wątku: — Cóż, on nie jest taki jak pan, panie Miller. On nie martwi się, że przez niego świat staje się gorszy.

Al skinął głową. Łagodny ton kobiety zmienił się nagle — wkradły się do niego oschłość i niespodziewana surowość. Uświadomił sobie, że pani Lane naprawdę nie lubi Harmana. Jej uczucia ujawniły się, ponieważ nie była hipokrytką. Nie potrafiła udawać, że lubi kogoś, kogo nie lubiła.

— Uważa pani — powiedział — że powinienem się trzymać z dala od Harmana.

Jej uśmiech znów stał się łagodniejszy. Nieco melancholijny.

— Cóż — odparła wolno — to oczywiście pańska sprawa. Może zna go pan lepiej niż ja.

— Nie.

— Myślę, że pan jest uczciwy, a on nie. — Spoglądała na niego spokojnie. A jednak pod ową maską obojętności widać było symptomy wzburzenia. To takie trudne dla Murzynki, pomyślał.

Siedzieć z białym i uładowym tonem mówić o innym białym, gdy w każdej chwili mógł jej przykręcić śrubę. Mógł jej przerwać, posłać ją do wszystkich diabłów. Ale ona tego się nie obawiała; już raczej tego, że przestanie jej uważnie słuchać. Wyszłyby wszystkie jego uprzedzenia i zignorowałyby to, co do niego mówiła.

— Wiem, że leży pani na sercu moje dobro — zaczął i chociaż mówił, co myślał, fraza ta miała dwuznaczny wydźwięk. Było to tylko gładkie zdanie.

Pokiwała głową.

— Będę uważał na siebie — powiedział.



Niedługo potem, kiedy Jim Fergesson leżał na podłodze swego garażu pod buickiem, usłyszał, jak niedaleko zatrzymuje się samochód. Pod odgłosie silnika poznał, że wóz jest nowy. Wytoczył się spod buicka i znalazł przy błotniku niemal nowego cadillaca. Drzwi były już otwarte i mężczyzna w biznesowym garniturze i wyglancowanych czarnych butach zrobił krok w jego stronę.

— A, witam, panie Harman — powiedział stary, siadając. — Widzę, że pan wrócił. Nie było mnie, kiedy był tu pan poprzednio. Chyba nic poważnego z tym wózkiem, co? Przecież ten cadillac niedawno zjechał z taśmy. — Zaśmiał się nerwowo, ponieważ nie miał zamiaru babrać się przy jego samochodzie: nie miał ani odpowiednich narzędzi, ani doświadczenia z takimi wozami, z tymi nowymi, drogimi samochodami ze wspomaganiami kierownicy i dodatkowym wyposażeniem.

— Każda maszyna ma swoje zagwozдки, Jim — rzekł Harman z uśmiechem. — Jak zawsze mi powtarzasz.

— Święta prawda — odparł Fergesson.

— To nic poważnego — powiedział Harman. — Tylko smarowanie.

— Dobra — rzucił Fergesson z ulgą.

— Jim, słyszałem, że zamykasz biznes.

— Idę na zasłużony odpoczynek.

— Na dobre?

— Już to sprzedałem — powiedział stary.

— Rozumiem — odparł Harman.

— Niech pan posłucha — powiedział stary; chciał położyć ręką na ramieniu Harmana, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i stał tak tylko, wycierając dłonie szmatą. — W mieście jest sporo dobrych warsztatów, więc nie musi się pan martwić. Znam kilku mechaników, którym można zaufać. W dzisiejszych czasach, przy tych cholernych związkach zawodowych...

— Tak — przerwał mu Harman. — Pracodawcy muszą zatrudniać ludzi podsyłanych przez związki. Czy są kompetentni, czy nie.

— Obaj znamy biznes — powiedział Fergesson. — Wiemy, jak to jest.

— I dostaje się takich obiboków — rzekł Harman — co tylko baki zbijają i nie pracują. A kiedy się chce ich wywalić na zbity pysk... — Machnął ręką.

— Okazuje się, że to niemożliwe — dopowiedział Fergesson.

— Niezgodne z prawem.

— I dlatego tylko wałkonie mają dobrze, jak za czasów WPA. To czysty socjalizm. — Stary poczuł, jak rośnie w nim wzburzenie, jakieś rozgorączkowanie. Jakże miło było stać tutaj z takim człowiekiem, z dobrze ubranym panem Harmanem, który jeździł cadillakiem z pięćdziesiątego ósmego, rozmawiać z nim jak równy z równym, jak biznesmen z biznesmenem. I tak właśnie było: byli sobie równi. Wymachiwał rękami, aż wypadła mu szmata i musiał energicznie strzepnąć ją z mankietu nogawki. — Jestem w branży od bardzo dawna. I niech pan zobaczy, jak mnie wykończyli podatkami. To część ich systemu, żeby człowiek czuł się jak idiota, poświęcając się pracy, bo jak skończy, to co mu zostaje? Podatek dochodowy. — Splunął na podłogę.

— Tak — powiedział Harman z taktownym spokojem. — Podatek dochodowy jest z całą pewnością częścią planu redystrybucji dóbr.

— Nałożyli go na Amerykę — stwierdził stary. — Za administracji Franklina Roosevelta. Kiedy tylko myślę o Rooseveltcie... i tym jego synalku, pułkowniku.

— Wróciły wspomnienia — rzekł Harman z łagodnym, wesołym uśmiechem.

Pamiętam, jak Elliott był pułkownikiem.

— Ale ja pana zatrzymuję — powiedział stary.

— Nie — odparł Harman.

— Ma pan mnóstwo rzeczy na głowie, tak samo jak ja. Mówię panu, panie Harman, obaj mamy za dużo obowiązków. Jedyne różnica między mną a panem jest taka, że pan wciąż jest młody i ma energię, żeby sobie z tym radzić, a ja nie. Jestem wypalony. Powiem panu prawdę: już po mnie.

— A diabła tam! — wykrzyknął Harman.

— Takie są fakty.

— Ale dlaczego? Mój Boże, kiedy tu przyjechałem...

— Jasne, leżałem pod tym buickiem. Ale niech pan posłucha. — Przysunął się możliwie najbliżej do Harmana — tak blisko, jak tylko mógł, nie brudząc go — i powiedział cicho: — Pewnego dnia, kiedy będę tak leżał pod tym żelastwem, wie pan co? Dostanę zawału i wykituję. — Odsunął się. — Dlatego muszę się stąd wyrwać.

— Przy całej twojej wiedzy — powiedział Harman.

— Tak, wiem, to straszne — rzekł stary. — Ale muszę słuchać Fratta, to jego działka. Chodzę do fachowców. Nie jestem lekarzem. Wiem tylko tyle, że już od lat miałem kłopoty z niestrawnością, więc poszedłem do Fratta. Niczego nie znalazł, ale na wszelki wypadek zmierzył mi ciśnienie. — Zdradził, jakie ma ciśnienie. Było okropnie wysokie i na twarzy mężczyzny znalazł tego potwierdzenie.

— To straszne, Jim — powiedział Harman.

— Ale jak wrzucę na luz — choć nie mówię, że będę snuł się po domu — znajdę coś mniej wyczerpującego, to mnie podniesie. — Zamilkł.

— A nie myślałeś, żeby kogoś zatrudnić? Do ciężkich prac?

— Nigdy nie znajdę osoby godnej zaufania.

— Rozmawiałeś o tym ze swoim pośrednikiem?

— Ma pan na myśli Matta Pestevridesa?

— Twojego prawnika — odparł Harman. — Albo pośrednika handlu nieruchomościami. Z kim omawiałeś swoje sprawy biznesowe? Z kim się konsultowałeś, zanim sprzedałeś zakład?

Stary milczał.

— Czy omówiłeś to z kimś, kto ma doświadczenie w interesach? Mogłeś przecież zatrudnić kogoś, jakiegoś majstra. Wszyscy tak robią. Każdy dobry doradca biznesowy znalazłby ci taką osobę, kogoś godnego zaufania. To tylko kwestia badań i poszukiwań, kwestia odpowiednich procedur.

Fergesson nie wiedział, co powiedzieć.

— Jestem zdumiony postępowaniem twojego doradcy — stwierdził Harman.

— Zadzwoń do niego i powiedz, że chcę sprzedać warsztat z przyczyn zdrowotnych — rzekł stary.

— To prawdziwa wyprzedaż. Nie straciłeś aby na tym?

— Straciłem — przyznał.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, pozwól, że spytam, za ile to sprzedałeś.

— Za trzydzieści pięć tysięcy.

Harman rozejrzył się, oceniając budynek.

— Wydaje się, że to uczciwa cena. — Zastanawiał się, pocierając kłykiem dolną wargę. — Posłuchaj, Jim. Nie ma sensu gdybać ponieważ, co mógłbyś zrobić ze swoim warsztatem.

Dostałeś, ile chciałeś. Wydusiłeś, ile się dało.

— Tak — stwierdził Fergesson z dumą.

— Mam nadzieję, że nie wzięłaś białka — rzekł Harman, przyglądając mu się uważnie.

— Białka?

— Powiernictwa. Aktu notarialnego z promesą.

— O, nie — odpowiedział od razu. — Żadnych papierów. Dziesięć tysięcy gotówką i reszta włożona na procent do banku, z czego mam dwieście dolarów miesięcznie.

— Na jaki procent?

Stary nie pamiętał.

— Pokażę panu. — Ruszył do zagraconego biura, a Harman szedł za nim długimi krokami. — O, tutaj. — Wyjął dokumenty z szuflady biurka, położył je na blacie i odsunął się.

Harman jakiś czas przyglądał się dokumentom.

— Uważam, że świetnie to załatwiłeś — powiedział w końcu.

— Dzięki — wyszeptał stary z ulgą.

Stojąc przy biurku, Harman uderzył w teczkę dłonią, jakby czymś nagle zaaferowany. Uderzał w nią raz za razem.

— Coś ci powiem. Posłuchaj. Dam ci... jak by to nazwać? Nie, nie radę. — Jeszcze raz otworzył teczkę i przekartkował zawartość. — Po drugiej stronie zatoki. W hrabstwie Marine. Budują na potęgę. Rozbudowują wszystko. — Wpatrywał się w starego.

— Tak — potwierdził Fergesson. Wstrzymał oddech.

— Fragmenty autostrady 101 przebudowują całkowicie. To plan na wiele milionów dolarów, który będzie realizowany kilka lat. Byłeś tam kiedyś?

— Jakiś rok temu.

— Jest tam kilka nowych centrów handlowych — powiedział Harman. — Jedno w Corte Madera. Prawdziwie wspaniały projekt. A teraz posłuchaj. — W jego głosie było coś szorstkiego i ostrego, co przewiercało rozmówcę na wylot, i stary podszedł do drzwi, by je zamknąć, choć Harman nie kazał mu tego zrobić. — Nie oszukuj się — kontynuował. — To tam się teraz wszystko pnie do góry, nie tutaj. Nie w East Bay. To genialny plan... — Zaśmiał się. — Tu nie ma już miejsca. East Bay jest przeładowana. Tak samo jak półwysep. Jedyne w hrabstwie Marin można się rozwijać! — Wpatrywał się szeroko rozwartymi oczami w starego.

— No taa — powiedział Fergesson, kiwając głową. Harman sięgnął do kieszeni, wyciągnął płaski, ciemnoszary portfel i wyjął z niego wizytówkę. Piórem napisał coś wolno i z namaszczeniem na odwrocie, po czym podał wizytówkę staremu.

Na odwrocie Harman skreślił numer telefonu, wielokrotnie poprawiając kierunkowy. Nie była to znana Fergessonowi centrala.

— D u — zaczął czytać.

— Dunlap — powiedział Harman. — Zadzwoń tam.

— Po co?

— Zadzwoń do faceta w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie zwlekaj z tym, Jim.

— Co to jest? — zapytał Fergesson stanowczo, jakby bardzo chciał się dowiedzieć, jakby musiał za wszelką cenę się dowiedzieć.

Usiadłszy na zawalonym szpargalami biurku, Harman z założonymi rękami przypatrywał się dłuższą chwilę staremu.

— Powiedz mi — wychrypiął stary, słysząc w swoim głosie ból i skowyt, jakie nie wydobyły się z jego ust przez całe życie.

— Ten człowiek — rzekł Harman — to Achilles Bradford. Znałbyś go, gdybyś obracał się w pewnych kręgach. Jak się z nim dogadasz, bierz swego prawnika i jedź do niego. On zrobi z tobą

interes. On chce zrobić interes. Ale nie może czekać. Już wpakował w to własny milion. — Kontynuował już spokojniejszym głosem. — To centrum handlowe, Jim. Na sto jedyńce za San Rafael, w stronę Petalomy. W Novato. Jest tam baza sił powietrznych w Hamilton Field. I wiele obszarów budowlanych. A wciąż powstają nowe, jak grzyby po deszczu.

— Rozumiem — powiedział stary, ale nie rozumiał.

— Z tego, co wiem — powiedział Harman — chcą tam zbudować salon samochodowy.

Przedstawicielstwo, prawdopodobnie Chevroleta, ale może też Forda. A może nawet jednej z tych gorących importowanych marek, takich jak Volkswagen. Tak czy inaczej, na sto procent będą tam zakładać stację obsługi. Ci wszyscy ludzie dojeżdżają do pracy, Jim. Aż do San Francisco.

Przejeżdżają po dwieście mil dziennie ośmiopasmową autostradą, a w godzinach szczytu jadą zderzak w zderzak. I posłuchaj. P o c i ą g i t a m n i e k u r s u j ą . Wiesz, co to oznacza? Ci ludzie muszą dbać o swoje pojazdy. Centrum samochodowe będzie wszechstronne. Nowe wozy, dostawy części, warsztat... wszystko to oparte na naprawach. I mówimy tu o dużym warsztacie, Jim. Nie o takim jak ten tutaj, jednoosobowym. Żeby wszyscy mogli jechać tą trasą, potrzebny jest całodobowy serwis. Z dziesięcioma, piętnastoma mechanikami na jednej zmianie. Z samochodami do holowania. Z serwisem dla pojazdów komunikacji miejskiej. Zaczynasz rozumieć?

— Tak — powiedział stary. Zrozumiał.

— To nowa idea warsztatu. Stacja napraw przyszłości. W pewnym stopniu taki warsztat jutra.

Zdolny poradzić sobie z ruchem samochodowym przyszłości. Za pięć lat stare warsztaty odejdą w niepamięć. Miałeś rację, że sprzedałeś teraz to wszystko. To było bardzo mądre posunięcie.

Fergesson kiwnął głową.

— Mógłbyś w to wejść — rzekł Harman. — Możesz tam pojechać? Możesz wziąć swojego mecenasa i ruszyć na podbój?

— Nie wiem — odparł stary.

— Jak nie, to jedź bez niego. A l e z j a w s i ę t a m . — Nagle Harman zeskoczył z biurka. — Muszę lecieć. Już jestem spóźniony. — Wypadł z biura, otwierając drzwi na oścież.

— Ale moje zdrowie — powiedział Fergesson, idąc za nim. — Przecież nie mogę już pracować w warsztacie.

— Inwestor wykląda kapitał początkowy i kieruj e zakładem — rzekł Harman, zatrzymawszy się na chwilę. — Zapewnia wiedzę i doświadczenie. Prace fizyczne będą wykonywać mechanicy ze związków. Kapujesz?

— Och — wykrztusił stary.

— Na razie, Jim — powiedział Harman, wyciągając do niego rękę.

Jim Fergesson niezgrabnie uściśnął mu dłoń.

— Reszta — dodał Harman — zależy od ciebie. — Mrugnął do niego z przyjacielskim, optymistycznym uśmiechem. — Zostawiam cię. — Machając, podszedł dziarskim krokiem do swego cadillaca i wskoczył do środka. Włączając silnik, zawołał: — Jutro zrobimy to smarowanie, dzisiaj muszę już pędzić.

Cadillac zniknął w sznurze samochodów.

Jim Fergesson bardzo długo patrzył za nim. Potem wolno wrócił do buicka, nad którym pracował.

Godzinę później w biurze rozdzwonił się telefon. Stary odebrał i usłyszał Harmana.

— No i co powiedział? — zapytał biznesmen.

— Nie dzwoniłem jeszcze — odparł stary.

— Co takiego? — Harman był prawdziwie zaskoczony. — No to lepiej się pospiesz, Jim. Nie

pozwól, żeby ci to przeciekło między palcami. — Powiedział jeszcze kilka tego typu gładkich zdań, po czym poprosił starego, by go zawiadomił, kiedy już porozmawia z Bradfordem.

Fergesson usiadł za biurkiem i zaczął rozmyślać nad tym wszystkim.

Nikt mnie nie będzie poganiał, powiedział sobie. Nikt mnie nie będzie naciskał. To wbrew mojej naturze.

Nie zadzwonię, pomyślał. Ani teraz, ani później.

Zrobię inaczej, postanowił. Pojadę tam, do hrabstwa Marin. Zobaczyć to miejsce, to całe centrum handlowe. I sprawdzę wszystko osobiście. A potem, jak mi się spodoba, może porozmawiam z tym facetem.

Poczuł przyływ energii, własnej przebiegłości. Wybuchnął śmiechem.

— A do diabła z tym — powiedział. Mam dzwonić, zanim się rozejrzę? Mam wierzyć mu na słowo?

Dlaczego niby miałbym wierzyć Harmanowi? Dlaczego miałbym komukolwiek wierzyć? Nie osiągnąłbym tego, co mam, gdybym słuchał wszystkiego, co ludzie mówią. Wierzył pogłoskom.

Ale musiał się upewnić, że trafi we właściwe miejsce. Podniósł więc słuchawkę i wykrcił numer, który w notesie stałych klientów znajdował się obok numeru Harmana.

\* \* \*

Tego wieczoru po powrocie do domu minął żonę, nie odzywając się do niej ani słowem. Poszedł prosto do łazienki, zamknął drzwi na klucz i zanim głos Lydii zdołał go rozkojarzyć, odkręcił kurki przy wannie.

Wiem, gdzie to jest, pomyślał, leżąc w wodzie. Znajdę to miejsce.

Zamierzał wstać rano, tak wcześnie jak to tylko możliwe, i wrócić do warsztatu w południe.

Leżąc w wannie, wpatrywał się w wilgotny od pary sufit i opracowywał każdy szczegół swego planu. Powtarzając go w myślach, przypatrując mu się ze wszystkich stron, wiedział, że dopracował wszelkie szczegóły — nic nie umknęło jego uwagi.

Nowy, pomyślał. Będzie nowy, każdy szczegół dopracowany. Żadnego smaru, żadnych przykrych zapachów, żadnej wilgoci, wrazenia starości, kupy starych części w rogu... wszystko to zniknie. Zostanie wymiecione. Sterty i kałuże, kurz. Nic z tego nie zostanie.

Do diabła z nimi, pomyślał. Będę miał biuro ze szkła, z dźwiękoszczelnymi ścianami. Będę sobie z góry patrzył na mechaników. Będę tylko zarządzał. Przez kilka interkomów. Może nawet takich bezprzewodowych. Wszędzie fluorescencyjne światła, jak w tych nowych fabrykach.

Mnóstwo automatyki. Wszystko zorganizowane; żadnego marnowania czasu, bo to kosztuje.

Będzie jak w laboratorium, rozmyślał. Mnóstwo nowoczesnych urządzeń, jak przy atomie. Jak w Livermore, gdzie wynaleźli bombę.

Zaczął postrzegać siebie jako cząstkę nowego świata, wraz z Harmanem, wraz z innymi przedsiębiorczymi ludźmi. To prawdziwa Ameryka, pomyślał. Wizja. Co może zrobić kapitał i wyobraźnia. A ja mam jedno i drugie.

Odwaga, stwierdził. Trzeba być odważnym. Nawet bezwzględny. Albo zjedzą człowieka. Ci tylko czekają, starają się ściągnąć cię do swego poziomu, a gdy się pniesz w górę, mają ci to za złe.

Zawistnicy. Jednak trzeba to ignorować. Tak jak robi to Nixon: stoi twardo i szydzi z tych, co go obrażają, rzucają kamienie, nawet plują. Ryzykuje życie.

Z przymkniętymi oczami, zanurzony w gorącej wodzie, dopuszczając sobie świeżej, stary myślał o sobie w taki właśnie sposób. Nie jak o kimś zagubionym w brudnych, pozbawionych znaczenia zaułkach San Pablo Avenue; widział się w otoczeniu wielkich, ludzi, którzy się liczą. Jestem ucieleśnieniem przemysłu, pomyślał. Nie polityki, na tym się nie znam. Ten kraj zbudowano na

biznesie. Jest jego kręgosłupem.

Inwestycje! Inwestuję w przyszłość Ameryki. Nie dla własnego dobra — do cholery, przecież nie dla zysku — ale by napędzać gospodarkę. I t o s i ę b ę d z i e l i c z y ć . J a s i ę b ę d ę l i c z y ł .

Wcześniej rano ulice były wilgotne, a nad wszystkimi domami zalegała mgła na tyle gęsta, że zaczęła się skraplać na pionowych powierzchniach. Na ulicach nie było żywej duszy, ale gdzieś jaśniały prostokąty okien kuchennych, w których, jak sobie Jim Fergesson wyobraził, ludzie wystawiali tyłki do otwartych piekarników, żeby się rozgrzać.

Ogolił się, odgrzał sobie papkę z kukurydzy, która została od wczoraj, wypił grubo mieloną czarną kawę stojącą od wieczoru w czajniku, po czym opatulony kurtką zszedł do podziemnego garażu, w którym stał pontiak. Lydia jeszcze spała. Nikt go nie usłyszał i nikt go nie zobaczył.

Wilgoć dostała się do silnika i ten zgasł mu dwukrotnie, zanim wyjechał z garażu. Wciąż jeszcze się krztusił, kiedy sunął już przez Grove Street. Fergesson nie potrafił pozbyć się myśli, że gdyby miał czas, rozebrałby samochód na czynniki pierwsze i skrzył go ponownie. Niemal wszystko w nim było zużyte — nic nie działało, jak powinno. Nie wrzucił wyższego biegu, lecz dotarł na drugim do światła. Rozejrzył się ostrożnie i nie zatrzymując się, skrzył w prawo. Chwilę później jechał trzydzieści pięć mil na godzinę przez Oakland. Po jakiejś mili silnik rozgrzał się i zaczął lepiej pracować. Stary włączył radio i słuchał programu *Synowie pionierów*.

Większość kierowców na Eastshore Freeway miała tylko jedno w głowie: dojechać do San Francisco. W drugą stronę ruch był duży, ale na pasach na wprost było niemal pusto, Ferges — son mógł więc ruszyć ostro na Richmond. Szyby w pontiaku podniesione, ogrzewanie działało bez zarzutu. Poczł się komfortowo i wygodnie, a muzyka kowbojska kołysała go do snu. Stopniowo jego samochód zaczął zjeżdżać na bok, aż wóz z tyłu zatrąbił na niego, podniósł się więc na fotelu i skoncentrował na drodze. Była szósta trzydzieści.

Wzdłuż płaskiej linii brzegowej East Bay rozciągały się po prawej tereny aquaparku. Osiągnął już sześćdziesiąt mil na godzinę, w jego mniemaniu zawrotną szybkość. Najwyraźniej nie był tu dłużej, niż sądził — na autostradzie widać było zmiany, pobudowano nowe wiadukty, objazdy i skróty, które zdeorientowały go. Poza tym, zauważył, autostrada miała dwanaście pasm. Czy zamierzają jeszcze ją poszerzyć? Pobocze wykonano z białego cementu i nigdzie nie było widać zatoczek. Płaskość pobocza wprawiła go w zadowolenie. Trzymał kierownicę obiema rękami i spoglądał na domy i wzgórza po prawej.

Należało odnaleźć bulwar Hoffmana; musiał zjechać na prawo, bo inaczej nie mógłby opuścić autostrady. Przeskakiwał więc stopniowo z pasa na pas, myśląc, że to najlepszy sposób. Kierowcy samochodów po prawej byli jednak odmiennego zdania — ścigał go chór klaksonów.

Przyspieszywszy, wpadł na otwartą przestrzeń na prawym pasie, niemal zjeżdżając na asfaltowe pobocze. Po chwili ruszył wąskim, wyboistym tymczasowym wjazdem na bulwar Hoffmana.

Przemknął na zielonym świetle przez skrzyżowanie i pod posępnym wiaduktem z czarnego żelaza, z wielkimi znakami ostrzegawczymi i mrugającymi żółtymi światłami. Światła zmieniały się w takim rytmie, że jadąc pod nimi, poczuł, iż zdarzy się coś strasznego. Przejazd pod wiaduktem był tak wąski, że przez moment obawiał się, czy się zmieści. Miał wrażenie, że zaraz zarysuje sobie boki, i mógł jedynie zacisnąć mocniej dłonie na kierownicy. Ale chwilę później wyjechał z drugiej strony i tam ponownie miał zatokę po lewej.

Kilkanaście mil dalej bulwar otoczyły tanie stacje benzynowe i kawiarnie dla kierowców ciężarówek, a następnie najobszerniejsze murzyńskie slumsy, jakie widział. Ruch był tu bardzo wolny, bo między osobowymi jechały też wielkie ciężarówki na ropę. To, jak się domyślał, było Richmond. Na popękanych chodnikach walały się sterty śmieci.

Po lewej stronie zobaczył fabryki i nabrzeża. Blisko oceanu, uświadomił sobie. Tory kolejowe,

jedne koło drugich. A później, na wprost, strome wzgórze z domami. Ulica skręcała ostro. Ujrzał otwartą przestrzeń i olbrzymią rafinerię Standard Oil. I nagle ulica znów zmieniła się w pnącą się do góry autostradę, na której wozy wokół niego nabierały prędkości. Przemknął przez szeroki łuk nad rafinerią i tam ponownie zobaczył zatokę i most łączący East Bay z hrabstwem Marin. Był to najpaskudniejszy most, jaki kiedykolwiek widział, ale nie przytłoczył go on, tylko rozbawił.

Zwolnił przy rogatkach, zapłacił siedemdziesiąt pięć centów i wjechał na most. Tak go postawili, że kierowca nie widział niczego — ani wody, ani wysp, ani nawet tego, dokąd jechał; było widać jedynie ciężkie metalowe dźwigary.

Jakiś inżynier geniusz, powiedział do siebie Fergesson. Co za rozmach. Znów się zaśmiał.

W końcu jakiś znany punkt orientacyjny. Skoncentrował się na tym, co zobaczył daleko przed sobą. Więzienie San Quentin ze swymi budynkami w kolorze wypalanej gliny, przypominające stary meksykański fort. Budynki na brzegu wyglądały, jakby ktoś je postawił przed miesiącem.

Most mijał więzienie po prawej i wychodził na autostradę z niezwykłą liczbą zjazdów. Znów poczuł mętlik w głowie. Ale na drogowskazie przeczytał, gdzie ma skręcić, by trafić na US 101

North. I tam właśnie zjechał.

Przebył płaską przestrzeń z wielką prędkością, mając za sobą jeden samochód, a przed sobą drugi. Wiatr huczał, omiatając pontiaka. Dojechał do San Rafael i US 101; był już niemal na miejscu, a wcale nie musiał długo prowadzić. Był sporo przed czasem i jego nastrój też urósł proporcjonalnie.

Kiedy zobaczył stację benzynową na niewielkiej bocznej drodze, włączył kierunkowskaz i zjechał z autostrady. Po kilku zakrętach wtoczył się na stację i stanął przy najbliższej wysepce z dystrybutorami. Po otwarciu drzwi zauważył, że poranne powietrze jest ciepłe. Wiatr kołysał chwastami rosnącymi wokół stacji.

Podniósł maskę i zwiniętą stroną gazety sprawdził poziom oleju. Było go o wiele za mało, więc ze stojaka obok dystrybutorów wziął kwartę trzydziestki. Młody pracownik stacji pognął w jego stronę, kiedy stary opróżnił pojemnik do stojącego obok nalewaka.

— Ej! — zawołał chłopak z oburzeniem. — Żadne takie.

— Przepraszam — powiedział Fergesson, uświadamiając sobie, że nie jest w swoim warsztacie.

— Nalej mi piątkę zwykłej. — Już sięgał do dystrybutora, ale udał, że sprawdza cenę. Etyłowa kosztowała trzydzieści dziewięć centów za galon. Kiedy chłopak wziął wąż do ręki, dał wyraz swemu zdumieniu.

Pracownik był wciąż zdenerwowany. Nawet gdy poszedł do tyłu i zdjął nakrętkę baku, nie spuszczał z oka starego mężczyzny, jakby spodziewał się, że znów będzie majstrował przy urządzeniach firmy. Odruchowo Fergesson wszedł do samochodu i został tam, aż chłopak obszedł wóz, by przetrzeć szyby.

— Nie, nie — powiedział chłopakowi i chcąc się go pozbyć, wcisnął mu kilka banknotów dolarowych.

Chłopak wydał resztę, po czym wyciągnął nalewak do oleju. Maskę opadła z hukiem i stary wyjechał ze stacji na drogę. Kiedy wepchnął się przed wóz z mleczarni, usłyszał głośnie trąbienie.

W trakcie jazdy chęć wejścia w ten interes była coraz większa. W każdej chwili spodziewał się znaku wskazującego drogę do Marin Country Gardens. Ale zjechał z autostrady; wąska droga nie wracała na nią, lecz prowadziła do ulicy mieszkalnej. Od autostrady oddzielało go wysokie, zwieńczone drutem kolczastym ogrodzenie, za którym widać było pędzące z zawrotną prędkością auta. On jechał jednak dalej niezrażony, oddzielony od autostrady metalowym płotem.

Najwyraźniej dotarł do San Rafael, miasteczka, w którym — jeśli w ogóle — był bardzo



dawno.

Jechał między cichymi domami z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę. Przecznice były tu krótkie. Zobaczył kilku ludzi zmierzających do pracy. Szli zwawym krokiem, niektórzy w garniturach, inni w ciuchach roboczych. Wszyscy poruszali się niezwykle szybko, jak postacie w niemym kinie. To również go ubawiło.

Jakiś czas jechał przez miasto, wciąż mając na oku autostradę, i zastanawiał się, gdzie jest, choć bawił się doskonale. W końcu zobaczył krzepiący widok. Była to świeżo rozorana przestrzeń, on zaś uświadomił sobie, że to budowa przy autostradzie. Wielkie rury leżały w rzędach. Był to ceramiczny system kanalizacyjny, który musiał zostać wkopany na samym początku. I stały tu maszyny budowlane. Te wielkie. Ciężki sprzęt, jakiego rząd federalny używał do prac: widział już taki, kiedy przebudowywano autostradę numer 40, obecną Eastshore Freeway.

Podjechał do samego placu budowy i zatrzymał samochód. Nie miał innego wyjścia — chodnik kończył się poszarpanymi płytami, które zdążyły już popękać. Droga, którą jechał, została zastawiona koparkami. Stał na brzegu rowu. Brud. Podziemna część, której się zwykle nie widzi.

Przestraszył się i zaciągnął ręczny hamulec. Maszyny, pomyślał, wszystko stąd wyrwały, niczego nie zostawiły. Jakaż moc tkwi w takiej koparce! Nic się nie ostało... Spojrzał w prawo i w lewo.

Strasznie długa bruzda, a jaka szeroka! Czy samochód mógł tędy przejechać? Czy można było wyjechać po drugiej stronie na autostradę? Wysoko w górze zobaczył szybko przemieszczające się kreski. Pojazdy na autostradzie.

Wzdłuż autostrady biegł podwójny ślad. Bieżnik odcisnięty dużym ciężarem. Były tu jakieś wozy. Włączył więc silnik i zjechał na dół z asfaltu. Samochód podskakiwał, skrzypiał i kiwał się na boki. Fergesson jechał uważnie po wytyczonych śladach. Pontiakiem trzęsło, gdy jakiś kamień dostał się między koła. Ściskając mocno kierownicę, wjeżdżał w wykroty i wyjeżdżał z nich.

W pewnym miejscu minął grupę robotników, którzy gapili się na niego. Następnie przejechał obok wzniesienia z maszynami. W końcu zobaczył, jak zbliża się do niego metaliczny korpus.

Zatrzymał wóz, bo okazało się, że to buldożer. Kierowca wysoko na swoim fotelu potrząsał pięścią i coś krzyczał. On również się zatrzymał i dwa pojazdy stanęły na wprost siebie. Fergesson nie wysiadł. Został za kierownicą.

Operator buldożera wyskoczył z kabiny i podszedł do niego.

— Kim ty jesteś, do jasnej cholery?! Zabieraj stąd tego gruchota!

W oczach starego buldożer wraz z kierowcą należeli do nierzeczywistego świata. Słyszał, jak mężczyzna sapie, i widział jego zaczerwienioną okrągłą twarz w szybie, ale nawet nie drgnął. Nie wiedział, co zrobić.

— Zawracaj! — krzyknął mężczyzna. — Wracaj na drogę! No już, chłopie!

— Zna pan pana Bradforda? — zapytał Fergesson. Pojawili się inni robotnicy, a z nimi facet w garniturze.

Wskazywali na pontiaka i machaniem zwoływali kolegów. Rząd postaci rósł błyskawicznie wzdłuż góry sprzętu i ziemi — byli to gapie.

Mężczyzna w garniturze podszedł do szyby i powiedział:

— Będę zmuszony prosić pana, żeby pan zawrócił i odjechał. To prywatna droga budowana dla rządu.

Fergesson miał pustkę w głowie. Przejechał prawie milę na najniższym biegu po śladach w ziemi. Pomyśl, żeby zawrócić, oszałamiał go. Był zmieszany i nie wiedział, co powiedzieć.

— No, co z nim jest?! — darł się kierowca. — Chryste, muszę przejechać! Nie mogę tu

pierdzieć w stołek cały dzień!

— Może nie umie po angielsku — powiedział jakiś robotnik.

— Pokaż pan prawo jazdy — zażądał facet w garniturze.

— Nie — odparł Fergesson.

— On nie wie, jak zawrócić — skwitował to robotnik.

— Przesuń się pan — nakazał garnitur i otworzył drzwi. — Ja wycofam. No, suń się, stary.

Słuchaj, możemy ci wlepić mandat, jesteś na stanowej budowie. Wjechałeś tu bez pozwolenia.

Nie masz prawa przebywać na tej drodze. To nawet nie jest droga, tylko budowa drogi.

Przepchnął Fergessona na siedzenie pasażera, zatrzasnął drzwi, wrzucił wsteczny i spoglądając do tyłu, zaczął cofać. Kierowca buldożera wrócił do maszyny i ruszył ich śladem. Bardzo długo trwało, nim dojechali do punktu wyjścia. Fergesson patrzył tylko na tablicę rozdzielczą i milczał.

— No dobra — powiedział mężczyzna, zaciągnął ręczny i wysiadł. — Proszę bardzo.

— Dokąd mam jechać? — zapytał Fergesson.

— Wycofaj pan i suń tam, skądś pan przyjechał. Stary wskazał przez pas ziemi na autostradę.

— Zawracaj pan — powtórzył facet. — Do San Rafael i tam znajdź pan ulicę, żeby przejechać na drugą stronę.

Odszedł szybkim krokiem i Fergesson został sam. Słyszał łoskot buldożera oraz nawoływania robotników — zaczęli pracę. Wrzucił bieg i szczękając zębami, wjechał niezdarnie drogą wzdłuż domów i trawników do mieszkalnej dzielnicy San Rafael.

Zobaczywszy mężczyznę na chodniku, wychylił się przez okno i zawołał do niego:

— Jak mam przejechać na drugą stronę?

Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem i poszedł dalej bez słowa. Fergesson podkreślił szybę. Był zdruzgotany, roztrzęsiony i nie pojechał za nim. Dochodziła dziewiąta i robiło się cieplej.

Żółte słońce wisiało już nad drzewami i chodnikami: trawniki błyszcząły rosą. Jakiś listonosz szedł wolno chodnikiem i Fergesson zaparkował koło niego przy krawężniku.

— Jak mam przejechać na drugą stronę 101? — zapytał.

— A dokąd pan jedzie?

— Do Marin Country Gardens — odparł stary, przyjmując beztróską pozycję za kierownicą.

Listonosz musiał się zastanowić.

— Nie — stwierdził w końcu. — Pierwsze słyszę. Niech pan jedzie do ratusza, tam pan się dowie. Proszę tam kogoś zapytać, oni będą wiedzieć. — I poszedł sobie.

Dalej stary jechał bez celu, nie wiedząc, dokąd się udać ani z kim porozmawiać. Wydawało się, że coraz bardziej oddala się od centrum — ulice były tu bardziej strome, a domy starsze. W końcu wyjechał na coś, co przypominało uliczkę osiedlową, ale taką sprzed lat, na której stały walące się domy, a na podwórkach chwasty rosły po pas.

Raz zobaczył policjanta, ale wyglądał na wrednego twardziela, więc się nie zatrzymał. Zrobiło się kwadrans po dziesiątej. To dopiero historia, pomyślał. Gdzie ja jestem? Wciąż w San Rafael? Za drogą dostrzegł jakby otwartą przestrzeń. Pola, w oddali jakieś wzgórza.

O dziesiątej trzydzięci dojechał do skrzyżowania i zobaczył budynek z imitacji kamienia, a na nim tablice: DOWLAND NIERUCHOMOŚCI, NOTARIUSZ, WYNAJEM. Zaparkował auto i wszedł do środka.

Za jednym z trzech biurek siedziała kobieta w średnim wieku, we wzorzystej sukience i kapeluszu. Rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się do niego, zakończyła rozmowę i podeszła do lady.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Chciałem się dostać do Marin Country Gardens — rzekł Fergesson.

Kobieta zastanawiała się chwilę. Wyglądała elegancko z falistymi, spiętymi z tyłu siwiejącymi włosami. Miała drogie ubranie i pachniała ładnie pudrem oraz perfumami.

— To nie należy do nas. To jedna z nowych inwestycji na końcu 101 — powiedziała, po czym dodała z wahaniem: — Mówiąc szczerze, nawet nie wiem, czy tam już się ktoś pojawia.

— Chciałem się zobaczyć z panem Bradfordem — rzekł stary. Kobieta oparła się o ladę i postukała żółtym ołówkiem po zębach.

— Może pan zawrócić i za jakąś milę przejechać na drugą stronę. Ale może też pan jechać dalej.

Pańska budowa znajduje się przy autostradzie w stronę Petalumy, więc może pan również jechać dalej tą drogą. Pracują tam na całego, zatem musi pan uważać. Łatwo się zgubić.

Położyła mapę na ladzie, dzięki czemu mogła mu udzielić precyzyjnych wskazówek.

Podziękował jej i wrócił do samochodu, czując nowy przypływ energii. Może teraz, pomyślał.

Przynajmniej ta budowa istnieje, kobieta rozpoznała nazwisko.

Kiedy już ruszył, znów znalazł się w rejonie budowy. Droga zmieniła się w połąć spękanego asfaltu, jak przypuszczał, pod wpływem ciężkiego sprzętu, ale udało mu się przejechać nią na drugą stronę autostrady wraz z grupą samochodów, pod czujnym okiem starszego mężczyzny w niebieskich dżinsach, który machał chorągiewką. Tam został skierowany w lewo, na wyboistą starą drogę pokrytą nawierzchnią bitumiczną; biegła równoległe do autostrady, choć jakąś milę od niej.

Po obu jej stronach widział martwe sady owocowe. Nie był w stanie rozpoznać, jakie to drzewa.

Do jego uszu dobiegł harmider maszyn. Po chwili zobaczył je w oddali; przypominały wspinające się mozolnie owady. Ale teraz mu się wydawało, naprawdę, że w końcu widzi Marin Country Gardens — przynajmniej na szerokim stoku brązowego wzgórza zobaczył powstające osiedle. Widział wyraźnie, w którym miejscu zniwelowano grunt, wytyczono wąskie drogi osiedlowe i zaczęto wylewać fundamenty. Podekscytowany opuścił szyby. Do środka wpadło ciepłe i suche letnie powietrze, tak bardzo różniące się od miejskiego smrodu. Zapach schnącej trawy był kojący, a widok płaskich połaci utwierdził go w przekonaniu, że wreszcie odnalazł to, czego szukał; widok, jaki rozpościerał się za zakurzoną szybą z resztkami owadów, w idealny sposób odpowiadał jego oczekiwaniom.

I nagle, ku jego nieopisanej radości, pojawiła się tablica. Mijając ją, zdołał odczytać tylko duże litery. Informacje wymalowano na drewnie fluorescencyjnymi zielono-czerwonymi literami — wiły się w rzędach, ujawniając całą prawdę o zaliczce, rzutach, kondygnacji, liczbie cegieł w kominku i kolorach. Przeczytał:

MARIN COUNTRY GARDENS

TYLKO ¼ MILI DALEJ

OTWARTE DLA POTENCJALNYCH KLIENTÓW

Nie była to już stanowa czy federalna budowa, ten rozkopany obszar z maszynami; było to prywatne przedsięwzięcie. A jednak pasowało tutaj. Wpisywało się w ogólny plan zamieszania i krzątania. Wszystko pasowało do siebie i tutaj było jego miejsce — on też tu pasował. Dłonie i nadgarstki piekły go od potu. Zamrugał i poczuł coś nowego, nie, wcale nie, było to stare uczucie, znane jeszcze z dzieciństwa. Aż przebierał nogami, żeby się zatrzymać i wysiąść z samochodu; miał ochotę biegać, podskakiwać, brać coś z ziemi i rzucać tym jak najdalej. Droga wiodła do niewielkiego, krytego papą budynku z parkingiem przed wejściem. Stał tu poobijany czarny ford.

Ziemia była błotnista i rozjeżdżona. Fergesson zobaczył kilka rolek papy poustawianych pod

ścianą budynku. I do połowy opróżniony worek z cementem.

Kiedy już zatrzymał się i zaciągnął hamulec ręczny — postanowił działać metodycznie — podszedł do budynku wolnym, zrelaksowanym krokiem. Drzwi do biura stały otworem, a za biurkiem siedział mężczyzna z nogami skrzyżowanymi na blacie. Czytał jakąś książkę w miękkiej oprawie. W biurze unosił się zapach lakieru. Na biurku stał telefon i druciane tacki na papiery, a na ścianie wisiał błyszczący, nowy, pachnący wciąż farbą kalendarz z fotografią dziewczyny w długiej, kwiecistej spódnicy.

— Pozdrówki — rzucił mężczyzna. Wywinął karty książki, jakby chciał się pozbyć tych nieprzeczytanych. Następnie złożył ją, hałaśliwie cisnął o blat biurka i splótł dłonie. Był młodym człowiekiem o długiej, końskiej twarzy i gęstych włosach. Miał na sobie nieformalny, jednorzędowy garnitur. Stary dostrzegł wystające zęby i szorstką, czerwoną skórę na szyi. Co dziwne, skarpetki zwijały się facetowi na kostkach. — Czyta pan te rzeczy? — zapytał, wskazując kciukiem zamkniętą książkę.

— Nie — odpowiedział Fergesson, dysząc z wyczerpania i podniecenia.

Mężczyzna podniósł książkę i spojrział na nią.

— *Fala mózgowa* — przeczytał. — Poula Andersona. Science fiction. Czytam wszystkie książki science fiction. W zeszłym tygodniu to z pięćdziesiąt przeczytałem. Mam ich całe biurko. Ludzie mi je dają, nawet nie muszę ich kupować.

Przy całym swoim pośpiechu Fergesson nagle znalazł się w zamkniętym punkcie bezczasowości.

Wokół tego biura, z tym człowiekiem w środku, od dziesięcioleci trwała wielka budowa, a on wyznaczył sobie tutaj punkt informacyjny. Przy swoim biurku, ze stosem książek wokół, był jak egipski nadzorca budowy piramid. Bez emocji, odcięty od świata, powitał Fergessona z namaszczeniem.

— Nie — odparł stary, pragnąc wprawić ponownie mężczyznę w ruch, przywrócić go współczesności. — Posłuchaj pan, zna pan pana Bradforda?

Mężczyzna pokiwał głową.

— Jest tutaj?

— Bradforda tu nie ma — rzekł mężczyzna. Wstał i wyciągnął dłoń, a Fergesson ją uścisnął.

Była ciężka i sucha. Mężczyzna przygarbił się pod niskim sufitem, tak że cały jego wzrost skumulował się w ramionach. — Nazywam się Carmichael. A pan? — Zawiesił głos, jakby znał jego nazwisko, tylko zapomniał i oczekiwał, że kiedy tylko je usłyszy, rozpozna je i powtórzy.

— Jim Fergesson.

— Cześć, Jim — powiedział Carmichael, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy. — To irlandzkie nazwisko?

— Chyba tak — odparł stary. Już się uspokajał. Czuł, jak obniża mu się ciśnienie krwi.

— Siadaj, Jim. — Mężczyzna odsunął krzesło przy biurku i wrócił do swojego po drugiej stronie. Pocierał o siebie twardymi jak kamień dłońmi, jakby chciał uformować jakąś pionową płaszczyznę. Następnie odgiął kciukiem dolną wargę, ukazując dziąsło. — No, Jim — odezwał się.

— W czym ci mogę pomóc? Chcesz kupić ode mnie dom?

— Nie — powiedział Fergesson. — Chcę porozmawiać z panem Bradfordem. Mam z nim coś do omówienia. Kiedy się tu pojawia?

— Nie chcesz kupić domu — rzekł Carmichael. — Tak w ogóle, to podejrzewałem, że nie przyjechałeś kupić tu domu. Z tego co wiem, pan Bradford był tu raz. Należy do gości, którzy finansują te prace. Wykonuje je firma Gross i Duncan... budowlana firma. — Zwolnił nieco. — Ja ją reprezentuję. Więc możesz pomówić ze mną.

Już wcześniej Fergesson postanowił, że się nie wygada, że będzie udawał kogoś, kto przyjechał tu w zupełnie innej sprawie. A naprawdę przyjechał tu, żeby sprawdzić, co udało się już osiągnąć — wydawał wyrok na Marin Country Gardens oraz pracę budowlańców i plany sponsorów. Mógł zdecydować nie tylko o sobie, ale i o losie ich wszystkich. I Carmichael tkwił w tym, ponieważ stanowił składnik tej decyzji. Był częścią całej inwestycji, podobnie jak robotnicy i buldożer, facet w garnitur — ku, który cofał pontiaka, oraz — po części — policjant, listonosz, agentka sprzedaży nieruchomości, a także cała reszta.

— Chcę zobaczyć, jak pracują — powiedział Fergesson. — Można popatrzeć?

— Dlaczego nie? — odparł Carmichael i nawet nie ruszył się z miejsca. Wydawał się pogodzony z losem i zadowolony, ale zachowywał się, jakby w ogóle go to nie dotyczyło. — W jakiej branży robisz, Jim?

— W mechanice — rzekł Fergesson.

— A co robisz: projektujesz, wymyślasz czy produkujesz maszyny? Pracujesz przy maszynach?

— Przy samochodach — odparł stary.

— Naprawdę? — Carmichael wyglądał, jakby się lekko zainteresował. — Kiedyś miałem podrasowaną gablotę, którą cały czas ulepszałem. Podczas wojny pracowałem w C.B.s. Przy projektowaniu silników... głównie przy zmianach w gaźniku. Oddzielnym zasilaniu cylindrów.

Dlatego to sobie czytam. — Podniósł książkę science fiction i ponownie upuścił ją na blat. — Wiesz, tych gości, co piszą takie historie... o raketach, maszynach do podróżowania w czasie, napędzie dającym prędkość większą od prędkości światła i tych wszystkich pierdołach. Jak chcesz, żeby twój bohater znalazł się na Marsie, mówisz coś takiego: „Włączył automatyczne dysze wysokiego poboru”. To zdanko akurat nie jest najgorsze, tak jak niektóre inne. Prują przez wszechświat. Łatwo musi być pisać coś takiego. Pewnie skrobią wszystko na chybcika.

— Rozumiem — powiedział Fergesson, nie rozumiejąc ni w ząb.

— Chciałbym poznać kiedyś jednego z tych chłoptasiów od latających spodków. Zatrudniłbym się u takiego jako konsultant techniczny. — Końskie zęby Carmichaela ukazały się w szyderyczym grymasie. — Za dziesięć, piętnaście procent tego, co taki dostaje. To straszne barachło. I lecą z tym koksem przez całą książkę. Na przykład tutaj — rzekł, podsuwając staremu powieść pod nos, żeby mógł zobaczyć na własne oczy. — Ta jest o tym, jak w jedną noc wszystkim skacze pod sufit poziom IQ. — Nagle wybuchnął głośnym, niepokojącym śmiechem. — Zwierzęta stają się tak mądre jak ludzie. Czytałeś to kiedy?

— Nie — odparł Fergesson. Zaczął się już niecierpliwić; podszedł do drzwi biura i wyjrzał na niedokończone domy.

— A co robisz z tymi wozami? — zapytał Carmichael, wciąż siedząc za biurkiem.

— Naprawiam je. Mam warsztat. W Oakland.

— W jakiej części Oakland?

— Przy San Pablo Avenue — powiedział stary i otworzył drzwi. Carmichael odsunął krzesło i poszedł za nim. Położył swoją wielką dłoń na ramieniu Fergessona.

— Mówiłeś, że chcesz się rozejrzeć? — Ruszył obok niego zwirową alejką. — No to pokażę ci wszystko.

— Dzięki — powiedział stary.

Wyciągając szyję, dostrzegł prostą drogę u podnóża pagórka; błotnista ścieżka schodziła w dół i znikwała w głębokim rowie, by następnie minąć stosy rur i sterty drewna. Tu i tam ekipy pracowały przy fundamentach. Spokój mąciły odgłosy betoniarki i odbijający się echem stukot młota.

Pachniało świeżo ciętym drewnem.

— Całkiem, całkiem — powiedział Carmichael, zatrzymując się, by zapalić papierosa. Odrzucił daleko zapalną. — No nie, Jim?

— Tak — odparł Fergesson.

Ruszyli w dół ścieżką. Pod ich stopami turlały się bryły ziemi i stary drobił, bo pięty ślizgały mu się w błocie.

— Uważaj, gdzie stajesz — rzucił Carmichael, który schodził za nim statecznym, spokojnym krokiem. — Nie, Bradford tu nie przyjeżdża. Widzisz, Jim, powiem ci, jak to jest. Bradford nie ma nic wspólnego z budowaniem. Daje tylko pieniądze, a Gross i Duncan odwalają całą robotę.

Sprzedają zajmuje się dwóch, trzech agentów. Ja mam taki układ, że mieszkam na tym terenie.

Dają mi jeden z domów bez opłat na rok albo aż się wszystko zapełni. Za każdy sprzedany budynek dostaję na łapę pięćset dolców. Poza tym nie mam stałej pensji. Ale wystarczy, że opchnę dwa domy miesięcznie. O, tam stoi mój. To egzemplarz pokazowy. Pełen mebli z domu towarowego i z w pełni wyposażoną w sprzęty elektryczne kuchnię. Tam jest moja żona. — Wskazał i Fergesson zobaczył zasłony w oknach. Był to jednopiętrowy dom w stylu ranczerskim, z garażem, płotkiem z desek oraz trawnikiem otoczonym rabatkami. Cementowa dróżka prowadziła do grzędawiska błota, które było ulicą. Inne domy były niedokończone, niepomalowane i puste. Miały identyczną konstrukcję. W rzędach budynków Fergesson nie dostrzegł ani jednego odstępstwa od podstawowego projektu.

— Są ich cztery rodzaje — powiedział Carmichael. — Ale teraz nie widać różnicy. Różnią się kolorem, treliażem i liczbą sypialni.

— Rozumiem — powiedział Fergesson.

— O, tam będzie centrum handlowe. — Carmichael machnął ręką. — To osobne przedsięwzięcie. Uważają, że zbyt ryzykowne. Chcą, żeby było niezależne. Są pewni, że domy im pójdą, ale centrum handlowe to już inna para kaloszy.

— Dlaczego? — zapytał stary. — Ludzie muszą robić zakupy, a tu będzie mieszkało mnóstwo ludzi.

— Będą mieszkać — zgodził się Carmichael — ale widziałeś kiedy kobietę, co robiłaby zakupy koło domu? Panie lubią jeździć do miasta. Nie będą tu kupować, tylko jeździć aż do San Francisco.

Będą miały wymówkę, żeby pojechać do wielkich domów towarowych w śródmieściu. Może stanie tu spożywcza. Spożywcza, dystrybutor z benzyną i kilka stolików, żeby zjeść lunch. Ale oni mówią tu o — rozłożył szeroko ramiona — piekarniach, sklepach z ceramiką, obwoźnej bibliotece i zakładzie szewskim.

— Czyli o miasteczku — podpowiedział Fergesson. Carmichael obrzucił go spojrzeniem.

— Całym kombinacie, tak.

— Myśli pan, że się nie zwróci?

— Cóż, nie potrzebują tego.

— Nic nie ryzykują.

— Owszem — zgodził się Carmichael. — Zostawią to na pastwę losu. Jak upadnie, będą czyści.

— Warsztat — powiedział Fergesson. — Zastanawiam się, czy się do tego nie dołożyć.

Carmichael wciąż patrzył na niego i stary wiedział, że domyślił się tego na samym początku.

Mężczyzna oceniał go — na tym polegała jego praca. Fergesson pokonał płaski fragment drogi.

Zatrzymał się, kiedy doszedł do grupy robotników. Osadzali szalunki pod fundamenty jednego z domów.

— Cóż — odezwał się Carmichael, stając koło niego — popłyniesz jakieś czterdzieści czy

pięćdziesiąt.

— Tak — powiedział Fergesson.

— A co z warsztatem w Oakland?

— Sprzedałem. Sprzedaję, znaczy się.

— Dlaczego?

Fergesson nie odpowiedział. Był spięty i zaniepokojony, więc odszedł z rękami w kieszeniach.

Po chwili Carmichael podążył za nim.

— Wracajmy do biura — rzekł. — Porozmawiamy.

— A ile dostajecie za te tutaj? — zapytał Fergesson. Miał na myśli domy.

— Dwanaście do czternastu. Dobre są. Nic szczególnego, ale solidna konstrukcja. Gross i Duncan znają się na rzeczy. Nikogo nie robimy w bambuko. — Carmichael cisnął papierosa na wilgotną glebę. — Kiedyś myślałem sobie o jakimś biznesie z wozami. Znaczy się, o sklepie z częściami. Jednak oni chcą, żeby ludzie się wkupywali. Nie mogłem zebrać takich pieniędzy. Kiedy mowa o takiej forsie, to ja wysiadam. Ale oni mają głowę na karku. Ludzie, którzy mieszkają tak daleko, nie będą jeździć do miasta po części zamienne czy do warsztatu. — Będą chcieli to załatwić na miejscu i od razu.

— Tak też sobie myślałem — powiedział Fergesson i przypomniało mu się coś jeszcze. — Kobiety nie będą chodziły do warsztatu. To faceci wiozą auto do przeglądu.

— Od jak dawna jesteś w tej branży?

— Większość życia.

— No i jak ci to leży?

— W porządku. — Nagle odczuł rosnące zniecierpliwienie. — Kupa ciężkiej roboty i trzeba się czołgać pod tymi wrakami.

— Podoba ci się to, co zobaczyłeś?

— Tak — odparł.

— No, normalnie boki zrywać — rzekł Carmichael. — Chodź, wracajmy. — Wskazał staremu kierunek i poszli w stronę wykopu i wzniesienia. — Ludzie tu przyjeżdżają, nawet z samego miasta... Wiedzą, że tu wszystko jest w powijakach. Wiedzą, że autostrada jest nieskończona, tak samo jak nieskończone są domy. Ale kiedy tu trafiają, rozglądają się i co? Zaczynają jęczeć. Jęczą i marudzą jak jasna cholera. Czego oni chcą, na miłość boską? Ja widzę, co tu jest. Wystarczy się przyjrzeć. Za dwa, trzy lata będą tu trawniki, a podlewające je kury domowe i dzieci rozpełzną się wszędzie. Czego oni oczekują? Wszystkie te domy wyglądają podobnie... i co z tego? Kiedy ludzie się wprowadzą, będą wyglądały inaczej. To dzięki ludziom wszystko zaczyna wyglądać inaczej.

Wystarczy popatrzeć na kilka ulic opustoszałych domów... Strach się bać. A ludzie wprowadzają tam swoje meble i różne graty.

— Ile domów zostało sprzedanych? — zapytał Fergesson.

— Sześć. Siedem. W mieście są jeszcze inni agenci. — Przeszli przez rów i zatrzymali się, żeby Fergesson mógł złapać oddech. — Bierzesz jeszcze kogoś do spółki? — zapytał Carmichael.

— Nie. — Stary dyszał ciężko po wyczerpującej wspinaczce. Stał, żeby nabrać powietrza, ale udał, że ostatni raz patrzy na plac budowy. — Sam bym to poprowadził, jeśli chodzi o finansową stronę.

— Ale nająłbyś mechaników?

— Tak.

— Jesteś żonaty? No, czy masz rodzinę?

— Tak.

Carmichael zaczął miarowo wchodzić po zboczu i Fergesson, chcąc nie chcąc, poszedł w jego ślady. Buty starego zapadały się w żółtej glinie i trawie, a kiedy się jej chwycił, prześlizgiwała mu się między palcami. Carmichael wspinał się wyprostowany, z łatwością i pewnością ruchów, i cały czas wolno mówił do Fergessona.

— Musisz podjąć decyzję. Nie ma szans, żeby to nie wypaliło. Władowali w to już kupę forsy i wszystko idealnie pasuje do autostrady. Wiedzą mniej więcej, kiedy sprzedadzą te domy. I tak wszystko zacznie ci się zwracać, kiedy tylko otworzysz zakład, bo tu się krzyżuje mnóstwo dróg, a niektóre są cały dzień zatłoczone. No i ludzie przejeżdżają tędy z Petalумы. A w weekendy nie ma gdzie szpilki wcisnąć, bo wszyscy jadą do Russian River. Widziałeś, ile jest samochodów na 101.

To zakorkowany obszar, a jest coraz gorzej. Nie ma wyjścia, musi się rozwijać.

Jim Fergesson wspinał się z wyraźnym wysiłkiem. Idący przed nim Carmichael cały czas tokował, a on starał się wszystko usłyszeć. Miał mokre, pokancerowane od ostrych źdźbeł trawy dłonie. W pewnej chwili padł prosto w błoto — ręce zapadły się głęboko, a palce wpiły w żółtą glinę. Zamknął oczy. Carmichael był już na szczycie i szedł dalej, ale zwolnił, bo spostrzegł, że starszy mężczyzna nie nadąża za nim. Fergesson podniósł się z klęczek i trzema szerokimi susami dopadł szczytu. Na górze leżały stalowe dźwigary i kiedy do nich dotarł, but zaplątał mu się w rosnące między nimi zielsko. Zrobił krok i runął całym impetem na ziemię. Powietrze uszło z niego i pogрузił się w ciemnościach. Padł tak szybko, że nawet nie zdążył jęknąć. Jakby ziemia przyciągnęła go na podobieństwo wielkiego magnesu. Przyłgnął do niej z wyciągniętymi ramionami jak żelazna sztaba — nie czuł, jak zbliża się do niego ziemia, ani nie słyszał upadku. W

jednej chwili wspinał się mozolnie za Carmichaelem, a w następnej już leżał twarzą w błocie. Carmichael wciąż mówił.

— O do diabła — powiedział, wrócił i pochylił się nad Fergessonem ze swą spokojną twarzą konia. Stary poczuł jego bliskość i jęknął, chcąc się podnieść. Ale nie mógł. Nie miał siły. Słyszał tylko jakieś buczenie w oddali i chociaż pamiętał brzmienie głosu Carmichaela, nie był w stanie wyłowić go z otoczenia.

Carmichael chwycił go za ramię i starał się podźwignąć. Złapał obiema rękami, ale stary nawet nie drgnął. Carmichael nie był w stanie oderwać go od ziemi, a Fergesson, czując własną wagę i bezwład, przyłgnął ściśle do magnetycznego podłoża. Wpadł w sidła i nie mógł niczego zrobić ani się nawet odezwać. Mógł tylko czekać. Miał nadzieję, że Carmichael znajdzie jakiś sposób.

— Ej! — Carmichael krzyknął do robotników na zboczu. — Pomóżcie mi.

Robotnicy podeszli. Fergesson nie czuł się głupio ani się nie bał — miał tylko lekkie nudności i zaczynało go boleć w piersi. Mógł, w myślach, wyznaczyć zarys stalowych dźwigarów. Znajdowały się pod nim. Nacisk zmienił się w ból i stary skrzywił się.

— Co się stało? — zapytał jeden z robotników.

— Upadł — powiedział Carmichael.

Podnieśli Fergessona na nogi. Znalazł się w pozycji pionowej, oblepiony gliną i połamanymi chwastami. Wciąż czuł ucisk w piersiach, jednak zaczął się niemrawo otrzępywać. Wydawało mu się, że ma opuchniętą i mokrą twarz, jakby się zakrwawił.

— Dzięki — rzekł Carmichael do robotników, a ci wrócili do swojej pracy. — Ej! — odezwał się do Fergessona. — Aleś się wygruził.

Stary pokiwał głową. Ból w piersi wywołał ogólne odrętwienie. Macał się sztywnymi palcami, ale niczego nie czuł. Nie mógł się też odezwać. Teraz się naprawdę przestraszył.

— Chodźmy lepiej do biura — powiedział Carmichael. Z dłonią na jego ramieniu, powiódł Fergessona w stronę krytej papą chatki. — Może walniemy po kawie?



— Nie. — odparł stary. Jego głos brzmiał, jakby zagłuszała go jakaś szczelna kotara. Jakby słuchał siebie przez telefon. — Muszę wracać.

— Chcesz wsiąść do samochodu?

Fergesson pokiwał głową i Carmichael podprowadził go do pontiaka. Otworzył mu drzwi i stary usiadł za kierownicą. Opadł na oparcie i głębokimi haustami łapał powietrze. Drażniło mu krtań, jakby ona również została otarta podczas upadku. Przytknął dłonie do piersi i naciskał ją ostrożnie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Carmichael.

Fergesson kiwnął głową.

— Musisz uważać na błocie, niebezpiecznie jest.

— Tak — powiedział stary. Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie i odzyskiwał wzrok. Ale czuł się tak podle, że wiedział, iż coś sobie uszkodził; trząsł się z przerażenia i chciał bardzo, żeby Carmichael już sobie poszedł. Chciał wracać do Oakland.

Carmichael, oparty na drzwiach samochodu, gadał, jakby nic się nie stało. Nic nie zmąciło jego spokoju; stary się przewrócił, on go podniósł, wielkie rzeczy. Fergesson pocił się, opierając o fotel, a jego myśli krążyły wyłącznie wokół powrotu do domu. Był pewien, że poradzi sobie z pojazdem

— jak będzie trzeba, zjedzie na pobocze. Chciał ruszać już, w tej chwili, otworzył więc oczy i przerwał Carmichaelowi:

— Dziękuję panu, panie Carmichael. Do zobaczenia. — Prawą ręką przekręcił kluczyk w stacyjce i wcisnął pedał gazu. Silnik zaskoczył.

— Czekaj — powiedział Carmichael. — Dam ci swoją wizytówkę.

Fergesson wziął wizytówkę i schował do kieszeni. Ruszył, a Carmichael przez chwilę szedł obok wozu. Stary wpatrywał się w szybę i mrugał, bo pot z brwi skapywał mu do oczu. Ból się nasilił i wyostrzył. Już wiedział, że to serce go boli, i nagle pojął, że właśnie miał zawał — niewielki, taki mały, od wspinaczki i z podekscytowania.

— Do widzenia — powiedział i kiwając się w rytm samochodu, ruszył drogą.

— Do zobaczenia, Jim — zawołał Carmichael.

Już zniknął Fergessonowi z pola widzenia. Jego głos oddalał się. Stary wczepił się obiema rękami w kierownicę. Kiedy odjechał jakaś milę, zwolnił, ponownie oparł się o zagłówek i starał odpocząć. Ból jakby mijał. Ucieszyło go to.

Kiedy już wrócił na autostradę, zdołał się wyprostować na fotelu. Skurcz czy też ból zelżał. Z drżeniem rąk po raz pierwszy wrzucił kolejny bieg. Ryk silnika przycichł.

Wciąż był przerażony i śpiewał sobie: „Bom, bom. Bom, bom”. Nie miało to znaczenia i nigdy wcześniej nie wydawał z siebie takich dźwięków, teraz jednak powtarzał to raz za razem, jakby było to coś ważnego. „Bom, bom”. Z ulgą powitał San Rafael po obu stronach autostrady, bo oznaczało to, że wkrótce znajdzie się na moście i pojedzie z powrotem przez East Bay

— Bom, bom — wyszeptał i usłyszał swój głos. Zebrał siły i zaśpiewał to głośniej. Południowe słońce grzało mocno i pot zaczął ściekać mu po policzkach do kołnierzyka. Kurtka przylgnęła do niego i kiedy się poruszał, czuł szorstki, kłujący dotyk tkaniny. Może, pomyślał, stalowe dźwigary rozorały mi pierś.

Drewniane drzwi warsztatu były zamknięte cały dzień. Stary zaparkował pontiaka przy wejściu, wygramolił się z wozu i otworzył kłódkę. Z wnętrza buchnął na niego kłęb wilgotnego, zatęchłego powietrza.

Wprowadziwszy samochód do środka, wszedł do biura i zdjął marynarkę. Sięgnął pod koszulę i włożył dłoń pod podkoszulek, który jak się okazało, był powalany i wilgotny od krwi. Poczul wgłębienie w żebrach. Wciąż krwawił. Poszedł do umywalni i za pomocą mydła Lava zmył gąbką krew. Wgłębienie było białe, a skóra nie tyle przecięta, ile wgnieciona.

Tak więc, pomyślał, siadając przy biurku w biurze, ból powstał na skutek uderzenia, kiedy stał walnęła go w pierś, i nie było podstaw, by podejrzewać coś poważniejszego. Ból ustał. Fergesson czuł się słaby i chory. Nachylił się i otworzywszy dolną szufladę biurka, wyłuskał z niej małą flaszkę brandy Christian Brothers. Papierowy kubek wypełniony spinaczami był jedynym naczyniem, jakie znalazł. Kiedy już się napił, zaczął przesuwac spinacze po blacie. Dopiero po chwili wyszukał numer Harmana i zadzwonił.

— Niech pan posłucha — zaczął. — Harman? Pan Harman?

— Chwileczkę — odezwała się jakaś dziewczyna. — Połączę pana z panem Harmanem.

Coś trzeszczało i pikało w słuchawce, a on czekał. Rozległ się męski głos.

— Ta, tu Harman.

— Mówi Fergesson — powiedział stary. — Jestem zainteresowany, ale nie mogę się skontaktować z panem Bradfordem.

— A tak — rzekł Harman, jakby przez chwilę nie wiedział, o czym mowa.

— Pojechałem tam, ale go tam nie było.

— Drogi przyjacielu, właśnie myślałem o tobie i o tym biznesie — odezwał się Harman po krótkiej przerwie. — Sądzę, że najlepiej byłoby... ale masz prawnika czy nie?

— Nie — odparł Fergesson.

— A kto załatwiał papiery na sprzedaż warsztatu?

— Matt Pestevrides. Agent sprzedaży nieruchomości.

— Wydaje mi się, że jak chcesz rozmawiać z Bradfordem, powinieneś to zrobić za czyjś pośrednictwem — powiedział Harman. — Bynajmniej nie chcę cię urazić. Jednak myślę, Jim, że byłoby o wiele lepiej, gdybyś rozmawiał z Bradfordem przez przedstawiciela, który zna się na tym.

Przez kogoś, kto — wiesz, co mam na myśli? — mówi takim samym językiem.

— Chcę to mieć — oświadczył Fergesson.

— Warsztat?

— Chcę to kupić! — stary zadudnił Harmanowi do ucha. W słuchawce zahuczało echo jego głosu.

— No to posłuchaj — powiedział Harman. — Weź sobie prawnika. Niech się zwróci do Bradforda. Niech im powie, że jego klient jest zainteresowany, ale chce się dowiedzieć więcej. On będzie wiedział, jak się do nich zwrócić. Prawdopodobnie Bradford i jego wspólnicy mają już prospekt finansowy całego przedsięwzięcia. Wiesz, co to jest: taki plan, który uwzględnia wszystkie składowe. Niech twój prawnik przejrzy go i powie, co o nim myśli. Albo daj to jakiemuś doradcy inwestycyjnemu. Komuś, kto się na tym zna. Albo, jeśli chcesz, przynieś to mnie.

— Dam to Tsarnasowi. — Był to bułgarski prawnik zajmujący się nieruchomościami, który pomagał mu przy dokumentach, gdy kupował warsztat. — Dzięki.

— Jak chcesz, dam ci numer do mojego prawnika — powiedział Harman. — Jest bardzo dobry

— Nie. — Znów zaczęło go boleć w piersiach. — Dziękuję — rzekł stary i odwiesił słuchawkę.

Dlaczego, myślał sobie, nie może się spotkać z Bradfordem? Dlaczego musi rozmawiać z nim przez pośrednika? Bradford był niczym Bóg w niebiosach, niewidzialny, znany tylko ze swych czynów. Wielcy tego świata, finansiści, usłyszą o Jimie Fergessonie stopniowo i nie wprost — wiedza o nim rozprzestrzeni się etapami, jeśli w ogóle. I na ile będzie dla nich ważna? Na ile będzie się liczyć? Ale on już się zdecydował.

Zadzwoił do biura Tsarnasa. Odebrała jego córka.

— Daj mi Borisa — powiedział. — Mówi Fergesson. Polecił Tsarnasowi, żeby popytał o Marin Country Gardens, a kiedy skończył rozmowę, otworzył szufladę i wyszukał zawinięte w celofan cygaro Dutch Masters. Smakowało mu i mógł się odprężyć. Głęboko w piersi ból zmienił się w ucisk, tępy i stały, pojawiający się jak puls.

Na zewnątrz stały samochody, które trzeba było naprawić, wozy z metalicznym pyłem na maskach po piaskowaniu sprzed kilku dni. Jeden plymouth był zawieszony na podnośniku hydraulicznym; zapomniał go opuścić. Stał tak już trzy doby. To prawdziwy cud, że podnośnik się nie rozszczelnił. Wypaliwszy cygaro, Fergesson wyszedł z biura i wziął narzędzia ze stołu warsztatowego. Kopnął płaski wózek i położył się na nim.

Ponownie znalazł się pod samochodem, w chłodnych ciemnościach, pośród niewyraźnych kształtów. Odnalazł żarówkę w chronionej drutami oprawce na długim kablu i przyciągnął ją bliżej

— żółta łuna objęła skrzynię biegów i koło zamachowe.

Kiedy obrócił się, by sięgnąć po klucz nasadkowy, ból eksplodował mu w piersi. Otworzył usta i wypuścił narzędzie. Ból, jak wcześniej, dopadł go z wielką mocą, Fergesson nie był w stanie zaczerpnąć oddechu. Łapał powietrze, dysząc, jakby coś utkwilo mu w gardle.

— Kurwa mać — wykrztusił, kiedy już odzyskał mowę i położył się na plecach. Leżał z rękami przy bokach, widząc żarnik elektrycznej lampy. Coś się w nim zepsuło. Jakaś niewymienialna część. Nie doszedł do siebie.

Jakiś czas leżał pod samochodem, w końcu jednak wysunął się spod niego. Cisnął narzędzia na blat stołu i poszedł do biura. Siedział godzinę i nic nie robił. Minęło wpół do czwartej, a od szóstej nie miał niczego w ustach. W białym, oświetlonym słońcem wejściu widział sylwetki przechodzących ludzi. Zastanawiał się, czy ktokolwiek tu wejdzie. Gdyby tak się zdarzyło, może ktoś przyniósłby mu kanapkę z kafejki nieopodal na tej samej ulicy.

\* \* \*

Późnym popołudniem, kiedy żar zniknął z promieni słońca, Al Miller wziął galon płynu polerskiego i zaczął wcierać go w oldsmobila z 1954, którego wziął od hurtownika. Czekając, aż płyn wyschnie, chwycił szlauch i zaczął myć pozostałe wozy: machał wężem to tu, to tam. O tej porze światło było oślepiające, więc założył okulary przeciwsłoneczne. Z powodu słońca stał plecami do ulicy i chodnika.

Kiedy stanął za samochodem, kątem oka spostrzegł, że ktoś się do niego zbliża, ktoś, kto dostał się na parking tak, że tego nie zauważył. Kobieta szła bardzo szybko w jego stronę. Wpatrywała się w niego intensywnie, gdy tak stał z wężem w dłoni i osłonił oczy, by zobaczyć, kto to taki, czy może ktoś znajomy. Często panie, które chciały rozmienić pieniądze do parkometru, wchodziły na parking szybkim, zdecydowanym krokiem.

Rozłożysta kobieta w średnim wieku nagle zaczęła na niego krzyczeć wysokim głosem.

— Och, ty straszny człowieku, po prostu sobie tu stoisz! Jak zwykle nic nie robisz!

Powtarzała te słowa, tak że zaczęły się ze sobą zlewać, a on patrzył na nią kompletnie

zaskoczony. Była to Lydia Fergesson.

— No, stój tak sobie dalej! — wrzasnęła na niego z wydłużoną, rozciągniętą, jakby coś ją wypychało od środka, twarzą. — Wszystko na tym świecie oprócz samego siebie masz za nic, ty samolubny, okropny człowieku.

— Że co? — powiedział i ruszył się, by zakręcić wodę.

Lydia wskazała warsztat.

— Nie ma go w środku — rzekł Al. — Nie było go cały dzień. Zajrzałem tam koło drugiej.

— On leżał tam chory!

Mój Boże, pomyślał Al. A więc stało się.

— Co mu jest? — zapytał. — Powiesz mi wreszcie? — Jego głos był już równie ostry jak jej. — Ty histeryczna przyjezdna świrusko! — wrzasnął na nią, stając tak blisko, że widział każdą zmarszczkę, każdy włos i por na jej twarzy. Odsunęła się o krok wyraźnie wystraszona. — Wynos się stąd! — krzyczał dalej. — Wynocha z mojego placu! — Kiedy się wycofała, dogonił ją. — Co się z nim stało? — zawołał, puszczając wąż i łapiąc ją za rękaw. — Gadaj!

— Miał atak.

— Gdzie jest?

— W domu. — Mówiła już ciszej i pozbyła się oskarżycielskiego tonu. — Pewien dobry klient, który darzy go sympatią i szacunkiem, wszedł przypadkowo do środka i zastał go w biurze. On nie mógł nawet zadzwonić po pomoc. Ten człowiek zawiózł go do lekarza, gdzie go zbadali i prześwietlili.

Część strachu Ala wyparowała.

— Mówiłaś tak, jakby zmarł. Jakby wykitował. — Trząsał się cały i głos mu drżał.

— Do widzenia — rzuciła Lydia. — Przyjechałam tu taksówką, by zakomunikować ci, do czego mogła doprowadzić twoja postawa.

— Jaka postawa? — Poszedł za nią na skraj placu. Tam, w zatoczce, stała nowa, żółta i błyszcząca taksówka; kierowca czytał gazetę. — Odwiozę cię do domu — powiedział. — Mogę go odwiedzić? Sprawdzić, jak się czuje?

— A będziesz prowadził ostrożnie? — zapytała Lydia.

— Jasne — odparł, idąc do swego najlepszego wozu, chevroleta. Otworzył drzwi, wsiadł, włączył rozrusznik i wdusił mocno pedał gazu, zwiększając obroty. Następnie podszedł do taksówki i zapłacił kierowcy. Kiedy wrócił, spostrzegł, że Lydia usadowiła się już na tylnym siedzeniu.

Siedziała, patrząc przed siebie z twarzą niezdradzającą emocji... Celowo, stwierdził, siadając za kierownicą. Przyjechała zepsuć mi humor, bo to nie ja go znalazłem.

Włączył się do ruchu. Nie odzywali się do siebie.

Kiedy dotarł do domu przy Grove Street, wyprzedził Lydię i wbiegł po schodach na werandę.

Jednak drzwi były zamknięte, więc musiał na nią zaczekać. Gdy tylko je otworzyła, wszedł do środka.

Starego zastał w salonie. Fergesson wyglądał tak samo jak zwykle, choć miał na sobie granatowy wełniany szlafrok i kapcie zamiast bawełnianego stroju roboczego i butów. Siedział na środku kanapy z nogami na pufie i oglądał telewizję. Odbiornik aż huczał.

Al zatrzymał się i patrzył na starego, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności.

W końcu Miller podszedł do telewizora i ściszył dźwięk. Stary odwrócił głowę i zauważył go.

— Co się stało? — zapytał Al.

— Skaleczyłem się w bok — odparł Fergesson.

- Tylko tyle?
- Mam chyba pęknięte żebro. Lekarz zrobił prześwietlenie. Zawinęli mi bok.
- Jak to się stało?
- Upadłem — powiedział stary.
- Pośliznąłeś się na plamie smaru?
- Nie.

Al czekał.

- No to jak? — zapytał w końcu.
- Na mokrej trawie — odparł stary.
- A gdzie, do jasnej cholery, znalazłeś mokrą trawę?!

Z tyłu rozległ się głos Lydii.

- Był w hrabstwie Marin.
- Odpocząć? — zapytał Al.

— W interesach — rzekł Fergesson. Siedział jakiś czas w milczeniu z ponurą miną. Nie zdradził nic więcej.

Ałowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć w tej sytuacji. Stał tylko, opanowując oddech i starając się uspokoić. Nie było tak źle. Najwyraźniej kobieta wpadła we wściekłość.

- Potrzebujesz albo chcesz czegoś? — zapytała Lydia, zbliżając się do starego.
- Może odrobinę kawy — powiedział. — Napijesz się kawy? — spytał Ala.
- Dobra.

Lydia zniknęła w kuchni. Dwaj mężczyźni zostali sami, milczeli.

— Ale mi stracha napędziła — odezwał się Al. Fergesson nie skomentował tego ani nie zareagował w żaden sposób.

— Ale dobrze się czujesz, co? — zapytał Miller. — Kiedy będziesz mógł wrócić do pracy? Co mówił lekarz?

— Zadzwoń do mnie. Kiedy wywołają zdjęcia.

Al pokiwał głową.

- Mogę ci jakoś pomóc? — zapytał po chwili.
- Nie — odparł stary. — Dzięki.
- Może zadzwonić do jakiegoś twojego klienta?
- Nie.
- Dobra — rzekł Al. — Wystarczy, że powiesz.

Stary skinął głową.

Z kuchni dobiegł czysty głos Lydii.

— Panie Miller, proszę tu na chwilę. Poszedł korytarzem do kuchni.

Stojąc przy blacie i przygotowując kawę, Lydia odezwała się zwrócona do niego plecami.

— Proszę teraz wyjść, widział się pan z nim wystarczająco długo.

— Niech pani posłucha, pracuję z nim od wielu lat — rzekł Al. — Przepelniły go gniew i antypatia do niej.

— Wystarczająco długo — powiedziała to energicznym, czystym, nieznoszącym sprzeciwu, niemal radosnym głosem, wyciągając filiżanki.

— Co ja takiego zrobiłem?

— Wbrew temu, co mówi, jest chory — powiedziała Lydia, zwracając się w stronę Ala. — Jest chorym człowiekiem.

— Jasne.

— Proszę pozwolić mu zostać w domu, gdzie jego miejsce, i wracać do zdrowia. Niech pan nie wysuwa żadnych żądań.

— Jakich żądań? — zapytał stanowczym głosem. — No, jakich żądań, pytam? Co chciała pani przez to powiedzieć? Co takiego niby na nim wymuszam czy od niego żądam? Pewnie myśli pani sobie, że cały czas każę mu naprawiać moje samochody. Może o to chodzi? — Czuł zarówno nienawiść do niej, jak i przygnębienie, swoje zwykłe przygnębienie. Z pewnością tak było, wykorzystywał Fergessona. A ona nigdy go nie lubiła. Ona również wykorzystywała starego, więc doskonale wiedziała, co się święci. — A gdybym tak mu pomógł? — rzekł. — Pomógł przy ciężkich pracach. Myślała pani o tym? Lepiej niech pani się nad tym zastanowi.

Nie odpowiedziała. Dalej krzątała się po kuchni, nie zwracając na niego uwagi, z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Teraz, kiedy powiedziała swoje, chciała, żeby już sobie poszedł. Stał jeszcze jakiś czas. Starał się coś wymyślić, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Czuł jedynie przygnębienie. W końcu odwrócił się i ruszył do salonu. Stary znów oglądał telewizję, koncentrując się na rozmytych szarych sylwetkach.

— Trzymaj się — powiedział Al. — Będę już szedł.

Po chwili Fergesson pokiwał głową. Al czekał, ale stary się nie odezwał. Wsadził więc dłonie do kieszeni i wyszedł przed dom.

Chwilę później stanął na chodniku i wsiadł do chevroleta.

Powinien był zostać, pomyślał, odjeżdżając. Powinienem pobyc z nim trochę i uratować go przed tą wiedźmą. Przed starą harpią.

Ale nie przychodziła mu do głowy żadna wiarygodna wymówka, której mógłby użyć, by ponownie zjawić się u nich w domu.

Nie zasługuję na taki opiernicz, powtarzał sobie. Jestem obibokiem, zwykłym wałkoniem. Nic dziwnego, że do niczego nie doszedłem. Nie mam niczego, co by mnie mobilizowało, nie mam ambicji. Jestem skazany na zagładę i wiem o tym. Nie ma dla mnie miejsca. I nie mam dość ikry, żeby znaleźć sobie jakieś miejsce.

Nie wrócił na parking; widział, że dochodzi już piąta, pojechał więc do mieszkania w starym, dwupiętrowym szarym budynku.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał krzątanie i doleciały go znane zapachy — Julie dotarła do domu przed nim i robiła w kuchni kotlety na kolację. Wszedł i przywitał się.

— Cześć — powiedziała. Miała na sobie dzinsy i sandały, co przypomniało mu, że to jeden z jej wolnych dni. — Kolacja będzie dopiero za pół godziny. Wcześniej dziś wróciłeś.

Poszedł do spizarki i wyciągnął butelkę sherry.

— Ktoś do ciebie dzwonił — oznajmiła Julie. — Jakaś kobieta.

— Przedstawiła się?

— Pani Lane. Zostawiła numer. Chciała ci powiedzieć coś ważnego. Miałeś się nad czymś zastanowić i zadzwonić.

— To agentka nieruchomości — rzekł Al i usadowił się za stołem. — Stary miał dzisiaj wypadek. Przewrócił się. Zabrali go do domu.

— Jak mi przykro — powiedziała Julie, ale w jej głosie nie było śladu zaskoczenia, żalu czy troski.

— Nic cię to nie obchodzi? — zapytał.

— Nie widzę powodów, dla których miałoby mnie to obejmować — odparła.

— Zastanawiam się, czy tam nie wrócić — powiedział. — Do niego.

— Nie zapominaj o kolacji.

— Znaczy się, że nie powinienem. Że powinienem zostać tutaj.

Jeśli tam pojedziesz, nie zrobię ci kolacji — odparła Julie. — No bo i po co?

Na to nie miał odpowiedzi. Siedział tylko, bawiąc się butelką sherry.

— Zadzwońisz do tej agentki od nieruchomości? — zapytała. — Do tej pani Lane?

— Nie — odparł. — Straszna z niej zgaga.

— Przez telefon brzmiała sympatycznie.

— Jak znów zadzwoni, powiedz jej, że mnie nie ma.

Julie przygotowywała kolację, a on siedział przy stole i pił sherry. Po chwili znów zaczął się zastanawiać nad szantażowaniem tego wielkiego biznesmena, Chrisa Harmana. Zdecydował, że najlepiej będzie wyłożyć kawę na ławę, zadzwonić do Harmana do pracy albo do domu i powiedzieć mu wprost: „Posłuchaj pan, wiem, że nagrywałeś pan te świńskie kawałki, a to jest sprzeczne z prawem. Zapłacisz mi pan kupę forsy, a ja nie pójdę z tym na policję”. Usilnie starał się wymyślić jakiś lepszy tekst, ale bezskutecznie.

Może powinienem to zrobić od razu, pomyślał. Kiedy mam odpowiedni nastrój. Odstawił kieliszek i poszedł do salonu, gdzie znajdował się telefon. Usiadł przy nim i kartkował książkę telefoniczną, aż trafił na literę „H”. W końcu odszukał numer Christiana Harmana w Piedmoncie.

Adres chyba się zgadzał, więc zdjął słuchawkę z widełek i zaczął wykręcać numer.

Ale po wybraniu kierunkowego zmienił zdanie. Odłożył słuchawkę i wrócił do rozmyślań.

Prawdopodobnie były o wiele lepsze techniki, znane tym, którzy mieli już trochę doświadczenia.

Kto mógłby się na tym znać? Może ktoś taki jak Tootie Dolittle. On z niejednego pieca chleb jadł.

— Do kogo dzwoniisz? — zapytała Julie z kuchni. — Do tej agentki?

— Nie — odparł. Podniósł się i zamknął drzwi, żeby nie słyszała rozmowy. Dotarło do niego, że Harman mógł rozpoznać jego głos. Kiedy już wykręcił numer Tootiego, odebrała jakaś kobieta. — Daj mi Tootiego do telefonu — zażądał.

— Nie ma go jeszcze w domu — powiedziała. — A kto mówi? Poprosił ją, żeby Tootie do niego zadzwonił, i podał swoje nazwisko.

— Właśnie wrócił — oznajmiła kobieta. — Już wchodzi. Proszę chwilę poczekać.

Coś stuknęło w słuchawce, słychać było jakieś szumy i szepty, po czym rozległ się głos Tootiego.

— Się masz, Al.

— Słuchaj, mam coś na oku i chciałbym, żebyś mi pomógł — rzekł Miller. — Zajmie ci to chwilkę. Chodzi o jeden telefon.

Nie po raz pierwszy wyświadczały sobie tego rodzaju przysługi.

— Do kogo? — zapytał Tootie.

— Dam ci numer — powiedział Al. — Poprosisz Chrisa. Kiedy już ci go dadzą, powiesz mu, że wiesz o nagraniu *Mała Ewa*.

— Dobra — rzekł Tootie. — Powiem mu, że wiem o nagraniu *Mała Ewa*. A co on na to?

— Wnerwi się — odparł Al.

— Wnerwi się.

— Wtedy ty mu zasuniesz: „Ale mogę zapomnieć o istnieniu *Małej Ewy*. Czy coś w tym rodzaju. Coś, co będzie świadczyło, że chcesz z nim dobić targu.

— Zapominam o nagraniu *Mała Ewa* — powtórzył Tootie.

— I od razu się rozłącz. Ale powiedz, że jeszcze zadzwonisz. I wtedy się rozłącz. Nie zwlekaj.

— Zadzwoń z budki — oznajmił Tootie. — Ja tak załatwiam te sprawy.

— Świetnie — powiedział Al.

— Z tej przed monopolowym — dodał Tootie.

— Doskonale.

— A potem oddzwonię do ciebie i powtórzę, co powiedział.

— Idealnie.

— No, co to za numer? Miałeś mi go dać.

Podał Tootiemu numer Harmana. Odłożył słuchawkę, oparł się i czekał.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Kiedy Al odebrał, znów usłyszał Tootiego.

— Zadryndałem do niego — rzekł Tootie. — I mówię mu: „Słuchaj, brachu, wiem o tych *Małych Ewach*. I co ty na to?” Dobrze było?

— Świetnie.

— A on do mnie: „Co?” no to ja mu jeszcze raz.

— Był zdenerwowany?

— Ani trochę — odparł Tootie.

— A jak brzmiał jego głos?

— W ogóle nie brzmiał. Zapytał, ile tego chcę.

— Co takiego?! — Al był zupełnie zbity z tropu.

— Mówi: „No, a ile chcesz *Małej Ewy*? Chciał mi ożenić płytę z *Małą Ewą*. On robi w płytach.

Zapisałem sobie nawet nazwę. — Chwila milczenia. — Firma nazywa się Teach Records.

— Na miły Bóg — rzekł Al. — Myślał, że jesteś sprzedawcą płyt i chcesz je zamówić.

— Powiedział, że sprzedaje je tylko w pudełkach po dwadzieścia pięć sztuk, z czterdziestoprocentowym rabatem — odparł Tootie. — I rzucił jeszcze: „A ile chcesz broszurek z dowcipami? Są za darmo”.

— A co ty mu na to?

— Powiedziałem, że oddzwonię, i się wyłączyłem. Może być?

— Może być — powiedział Al. — Wielkie dzięki.

— Posłuchaj — odezwał się Tootie — czy ta *Mała Ewa* ma coś wspólnego z kolorowymi i ich problemami?

— Nie — odparł Miller. — To piosenka. Nagranie.

— Moja żona mówi — rzekł Tootie — że ta *Mała Ewa* to czarnuszka.

Al ponownie mu podziękował i rozłączył się. Cóż, znaczy się nie wypaliło. Z kuchni wyłoniła się Julie.

— Nie mogę dłużej trzymać kolacji na ogniu, bo się przypali — powiedziała.

— No dobra — odpowiedział, zatopiony w myślach. Wszedł do kuchni i kiedy odsunął krzesło, stwierdził: Ten facet najwyraźniej nic sobie nie robi z tego, że ktoś mógłby się dowiedzieć o tych nagraniach. Nie jest to też melodia przeszłości, bo wciąż można u niego zamówić pudło po dwadzieścia pięć sztuk.

Kiedy przy kolacji wspomniał żonie, jak Lydia Fergesson wyrzuciła go z domu, twarz Julie zapłonęła gniewem.

— A niech ją szlag trafi! — rzuciła wściekle. — Naprawdę to zrobiła? Gdybym ja tam była, już bym jej upiłowała te pazurki. Na zawsze. — Wpatrywała się w niego tak owładnięta emocjami, że nie była w stanie się odezwać.

— Może stary umrze i coś mi zostawi — odezwał się Al. — Może wszystko mi zostawi.

Przecież nie ma dzieci.



— A guzik mnie to obchodzi! — wykrzyknęła Julie. — Obchodzi mnie, jak cię traktują.

Najpierw ukrywa przed tobą sprzedaż warsztatu, mimo że twój byt zależy od tego parkingu, a potem jeszcze mają czelność na ciebie naskakiwać. Boże, żałuję, że mnie tam nie było. I do tego jeszcze kazała ci się odwieźć do domu. Jakbyś był jakimś szoferem!

— To był mój pomysł — odparł. — Chciałem ją odwieźć, żeby sprawdzić, co z Jimem.

— To zamknięty rozdział twego życia — powiedziała. — Żebyś mi już więcej nie myślał o tym starym. Masz zapomnieć, że go kiedykolwiek znałeś. Myśl o przyszłości. I nie chodź do nich do domu. Po tym jak protekcjonalnie mnie potraktowali, moja noga więcej tam nie postanie.

— Szczerze mówiąc — odezwał się Al — to pomyślałem, że jeszcze dziś tam pojedę.

— Po co? — warknęła, drżąc ze złości.

— Nie lubię, jak się mnie wyrzuca. Uważam, że jestem to winien memu poczuciu dumy i honoru.

— Wrócisz tam i co? Ona cię znowu obrazi. Nie dasz rady żadnemu z nich, jesteś za słaby, żeby sobie z nimi poradzić. Może nie za słaby, ale... — zaczęła gestykulować, zapominając całkowicie o kolacji — nie jesteś w stanie stawić czoła twardej rzeczywistości.

— Teraz to już muszę pojechać — rzekł Al — kiedy to powiedziałaś. — Przynajmniej tak do tego podchodził. Nie było innego honorowego wyjścia. Nawet moja żona, pomyślał, mną gardzi.

— No to lepiej weź jedną z tych tabletek — powiedziała Julie. — Tego dexymilu. Robisz się po nich nieco bardziej wyrywny niż zwykle.

— To dobry pomysł — stwierdził Al. — Tak zrobię.

— Serio mówisz? — zapytała Julie. — Chcesz sobie mózg prażyć dla tych ludzi za nic?

— Pojadę tam i zapytam, co, do ciężkiej cholery, stary robił w środku tygodnia w hrabstwie Marin — odparł Al. — Naprawdę jestem ciekaw.

Ale tak naprawdę chodziło mu o ponowne starcie z Lydią Fergesson; czuł, że musi się na niej odegrać. Doszedł do tego wniosku pod wpływem żony, a przynajmniej przyspieszyła ona tę decyzję. Za dzień lub dwa i tak sam wpadłby na to.

Usłyszawszy samochód parkujący przy krawężniku przed domem, Lydia Fergesson podeszła do okna i spojrzała w dół.

— To znów ten obrzydliwy, przyprawiający mnie o mdłości człowiek — powiedziała. — Ten cały Al.

— Dobrze — odparł stary.

Siedząc na kanapie w salonie, myślał właśnie, że dobrze by było z kimś pogadać. Wciąż był przybity. Nie czuł się najlepiej ani też nie chciało mu się ubierać; miał na sobie szlafrok, a żona podała mu kolację tutaj zamiast do stołu.

— Nie wpuszczę go — powiedziała Lydia.

— Wpuść go — rzekł. Słyszał kroki Ala na schodach prowadzących do drzwi. — Napijemy się piwa. Przynieś z kuchni. Trzeba było go wcześniej poczęstować.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

— Nie otworzę — oświadczyła Lydia. — Wiesz, że zamknęłam na klucz? Założyłam też łańcuch.

Nie zdziwiło go to ani trochę. Podniósł się ciężko i krok za krokiem przeszedł przez salon; przyglądała mu się, kiedy zbliżał się do drzwi wejściowych. Zajął mu to sporo czasu, ale w końcu się udało. Zdjął łańcuch i przekręcił gałkę.

— Cześć — powiedział Al. — Widzę, że się zwlokłeś. To miło.

— Słyszeliśmy, jak parkujesz — rzekł stary, przytrzymując drzwi. — Wybacz mi, ale muszę znów klapnąć.

Miller wszedł do domu i ruszył za nim przez salon. Nigdzie nie było widać Lydi; znikła. Stary usłyszał odgłos zamykanych drzwi, prawdopodobnie do jej sypialni. Dobrze się składało, że nie darzyła Ala sympatią.

— Przytulnie tu u ciebie — powiedział Al. Wydawał się bardziej spięty niż zwykle: stał z rękami w kieszeniach swej wiatrówki, szczerząc zęby w ten cierpki, pozbawiony wesołości sposób, który stary znał aż za dobrze. Pod szklami okularów intensywnie błyszczały mu oczy.

— Siadaj — powiedział Fergesson. — Przyjechałeś bez żony. Jak sądzę, wciąż jeszcze się na mnie gniewa.

Al usiadł na wprost niego.

— Kupuję nowy warsztat — oznajmił stary.

Po chwili milczenia Miller wybuchnął śmiechem.

— Naprawdę — dodał stary.

— Wiem — powiedział Al.

— Jesteś zaskoczony? Jasne, że jesteś.

— Pewnie — odparł Al. — Kiedy podjąłeś decyzję? Dzisiaj?

— Pojechałem tam i wszystko sprawdziłem — powiedział stary. — To miejsce w hrabstwie Marin. Dostałem cynk, więc pojechałem. Straszna forsa tam inwestują. Słyszałeś kiedyś nazwisko Achilles Bradford? To on, gruba ryba, stoi za tym. Zainwestowali już miliony.

— W co? Nie łapię — rzekł Al. — Uśmieszek spełził mu z ust. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

— W centrum handlowe — odparł stary. — Nazywa się Gardens. — Za chińskiego boga nie potrafił sobie przypomnieć pełnej nazwy — uciekła mu. — Marin Gardens — powiedział w końcu.

— To jeden z tych kompleksów przy autostradzie. — Zamilkł. Od tego mówienia dostał

zadyszki.

Usiadł na kanapie, łapiąc powietrze i pocierając dłonią klatkę piersiową. Al dostrzegł ten gest, troskę, z jaką się badał i dotykał. Po chwili stary położył rękę na oparciu.

— A niech mnie drzwi ścisną — powiedział wolno Miller.

— Nie będę nic robić — odezwał się ponownie stary. — Żadnych prac. Będę tylko doglądał wszystkiego.

Al pokiwał głową.

— No i co o tym myślisz? — zapytał Fergesson.

— Brzmi dobrze — powiedział Al.

— Czegoś takiego szukałem — rzekł stary. — To coś na miarę naszych czasów. — Tak właśnie o tym myślał; to określenie wpadło mu do głowy i pasowało idealnie. — Warsztat epoki atomu — powiedział. — No wiesz. Nowoczesność. Wszystko będzie tam nowoczesne. — Znowu przerwał i siedział bez ruchu.

— Doskonale — stwierdził Al.

— Naprawdę jestem o krok od podjęcia tej decyzji — powiedział stary. — Wszystko pod dachem. Moi ludzie pracują pełną parą na kontraktach. Nikt jeszcze o tym nie wie. To wielka szansa. Nawet Lydii nie powiedziałem.

— Rozumiem — rzekł Al.

— Powinieneś wejść w coś takiego — dodał stary.

— Na to trzeba forsy.

— Jasne — odparł stary. — Będę musiał władować jakieś czterdzieści pięć tysięcy.

Na twarzy Miller widać było wyraźnie poruszenie — był pod wrażeniem.

— Kupa forsy — powiedział Fergesson, uśmiechając się. — Mnóstwo moniaków. Dostanę trzydzieści pięć kawałków ze sprzedaży warsztatu. Dziesięć już mam. W akcjach i obligacjach. Na rachunku oszczędnościowym.

— Ładujesz w to wszystko, co masz? Lepiej uważaj, co robisz.

— Uważam, co robię.

— Masz doradcę prawnego?

— Jasne — powiedział stary. — Słuchaj, wiesz, kto załatwi dla mnie tę sprawę z Bradfordem?

— Myślał nad tym i już się zdecydował. — Boris nie wie wszystkiego na ten temat. Tu trzeba eksperta.

— Boris jest twoim prawnikiem.

— To prawda. — Dysząc ciężko, stary wystękał: — Harman będzie mnie reprezentował w rozmowach z grubymi rybami.

— Chris Harman?! — Al aż krzyknął. — Facet od dźwiękowych świerszczyków?!

— Tak — odparł stary. — Ma cadillaca z pięćdziesiątego ósmego, jest właścicielem wytwórni płytowej Teach Records. Mówiłem ci o nim.

— Ten skurwysyn jest kanciarzem — powiedział Al.

— Nie — odparł stary. — Ni cholery.

— Jak amen w pacierzu.

— A skąd to wiesz? Co ty w ogóle wiesz? — Poczul, jak puls mu skacze. Jak ciało przeszywa ból. — Słuchaj, przecież ty go nie znasz. Ja znam go od prawie sześciu lat. Obaj jesteśmy biznesmenami.

— On cię wpakował na tę minę? — zapytał Miller. — Chce położyć łapę na twojej forsie.

— Nie wiesz tego — stwierdził stary. — Co ty w ogóle wiesz? Ile kapitału zgromadziłeś? Zero.

— Stracił głos, który najpierw zadrżał, a później przygasł. Odchrząknął i dokończył: — Kilka starych wraków.

— Posłuchaj — odezwał się cicho Al. — Ten facet to przekręciarz. Pewnie sam ma to miejsce, to całe Gardens. Wszyscy wiedzą, że to oszust.

— Wszyscy?

— Na przykład pani Lane. Agentka nieruchomości.

Stary podniósł się na kanapie.

— Ta kolorowa? Al pokiwał głową.

— Twoja znajoma czarnuszka? Od niej to wiesz?

— Właśnie — powiedział Al. — Porozmawiaj z nią. Zadzwoń do niej.

— To już koniec świata, żebym się radził kolorowej — rzekł Fergesson.

— Dzwon — rzucił Al z coraz bardziej czerwoną twarzą.

— Nie słucham kolorowych — stwierdził stary.

— Ale słuchasz tego szpanera w drogim gaj erze, bo rozbija się cadillakiem.

Na chwilę obaj zamilkli, łapiąc oddech.

— Nie potrzebuję twojej rady — powiedział stary.

— Jasne, że potrzebujesz. Starzejesz się. Fergesson nie umiał na to odpowiedzieć.

— Chyba na głowę upadłeś — rzekł Al. — Na ten cholerny zakuty łeb. Dzwon do prawnika i powiedz mu, że jeden taki chce cię wyrolować. Dzwon do prokuratora okręgowego. Ja zadzwonię do prokuratora z samego rana.

— Nie wtrącaj się do tego — powiedział stary jak tylko mógł najgłośniejszym głosem. — Pilnuj własnego nosa.

Nagle w pokoju zjawiała się Lydia. Żaden z nich nie zauważył, jak weszła; obaj obrócili głowę w tym samym momencie.

— Co to za kanciarz, który chce cię oszukać? — zapytała Lydia. Podeszła do starego z pociemniałymi, lśniąco-ciemnymi oczami. — O czym mówi pan Miller? Dlaczego nie mówiłeś, że inwestujesz pieniądze w jakieś miejsce, a nawet nie wiesz, jak się nazywa?

— To moja sprawa — skwitował stary. Nie patrzył ani na jedno, ani na drugie, wbiwszy wzrok w podłogę.

Nikt się nie odzywał.

— Ten facet to hochsztapler — powiedział po chwili Al do Lydie. — Wiem, że tak jest.

Lydia podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę z widełek i wyciągnęła ją w stronę Millera.

— Niech pan zadzwoni do tego człowieka, jak on się tam nazywa, i przekaże mu, że mój mąż nie ma najmniejszego zamiaru w to inwestować. Że tego nie robi.

— Jasne — odparł Al, ruszając do telefonu. — Ale to nic nie będzie znaczyć — rzekł. — Jak ja to powiem.

— No to ty mu powiedz — Lydia zwróciła się do starego. — Zadzwoń do niego i w tej chwili powiedz mu to. Nie ma niczego na piśmie, prawda? Nie podpisałeś niczego, tak? Wiem, że nie.

Wiem, że Bóg nie pozwoliłby ci brnąć w to wszystko. Wierzę w to z całego serca.

— Nie, nie podpisałem niczego — wykrztusił w końcu.

— Dzięki Bogu w niebiesiech — powiedziała Lydia. — Jak mawiał Schiller, to oda do radości do ojca niebieskiego skrytego za wstęgą gwiazd. — Jej oczy lśniły z przyływu ulgi i szczęścia.

— Jutro jadę się z nim spotkać — rzekł stary.

— Nigdzie nie pojedziesz — zawyrokowała.

— Nie ma problemu — powiedział Al. — Musi pani tylko złapać prokuratora okręgowego i

pokazać mężowi, że ten cały Harman jest zaangażowany w to przedsięwzięcie, w to centrum handlowe, w które Jim ma zainwestować.

— Oczywiście, że jest w nie zaangażowany — odezwał się stary. — Inaczej skąd by o tym wiedział?

— Chodzi mi o to, że istnieje związek między nim a Bradfordem — powiedział Al. — Tym facetem, w rozmowach z którym ma cię reprezentować Harman.

— Gdyby nie było takiego związku — odparł stary — to skąd Harman by o tym wszystkim wiedział? — W uniesieniu dodał: — I o to właśnie chodzi. Wiem, że jest powiązany. O to właśnie chodzi.

— Finansowo powiązany — rzekł Al. — To chciałem powiedzieć. Że to centrum handlowe jest jego.

— W takim razie wierzy w powodzenie — stwierdził stary. — Jeśli sam chce w to pakować forszę. To właśnie dowodzi, że jest wiarygodny. Zaproponował mi dołączenie do dobrej inwestycji, w którą sam już zainwestował. Oczywiście, że zainwestował. Co ty tam wiesz. Nie masz o tym bladego pojęcia. Nie wtrącaj się do tego... — Machnął ręką na Ala Millera i Lydię. — Trzymajcie się z dala od tego, baby i chłopackowie. To moja sprawa. Będzie tak, jak zechcę!

Teraz już żadne nie uśmiechało się do niego — zniknął pełen goryczy grymas Ala, podobnie jak charakterystyczny złowróźbny grecki uśmiech Lydii. Al wyglądał na przygnębionego. Zaczął wiercić butem dziurę w podłodze i trzymając róg wiatrówki, suwać zamkiem w górę i w dół.

Staremu wydawało się, że Lydia się wycofuje. Na jej twarzy zagościła całkowita pustka — dowód, że nie jest już w stanie tego dłużej znieść. Tego było już dla niej za dużo. I, widząc to, Fergesson ogarnęło poczucie triumfu, wiedział, że jest górą.

— Posłuchajcie — rzekł. — Żadne z was nie widziało tego na własne oczy. I co możecie na ten temat powiedzieć? Pojechaliście do hrabstwa Marin? — Milczeli oboje. — A ja tak — powiedział.

— Mówicie o czymś, czego nawet nie widzieliście. — Krzyknął do Lydii: — A ty nie znasz pana Harmana, więc w ogóle się nie odzywaj!

Patrzyli na niego bez słowa. Całkowicie przejął inicjatywę.

— Może byś tam pojechał i sam sprawdził — powiedział stary do Ala. — Pojedź tam i rzuć na to okiem.

— Jeszcze na głowę nie upadłem — odparł Al. — Nie chcę niczego oglądać. Po prostu daję ci radę. J a daję tobie radę.

— Jasne — powiedział stary. — Potrafisz tylko dawać mądre rady. Nie chcesz nawet sprawdzić, bo wiesz, że gdybyś zobaczył, musiałbyś się przyznać do błędu. — Sapał i dyszał z radości: miał ich w garści, oboje. — Jestem w tej branży całe wieki, o wiele dłużej niż ty. Z ciebie jest zwykły wałkoń. Wałkoń, który tylko jójczy. Wiesz, co ty robisz? Ty tylko... — Głos mu się załamał.

— Sprzedaję używane samochody — odparł Al beznamiętnie.

— Kolorowym — dodał Fergesson. Al nic na to nie powiedział.

— I będziesz to robił do usranej śmierci — stwierdził stary.

— Czasem łapię wiele srok za ogon.

— Przynajmniej ci do końca nie odbiło — powiedział stary ze śmiechem. — Nie odbiło, prawda?

Miller zerknął na niego.

— Jak mnie — dokończył stary. Al wzruszył ramionami.

— Możesz mnie odwiedzać, jak będę sobie siedział — rzekł stary. — W moim nowym

warsztacie z mechanikami. Gdzie wszystko będzie glanc pomada.

— Dobra — odparł Al. Wydawało się, że zabrakło mu sił. Opuściła go wola walki.

Lydia wymknęła się z pokoju. Pewnie wróciła do kuchni albo do swej sypialni — tak czy inaczej, wyszła. Pozostali sami.

— Jazda na wykład — powiedział stary.

— Co takiego? — wymamrotał Al.

— Niech idzie na swoje zajęcia.

— To ja już lepiej też sobie pójdę — powiedział Al.

— No to na razie.

Al z rękami w kieszeniach przeszedł przez korytarz i dotarł do drzwi.

— Nie miej takiej smętnej miny — zawołał za nim stary. — Rozchmurz się.

— Jasne — odparł Miller, odwracając się. — Szczęścia życzę.

— Tobie tego samego — odparł stary.

Al otworzył drzwi. Zawahał się, zaczął coś mówić, ale zamknął drzwi za sobą. Po chwili stary usłyszał, jak ktoś ponownie ostrożnie otwiera drzwi. Idzie za nim, powiedział do siebie. I zaśmiał się na samą myśl o tym. Siedząc na kanapie w szlafroku, zaśmiewał się, wiedząc, że Lydia i Al odbywają sekretną rozmowę na ganku, starając się wymyślić, co zrobić. Znaleźć jakiś sposób, by go powstrzymać.

Kiedy Al Miller otworzył drzwi samochodu, usłyszał czyjś głos za plecami. Lydia Fergesson zbiegła pospiesznie po schodach i stanęła na chodniku.

— Panie Miller, niech pan posłucha — zaczęła. — Niech pan chwilkę zaczeka, muszę z panem porozmawiać.

Usiadł za kierownicą i czekał.

— Polegam na panu — powiedziała, wbijając w niego baczne spojrzenie ciemnych oczu.

— Psu na budę — powiedział. — Nic nie mogę zrobić. — Czuł gniew i bezsilność. — Niech pani sama coś zrobi.

— Nigdy by mi niczego nie powiedział — odparła. — Nie zdradził się ani słowem, powiedział mi tylko o upadku. Pewnie, nic nikomu nie mówiąc, oddałby pieniądze temu oszustowi i zostawił mnie z niczym. Tak o mnie dba.

Al zamknął drzwi, włączył silnik i odjechał.

Po jaką cholere w ogóle tu przyjeżdżałem? — spytał sam siebie. Dlaczego nie zostałem w domu?

To para świrów, stwierdził.

Jak mam się z tego wyplątać? Mam dość własnych problemów. Niech oni sobie łamią głowy nad swoimi. Nie ujadę z nimi dalej, to prostaki. Muszę teraz znaleźć nowe miejsce dla Komisu Samochodowego Ala.

I wtedy gdzieś z głębi wyłoniła się kolejna myśl; nie był jej świadomy, lecz ona i tak tam krążyła. Mam nadzieję, że go wyrolują na cacy, pomyślał. Mam nadzieję, że Harman zabierze mu wszystko. Staremu należy się to jak psu buda, jemu i tej jego świrniętej żonie Greczynce.

Powinienem wymyślić coś, by samemu go przekręcić. To było to — naprawdę strzał w dziesiątkę.

Pracował z Jimem Fergessonem od lat i jeśli komuś należały się te pieniądze, to właśnie jemu, Ałowi Millerowi, a nie temu dzianemu klientowi, który wozi się cadillakiem i dla którego stary jest tylko facetem, co mu oliwi gablotę. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny, powiedział do siebie Al.

Jestem jego najlepszym przyjacielem. Dlaczego Harman miałby czerpać z tego korzyści, a nie

ja?

Ale jak będę chciał przekręcić starego, myślał, wszystko się wyda i wyląduję w więzieniu. Nie ma nawet sensu próbować — nie jestem w stanie oszukać starego ani zaszantażować Harma — na.

Po prostu nie mam do tego głowy.

Czemu nie mogę być taki jak on? — pytał się w myślach. Jestem nieudacznikiem, choć powinienem być Chrisem Harma — nem. Ale on jest moim przeciwieństwem.

Jak się staje takim człowiekiem? — zastanawiał się.

Nie było to łatwe. Jadąc samochodem, Al Miller rozpatrywał każdy dostępny sposób na to, by ktoś taki jak on stał się kimś takim jak Chris Harman. Była to dla niego absolutna tajemnica.

Zagadka nie do rozwikłania.

Nic dziwnego, że wszyscy mną gardzą, pomyślał.

Muszę podjechać pod dom Harmana, postanowił, a kiedy pojawi się w drzwiach, powie mu, że chcę dla niego pracować. Zostanę sprzedawcą sprośnych nagrań. Powiem mu to. Znajdzie coś dla mnie — jak nie to, to coś innego. Mogę naprawiać maszyny w tłoczni płyt. Albo pracować u niego w domu, przy jego samochodach; teraz już nie będzie miał mechanika. Poświęcę cały swój czas jego cadillacowi i mercedesowi, będę polerował karoserię, smarował wozy i ustawiał je równo na podjeździe.

Powinienem, myślał dalej, pokazać prawdziwą ambicję i zrobić coś naprawdę dobrze. Mógłbym mu na przykład powieść, że mam tajemną moc i potrafię leczyć chore samochody czy prasy w tłoczni. Że robię to, nakładając ręce na maszynię. Albo śpiewając jej. Coś, co naprawdę przyciągnie jego uwagę. Czyż nie tak postępowali w przeszłości wszyscy wielcy Amerykanie?

Wszyscy mieli do tego dryg. W wieku, powiedzmy, dziewiętnastu lat wpadali do biura Andrew Carnegiego na minutę i mówili mu, że się nie oszczędzają albo że biorą po dwadzieścia pięć dolarów na godzinę. I to działało.

Muszę wszystko dokładnie opracować, powtarzał sobie. Muszę dokładnie przemyśleć wszystko i wpaść na pomysł, który wypali. Jak nie, to po mnie. Zostanie po staremu i nic się już w moim życiu nie zmieni.

To moja szansa, żeby się przełamać i stać kimś.

Całe moje życie, cała moja przyszłość zależą od tego, powtarzał sobie. Czy potrafię? Muszę.

Jestem to winien Julie i sobie, czyli mojej rodzinie. Nie mogę dłużej czekać, nie mogę już tak dryfować. Szansa puka do moich drzwi pod postacią Chrisa Harmana. Tak to wygląda i jak to zignoruję, drugiej szansy już nie będzie. Zawsze tak jest.

I wtedy uświadomił sobie coś jeszcze. Chyba zupełnie mi odbiło, pomyślał. Ta cała sprawa, kłótnia ze starym, doprowadziła mnie do szału. Mało świra nie dostałem.

A jednak było coś w tym pomysle. Jaki bym był, gdybym popracował chwilę z Chrisem Harmanem? — pytał się w myślach. Mógłby mi dać coś naprawdę ekstra. Ma pewnie tyle przedsięwzięć, że bez problemu znalazłby mi jakąś ciepłą posadkę. Zatrudnia pewnie setki ludzi.

Jak znam życie, pomyślał, Harman pewnie nic innego nie robi cały dzień, tylko przyjmuje i wywala z roboty pracowników.

Czy powinienem zadzwonić do prokuratora okręgowego i donieść na Harmana, mówiąc, że to oszust? A może powinienem go zaszantażować tym, że próbuje wykiwać starego? A może powinienem zjawić się u niego w domu czy w firmie i spróbować go namówić, żeby mnie wziął pod swoje skrzydła? A może po prostu powinienem wrócić do domu, pójść z żoną do łóżka i rano grzecznie pojechać do Komisji Samochodowego Ala?

Trudno było odpowiedzieć na te pytania. Choć myślał usilnie, dalej nie wiedział, co zrobić.

Muszę sobie golnąć, pomyślał. Za zielonym i żółtym światłem, na wprost, znajdował się bar.

Nigdy w nim nie był, ale bar to bar — po prostu jeden z tych, które miały koncesję na sprzedaż wina i piwa. Zaparkował więc, wysiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy, po czym wszedł do środka.

Ta cała kłótnia niezłe mną wstrząsnęła, myślał, przepychając się w stronę barmana, by coś zamówić. To, jak odkryłem, że Harman chce wyrolować starego, i to, że ten śmiał się ze mnie i obrażał mnie, kiedy powiedziałem mu prawdę. Za dużo tego dobrego. To wszystko za to, że starałem się go naprostować, pomyślał. Taka spotyka mnie nagroda za to, że powiedziałem mu, co wiem. Nie chciał nawet mnie słuchać, bo ja jestem wszystkiemu winien.

— Piwo Hamm — rzucił do barmana.

Biedny, schorowany stary świr, pomyślał. Zawinął się w szlafrok, paputki założył do tego i najspokojniej ogląda sobie telewizję. Co się z nim stanie? Może będzie miał zawał i umrze, a może będzie miał ich jeszcze kilka. Może już umiera. Może dostał wylewu i część jego mózgu nie funkcjonuje; to może być to.

Ale zawsze taki był, uświadomił sobie Al. Nie ma żadnej różnicy, tylko teraz jest bardziej zapiekły. Głupi stary pierdziel.

I wtedy dopadła go straszna myśl, gorsza od innych. A może pani Lane stara się mnie zatrzymać? Próbuje nie dopuścić, bym wszedł w układ z kimś, kto i tak ma wszystkie niezbędne nieruchomości? Może to, co mówiła o Harmanie, było tylko handlową zagrywką, żeby nie stracić klienta?

To naprawdę sprytna babka, stwierdził. Może owinąć mnie sobie wokół palca — zupełnie jakbym próbował się droczyć z matką jeszcze w St. Helena. Może myślę się co do Harmana? Może jednak nie chce wyrolować starego? Boże, a co będzie, jak nagadałem staremu bzdur? Może on ma rację co do mnie, mnie, moich kolorowych kumpli i całej reszty.

Dopił piwo i zamówił kolejne. Został w barze do późnego wieczoru, pił w samotności i rozmyślał, przyznając raz za razem — choć miał wszystko jak na talerzu — że jest całkowicie pozbawiony umiejętności realnej oceny sytuacji. Wyglądało na to, że to jego główna wada, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym dobitniej stawała mu przed oczami. Nie chciała zniknąć — była prawdziwa. Rujnowała jego życie.

I co mógł na to poradzić?

Kilka godzin później wydało mu się, że ma na to radę. Zdołał jakoś przebrnąć przez salę do budki telefonicznej. W środku sprawdził numer pani Lane, włożył dziesiątaka i zadzwonił.

— No witam — rzekł, kiedy podniosła słuchawkę. — Mówi Chris Harman. Dlaczego rozpowiada pani kłamstwa na mój temat? Co ma pani przeciwko mnie? — Chciał powiedzieć o wiele więcej, ale pani Lane przerwała mu, nie tyle słowami, ile chichotem.

— Co pan wyprawia, panie Miller? — Nie mogła zapanować nad śmiechem. — Poznają pana po głosie, mnie pan nie oszuka. Wygląda na to, że coś pan świętuje.

— Nie oszukałbym starego — powiedział. — Od lat naprawia mi samochody. Chyba pani oszalała. Powinienem napuścić na panią prawnika. Jak ja sobie teraz poradzę z autami, kiedy on sprzedaje warsztat? Powinna mi pani współczuć, a nie oskarżać.

— Chodzi o pana Fergessona? — zapytała pani Lane. — O nim mowa?

— Jest pani przeciwko mnie — powiedział Al.

— Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak odjechał — odparła. — Gdzie pan jest?

— W klubie Czterdzieści Jeden — rzekł, podnosząc do oczu pudełko zapalek od barmana. — Na Grove Street. Serwują tylko markowe trunki.

— Lepiej niech pan wraca do domu, panie Miller — powiedziała pani Lane, wciąż chichocząc.

— I niech żona położy pana spać.



— A może wpadnie pani tutaj, stawiam piwo — powiedział. — Niech pani weźmie też męża, jak pani ma. A jak pani nie ma, to i tak niech pani go weźmie.

— Naprawdę panu odbiło — powiedziała pani Lane. — Proszę wracać do domu, słyszy pan? Do domu.

— Słyszę, słyszę — odparł Al. Odwiesił słuchawkę, wyszedł z baru, rozglądał się chwilę, zanim znalazł samochód, i pojechał do domu.

Na drugi dzień Jim Fergesson czuł się na tyle dobrze i na tyle wypoczęty, że ubrał się i pojechał do warsztatu. Nie planował żadnych ciężkich prac — miał zamiar zająć się tylko drobnymi naprawami i odbierać telefony, gdyby zadzwonił któryś z klientów. Chciał wyjaśnić im, co się stało, powiedzieć wszystko o wypadku i swoich planach.

Listonosz pojawił się o dziewiątej, wkrótce po tym, jak stary otworzył wielkie drewniane podwoje. Wśród zwykłych reklam i rachunków Fergesson natrafił na dziwnie wyglądający list.

Tkwiał w zwykłej kopercie i nie przypominał listu od jakiejś firmy. Nazwisko i adres — jego — zostały napisane na starej maszynie, która nierówno stawiała czcionki i barwiła poszczególne litery.

Otworzył kopertę na biurku. List napisano na tej samej starej maszynie.

Szanowny panie Fergesson

O ile mi wiadomo, zastanawia się pan nad wejściem w interes z panem Christianem Harmanem, tym, który jest właścicielem firmy płytowej na rogu Dwudziestej Piątej Ulicy. Znam się na tych sprawach, zatem radzę panu, by pan uważał na pana Harmana, gdyż nie cieszy się on dobrą reputacją. Niniejszy list byłby dobitniejszy z podpisem, ale pan Harman jest na tyle szczwany, że nie obeszłoby się bez pozwu, więc się z tym wstrzymam. Wiem jednak, o czym mówię.. Poza tym, przykro mi, że sprzedał pan swój warsztat.

List nie był podpisany.

Czy Al to pisał? — zastanowił się stary. Czytając ponownie list, zaczął się krztusić. To był numer, który mógł wywinąć tylko Miller. Wyobrażał sobie, jak Al odnajduje maszynę — im starszą, tym lepszą, im ma brudniejsze klawisze, tym lepiej — i jak ślęczy nad tą epistołą, starając się możliwie najbardziej zmienić swój styl. Żeby wyglądało, jakby pisał to jakiś wieśniak albo czarnuch. Tak, pomyślał. Kolorowy.

Z drugiej strony, pomyślał, może to jednak nie Al napisał ten list. W końcu wielu go widziało w hrabstwie Marin, jak oglądał Marin Country Gardens. I rozniosło się to po San Pablo Avenue.

Kiedy o tym pomyślał, poczuł przyływ złości. A czy to w ogóle ich sprawa? Może to z zawiści, przyszło mu do głowy. Może mają mu za złe, że za chwilę wyrwie się z tej zrujnowanej dzielnicy.

Może napisała to Betty ze sklepu ze zdrową żywnością. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że dokładnie taki list mogła wysmażyć stara Betty z jej humorami i fanaberiami. Chyba tam do niej pójdę, postanowił. Pokażę go jej i zmuszę, żeby się przyznała, że to ona za tym stoi.

Czy oni nie mają innego tematu? — zastanawiał się. Muszą się zbierać i gadać o mnie? Niech ich szlag trafi, pomyślał. Poczul wściekłość na nich wszystkich, na tę całą bandę.

Ale co będzie, jeśli to nie Betty go napisała? Jak go jej pokaże, wyjdzie na idiotę. Lepiej go nikomu nie pokazywać, nawet Alowi, na wypadek gdyby to również nie on go napisał.

Jednak po chwili opanowały go inne uczucia, a że pojawiły się stopniowo, nie zauważył ich od razu.

Zrobiło mu się przyjemnie, że ludzie o nim mówią.

Jasne, że mówią, stwierdził. Rozniosło się. Al rozpowiedział. List stanowił tego dowód.

Na tej ulicy wieści zawsze szybko się rozchodziły, od zakładu do zakładu. Plotki i pogłoski, wszyscy o wszystkich.

Wyszedł z biura i z warsztatu. Po chwili otwierał już drzwi bistra ze zdrową żywnością, pozdrawiając Betty.

— Cześć, Jim — odparła, podnosząc się. Ruszyła do ekspresu do kawy. — Jak się dziś czujesz?

— W normie — powiedział, sadowiac się przy ladzie. W lokalu przebywało jeszcze kilka klientek, kobiet w średnim wieku, których nie znał. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy, oczywiście z wyjątkiem Betty.

— Chcesz coś do kawy? — zapytała Betty. — Bułeczkę?

— Niech będzie — rzekł, obracając się na stołku, żeby widzieć wejście do warsztatu. — Słuchaj, wiesz, co zrobiłem, prawda? Wiesz, co się stało?

Betty zatrzymała się przy półkach z bułeczkami.

— Powiedziałeś mi, że sprzedałeś warsztat — odparła.

— A wiesz, że kupiłem nowy?

Na pomarszczonej starczej twarzy pojawiło się zadowolenie.

— Cieszę się — powiedziała. — A gdzie?

— W hrabstwie Marin — odparł. — Całkiem nowy. Wkładałem w to dużą forszę, o wiele większą, niż mam ze sprzedaży starego warsztatu. Dostałem cynk. Oczywiście nie mogę ci powiedzieć dokładnie, gdzie to będzie. Dowiesz się we właściwym czasie. To wymaga pewnych przygotowań.

— Naprawdę bardzo się cieszę — powiedziała Betty. — Jestem bardzo zadowolona.

Stary wziął od niej filiżankę kawy.

— Jak sądzę, znasz Chrisa Harmana. Zawsze przywozi do mnie auta, jeździ cadillakiem rocznik pięćdziesiąt osiem. Szykownie ubrany gość.

— Może nawet go widziałam — odparła Betty.

— Mówię ci — rzekł stary z naciskiem — ponoszę znaczne ryzyko. Prawdziwe ryzyko. Jest w tym poważny element ryzyka. — Czuł coraz większe podniecenie; słowa pojawiały się szybciej, niż mógł je wypowiedzieć. — Muszę mieć na oku tego Harmana. Wielu ludzi nie podjęłoby takiego ryzyka. — Mrugnął do Betty, ale nie dostrzegł u niej oznak zrozumienia. — Ma ustaloną reputację

— dodał.

— O jakiej reputacji mówisz?

— Sporo ludzi twierdzi, że to oszust pierwszej wody.

Bardzo się zaniepokoiła.

— Jim, uważaj — powiedziała.

— Ja właśnie uważam — odparł, parszcząc śmiechem. — Nie martw się o mnie. To naprawdę powszechnie znany oszust. Wy — kolegowali wielu ludzi. Może też wykołegować mnie. Nie byłbym zaskoczony. Takie rzeczy się zdarzają. — Wybuchnął głośnym śmiechem; teraz na twarzy Betty widać było zarówno zmartwienie, jak i zaniepokojenie. — Może się skończyć tak, że nie będę miał ani warsztatu, ani forsy — dodał. — Ale byłby sztos, co? Takie rzeczy się zdarzają, w gazetach piszą o nich codziennie.

— Jim, uważaj — powtórzyła Betty. — Pilnuj się i oglądaj za siebie. Zarabiałeś te pieniądze całymi latami.

— Och, oczywiście, że może mnie załatwić — powiedział stary. — Spryciarz z niego. — Dopił kawę i odstawił filiżankę. — Muszę wracać — rzekł. — Przyszedłem tylko po to, by ci przekazać najnowsze wieści. — Wstał ostrożnie i unikając gwałtownych ruchów, skierował się do drzwi. — Kiedy mnie zobaczysz włóczącego się po ulicy ze starą puszką — powiedział, zatrzymawszy się w wejściu — to będziesz wiedziała dlaczego.

— Przemyśl sobie wszystko jeszcze raz — powiedziała do niego Betty, kiedy zamykał drzwi bistra ze zdrową żywnością, by ruszyć chodnikiem do warsztatu.

Wszyscy gadają, myślał Fergesson. Wiedzą, że mogą zostać wyślizgani z całej forsy. Dzięki temu jeszcze długo będą mieli temat do dyskusji. Wiedzą, że Harman jest oszustem pierwszej wody, prawdziwym zawodowcem. Można to poznać po tym, jak tacy się ubierają, po ich drogich ciuchach. Konfeksja męska i samochody. Wystarczy spojrzeć na jego furę: cadillaca rocznik pięćdziesiąt osiem. W tym gościu nie ma ani krztyny tandety, uświadomił sobie. A ten jego dom, powiązania biznesowe i przedsięwzięcia — we wszystkim ma jakieś udziały. To prawdziwie gruba ryba. Znany przedsiębiorca.

Wiedzą, że zarobił kupę forsy. Jest naprawdę bogaty. Może nawet ma kilkaset tysięcy dolarów.

Może ma całe te Marin Gardens na własność. Może nie istnieje żaden Bradford, a jeśli już, to jest tylko przykrywką. Kimś, kogo Harman wynajął, by go reprezentował. Kimś takim jak Carmichael.

Ale jedno jest pewne, powiedział do siebie, wchodząc do warsztatu. Nad Harmanem nikt nie stoi, nie ma nikogo, kto wydawałby mu polecenia. To on jest jedynym szefem tego cyrku. Znam go od lat i wiem, że się nikomu nie wysługuje. To on rządzi.

Komu jeszcze mógłbym o tym powiedzieć? — zastanawiał się. Może fryzjerowi po drugiej stronie ulicy. Mógł wpaść później na małe strzyżenie.

Uniesienie po przeczytaniu anonimu zdawało się wciąż rosnać — docierało do każdego zakątka jego ciała. Ręce i nogi drżały mu, chciał za wszelką cenę coś zrobić, musiał być w ruchu.

Zaangażowałem się w coś naprawdę wielkiego, powtarzał sobie.

Przez chwilę stał w wejściu do warsztatu, nasłuchując, czy przypadkiem nie dzwoni telefon.

Wpatrywał się przy tym w półmrok, by sprawdzić, czy nie pojawił się żaden klient, który teraz czeka na niego. Nie usłyszał ani nie zobaczył niczego, więc poszedł do Komis Samochodowego Ala. Wpadnę do starego Ala, powiedział sobie, i zobaczę, co ma dzisiaj do powiedzenia.

Jednak, ku jego zaskoczeniu, Komis Samochodowy Ala był nieczynny. Łańcuch między słupkami wisiał od nocy, a drzwi niewielkiej budki były zamknięte na klucz. Poza tym zobaczył pocztę pod drzwiami: Al nie pojawił się dziś w pracy. Nie stworzył interesu, choć było już wpół do jedenastej.

Stojąc tak tam, stary poczuł wielki zawód. Niech go szlag trafi, przeklął. Powrócił wczorajszy gniew. Do diabła z nim, pomyślał, odwrócił się i ruszył w stronę warsztatu.

W ogóle nie rozumiem, dlaczego niby miałbym z nim rozmawiać, stwierdził. Wciąż tylko rzuca oszczerstwa na mnie i na to, w co jestem zaangażowany. Przypomniał sobie niektóre sformułowania Ala z zeszłego wieczoru i poczuł, jak zaogniają mu się uszy i szyja. Niech sobie robi, co chce, a ja będę robił to, co uważam za słuszne, powiedział do siebie. On padnie, a ja wypłynę, bo jesteśmy całkowicie różni: znajdujemy się na przeciwnych krańcach spektrum.

Nie ma takiej możliwości, żebyśmy mogli się dogadać, pomyślał, wracając do warsztatu. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. A już na pewno nie w sytuacji, w której jak zwykle, jest zazdrosny o czyjś sukces, bo widzi sukcesy innych przez pryzmat własnych porażek. Zawsze to samo: jak człowiek się wybije, od razu otacza go zawiść i ludzka podłość. Wszyscy człowieka nienawidzą, bo chcą być na jego miejscu, a wiedzą, że to się nigdy nie stanie.

Al pewnie odsypia kaca w domu, pomyślał, wchodząc ponownie do biura. Wczoraj, po wyjściu ode mnie, jak go znam, poszedł prosto do baru. A teraz nie jest w stanie nawet otworzyć interesu.

Pewnie wciąż gnije w łóżku. A żonka pracuje na nich oboje, na utrzymanie tego wałkonia.

On nigdy się nie zmieni, pomyślał stary. Nie będzie w stanie złapać szansy i podnieść się z tego.

Zawsze będzie taką łajzą, aż do zaszranego śmierci.

\* \* \*

Tego ranka o dziesiątej Al Miller siedział w samochodzie na rogu Dwudziestej Piątej Ulicy i

Pershing Avenue. Na wprost niego dwupiętrowy gmach Teach Records Inc. górował nad okolicą i wyglądał okazalej niż budynek kliniki dentystycznej obok czy też biurowiec księgowych sieci supermarketów.

Siedział w samochodzie od półgodziny i obserwował Teach Records; palił papierosa, zwracając uwagę na wchodzących i wychodzących z budynku oraz na parkujące przy chodniku i odjeżdżające samochody.

Mam tam wejść? — pytał sam siebie.

Jak wejść, odmienię swoje życie. Ale muszę być pewien, że tego chcę. Decyzję powinienem podjąć teraz, bo jak tam wejść, będzie już za późno. To działa tylko w jedną stronę, w tę tak, w tamtą już nie.

By sobie pomóc — ale bynajmniej nie dać sobą powodować — wziął puszkę po anacinie pełną tabletek. Teraz był właściwy moment. Otworzył puszkę i wyciągnął płaską zieloną pastylkę, która wyglądała jak landrynka w kształcie serca. Był to dexymil. Połknął całą pastylkę, popijając ją coca

— colą z butelki. Po wzięciu dexy niemal od razu poczuł się lepiej. Wywoływała uczucie radosnego oczekiwania, ponieważ jak wiedział z doświadczenia, wkrótce opanuje go błogi nastrój, a wraz z nim przyjdzie coś dobrego. Ale był też problem — po dexymilu mówił za szybko i za dużo. Dlatego też, by zrównoważyć skutki działania małej, zielonej, płaskiej pigułki w kształcie serca, połknął okrągłą tabletkę z połyskliwą czerwoną warstwą. Był to sparin, który najbardziej przypominał biedronkę ze schowanymi nóżkami. Sparin nie był stymulantem, lecz lekiem uspokajającym. Al miał nadzieję, że razem tabletki te wprowadzą go w pożądany stan, stan, który był mu potrzebny do wykonania tego, co sobie zamierzył.

Dla pewności łyknął jeszcze dwie pastylki anacinu. I już — zamknął puszkę i włożył ją do kieszeni.

Już po chwili przechodził przez jezdnię. Następnie znalazł się w biurze oświetlonym fluorescencyjnymi lampami, przed dziewczyną siedzącą za biurkiem obok centrali telefonicznej.

Piękna dziewczyna z kolczykami podniosła wzrok i powiedziała:

— Słucham pana.

— Chciałbym się widzieć z panem Teachem — odparł.

— Pana Teacha tu nie ma — oznajmiła dziewczyna. — Nie żyje.

— Nie żyje! — wykrzyknął zdziwiony Al Miller. — Co się stało? Nie znałem go, ale co mu się stało, do diabła?

— Został zastrzelony w Karolinie Północnej — odparła dziewczyna. — Przez jakiegoś Mayharda czy Maynarda. — Czekala na jego reakcję, ale on nie był w stanie niczego sensownego wymyślić i stał tylko bez słowa przy biurku. — Może się pan zobaczyć z panem Knightem — powiedziała. — Jest tu kierownikiem. A właściwie pan w jakiej sprawie?

— No dobra — rzekł, ale w końcu przypomniał sobie, że przecież wcale nie chciał się widzieć z panem Teachem, wziął tylko to nazwisko z szyldu na budynku. Chciał się spotkać z Chrisem Harmanem. — Chcę się widzieć z panem Harmanem — powiedział.

— Pan Harman jest teraz bardzo zajęty — odparła dziewczyna. — Proszę podać mi swoje nazwisko i usiąść na chwilę, a ja zawiadomię jego sekretarkę i dowiem się, czy będzie miał dzisiaj dla pana czas.

Podał dziewczynie nazwisko i usiadł w jednym z nowoczesnych biurowych foteli.

Po jakimś czasie, który wydawał mu się ledwo chwilą, sekretarka przywołała go. Odłożył egzemplarz magazynu „Life” i podszedł do niej.

— Pan Harman znajdzie teraz parę minut dla pana — powiedziała. — Wciśnie pana w swój

grafik, jeśli nie zabierze mu pan zbyt wiele czasu. — Wskazała korytarz. — Pierwsze biuro po prawej stronie.

Korytarz wyglądał jak szklano — aluminiowe biuro w prywatnej przychodni, z bocznymi przepierzeniami. Odnalazł właściwe biuro, a w nim Chrisa Harmana.

— Dzień dobry, panie Miller — powiedział uprzejmie Harman, wskazując mu krzesło. — Czym mogę panu służyć?

Al usiadł.

— Przykro mi z powodu śmierci pana Teacha — rzekł. — Jak już mówiłem tej dziewczynie, nie znałem go, ale znam katalog Teacha i...

— To się zdarzyło bardzo dawno temu — powiedział Harman z uśmiechem. — W 1718.

— Słucham? — rzucił Al. — Ach, rozumiem. — Zaśmiał się. Najwyraźniej był to jakiś dowcip.

Nie rozumiał go, więc zmienił temat. — Pan tu jest szefem? — zapytał. — Właścicielem tego miejsca?

Harman, uśmiechając się półgębkiem, skinął głową.

— Proszę posłuchać — powiedział Al. — Pamięta mnie pan?

— Chyba tak — odparł Harman. — Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

Jego spojrzenie powędrowało niżej i Al zrozumiał, że Harman ocenia jego ubranie, kurtkę, spodnie, buty i sportową koszulkę. Oceniał go po ubiorze.

— Jestem sprzedawcą używanych samochodów — powiedział Miller.

Harman pokiwał głową.

— Aha, rozumiem — rzekł.

— Teraz sobie pan przypomina?

— Chyba tak.

— Niezłe ze mnie ziółko — powiedział Al. — Jestem chyba najgorszym sprzedawcą używanych samochodów pod słońcem.

Harman przestał się uśmiechać i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Szczeka mu nieco opadła.

— Naprawdę? — wymamrotał.

— Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jak będę z panem całkowicie szczerzy — powiedział Al.

— Owszem — odparł Harman.

— Zrobię wszystko, byle tylko sprzedać samochód — powiedział Al. — I guzik mnie obchodzi, w jakim jest stanie, bylebym go sprzedał. Spójrzmy prawdzie w oczy. Samochody, które mam u siebie...

— Tak — przerwał mu Harman. — Ma pan komis samochodowy. Komis Samochodowy Ala.

Teraz sobie przypominałem.

— To rzęchy — dokończył Al. — Gruchoty. Powinno się je wszystkie zełtomować. Dam panu przykład. Ma pan chwilkę?

Harman pokiwał głową.

— Kiedyś miałem starą taksówkę. Można poznać, że samochód należał do taksjarza, bo ma czworo drzwi i zwykle jest to plymouth albo studebaker. Nie ma żadnego wyposażenia poza ogrzewaniem, to najtańszy model, jaki schodzi z taśmy. I malują nazwę korporacji na drzwiach. A w dachu ma dziury po podświetlanym napisie „taxi”. Dlatego wiedziałem, że to stara taryfa. Był to prawdziwy gruchot. Musiał mieć ze trzysta tysięcy mil na liczniku. Wziąłem go za stowę.

Przemaalowałem, wyczyściłem, doprowadziłem do jako takiego stanu i dorobiłem mu

odpowiednią historię.

— Cofnął pan zegar? — zapytał Harman.

— Licznik — poprawił go Al. — Tak, do jedenastu tysięcy mil. To był wóz sprzed roku.

Harman zapalił papierosa Benson and Hedges inkrustowaną złotem zapalniczką. Podsunął paczkę Alowi, lecz ten odmówił. Był zbyt pochłonięty tym, co mówił, by myśleć o papierosie.

— Mówiłem klientom — powiedział — że to samochód żony.

Szare oczy Harmana zabłyśły.

— Mówiłem, że jeździła nim do szkoły — kontynuował Al. — Że boi się autobusów i nie może podróżować w zamknięciu. Że kupiłem go dla niej u dilerzy plymoutha na Broadwayu. Dostałem go po cenie hurtowej, bo znam koleś. Więc mogłem go kupić za oszczędności. Kupiłem go jej, ale tak naprawdę nie musieliśmy mieć dwóch samochodów. Potrzebowała go tylko raz dziennie, żeby pojechać do szkoły, no i może jeszcze na zakupy. A ja wciąż musiałem go myć i woskować. I w weekendy po prostu stał w garażu, bo jak dokądś jechaliśmy, to braliśmy mojego chryslera.

— Rozumiem — rzekł Harman.

— Więc w końcu powiedziałem jej, że nie możemy go trzymać. Sprzedam go, a ona może sobie za te pieniądze jechać na urlop na Hawaje. Dlatego nie chcę wcale na nim zarobić. I że oddam go za tysiąc trzysta.

— I sprzedał go pan? — zapytał Harman.

— Nie od razu — odparł Al. — Przyszedł jakiś koleś i wcisnąłem mu ten właśnie kit. Ale zauważył, że wóz był malowany, i to go zaniepokoiło. Powiedziałem mu, że wybrała podstawowy kolor, słoniowy szary z różem, ale od razu jej się znudził, więc ludzie z plymoutha przemaalowali go jej jeszcze podczas gwarancji. Jednak gość zauważył, że amortyzatory są w nie najlepszym stanie, co wskazywało na to, że wóz był często używany. Tak czy inaczej, w końcu go pchnąłem. — Zamilkł na chwilę. — Asfaltowi.

— Słucham? — zapytał Harman, przykładając dłoń do ucha.

— Murzynowi.

— Ach. — Harman zrozumiał. — Asfaltowi. — Uśmiechnął się.

— Oczywiście nie miał gotówki. Dawał cztery stówy. Ale załatwiłem resztę przez firmę pożyczkową na naszej ulicy.

Harman zaśmiał się.

— Wystarczy przejść przez San Pablo — powiedział Al — do West Oakland Guarantee Savings.

Dostają dwanaście procent od niespłaconego długu, włączając w to raty i inne koszty dodatkowe.

Jeśli trzeba zająć brykę, asfalt wciąż jest winny całą brakującą kwotą. Raty na trzy lata. W rzeczywistości odsetki wynoszą dwadzieścia cztery procent, bo tyle faktycznie dyskontujemy.

— Chyba znam ten rodzaj pożyczek — rzekł Harman. — Zdaje się, że miałem z nimi do czynienia.

— I tak dostałem prawie dwa tysiące dolców za starą taryfę — powiedział Al. — W salonie taki wóz kosztuje tysiąc sześćset, nówka nieśmigana. Wystarczyło wyczyścić go i odpicować. A przed malowaniem nawet nie wypiaskowałem dobrze rdzy ani nie wyklepałem karoserii. Zakłajstrowałem wgnioty szpachlą i po kłopotach.

Chris Harman znów się zaśmiał. Zdawało się, że jest zainteresowany tym spotkaniem — nie wykazywał oznak zniecierpliwienia, nie popędział Ala, by zmierzał do sedna, nie próbował też wyganiać go z biura. Niezłe się bawił, słuchając tej opowieści.

— Chodzi o to — powiedział Al — że zrobię wszystko, byle tylko sprzedać samochód. Nawet opony bieżnikują.

— A co to znaczy?

— Biorę łysą oponę, taką, na której nie ma już śladu bieżnika, i rysuję po powierzchni rozgrzaną igłą. Nakładam taki lipny bieżnik i maluję gumę na czarno, żeby wyglądała jak nowa.

— Czy to nie jest niebezpieczne?

— Jasne, że jest — odparł Al. — Wystarczy, że przy cofaniu facet wjedzie na gorącą zapałkę, a guma może strzelić. Ale wydaje mu się, że ma nowiuśkie opony, więc idzie na całość i kupuje brykę, której inaczej pewnie by nie kupił. To znana sprawa w tym biznesie. Wszyscy, albo prawie wszyscy, tak robią. Trzeba pchać towar do klienta. Podstawa to mieć odpowiedni bajer na każdą okazję. Jak samochód nie chce zapalić, zawsze się mówi, że nie ma benzyny. Jak nie da się opuścić czy podnieść szyby, mówi się, że przywieźli wóz tego ranka i chłopak jeszcze go nie sprawdzał.

Trzeba umożliwić klientowi powrót do komisju. Jak gość zauważy, że dywanik jest wytarty, mówi się, że bryką jeździła damulka w szpilkach. Jeśli jest przetarta tapicerka, czy to ze starości czy przez jakiegoś gówniarza, mówi się, że pies byłego właściciela zrobił to wszystko w tydzień pazurami.

Zawsze trzeba mieć coś w zanadrzu.

— Rozumiem — powiedział Harman, pilnie słuchając.

— Jak silnik klekocze jak stare wiadro, mówi się, że wystarczy wyregulować popychacze.

Harman pokiwał głową.

— Jak nie można wrzucić biegu, mówi się, że właśnie zamontowano nowe sprzęgło i jeszcze się nie dotarło.

— A gdyby na przykład wysiadły hamulce? — zapytał Harman po chwili zastanowienia. — Gdyby pozwolił pan klientowi na jazdę próbną, ten usiłowałby zahamować i samochód nie stanąłby? Co można powiedzieć w takiej sytuacji?

— Mówi się, że jakieś wredne bachory spuściły płyn hamulcowy — odparł Al. — Nocą. I wtedy zaczyna się gadka na temat szczeniaków kradnących popielniczki, żarówki i koła zapasowe. I trzeba udawać bardzo rozgniewanego.

Harman pokiwał głową.

— Rozumiem.

— To był świetny interes — powiedział Al. — Lubiłem stawiać na szali mój spryt przeciwko ich zdrowemu rozsądkowi. To niezwykle podniecające i stymulujące. Nie wszedłbym w nic innego. To esencja mojego życia. Urodziłem się do tego. Znam wszystkie numery świata.

— Najwyraźniej — powiedział Harman.

— Ale muszę się wycofać.

— Dlaczego?

— Wszystko to zrobiło się dla mnie za małe — odparł Miller.

— Ach tak — powiedział Harman.

— Proszę posłuchać — rzekł Al. — Jestem jak brzytwa. Dostaję szwungu. Nie mogę pozwolić, by krępowały mnie jakieś interesiki. Sprzedaż używanych samochodów była tylko treningiem.

Nauczyło mnie to wiele o świecie. Teraz jestem gotów na coś wartościowego. Na coś, co naprawdę będzie dla mnie próbą charakteru. Kiedyś to było wyzwanie, teraz już nie jest. Bo... — Zaczął mówić niskim, ostrym głosem. — Wiem, że mi się uda. Do czegokolwiek bym się wziął. To nie są dla mnie przeciwnicy. Zrobiłem ich wszystkich po kolei. Kiedy tylko pojawiają się na moim parkingu — machnął ręką, jakby przewracał armię ołowianych żołnierzyków — mam ich. To żadne



wyzwanie.

Harman milczał.

— Mamy prężnie rozwijającą się gospodarkę — mówił dalej Al. — Kraj zmierzający w stronę swego przeznaczenia. Ludzie upadają bądź wchodzą na szczyt, bogacą się lub biednieją z dnia na dzień. Albo znikają z powierzchni ziemi. Ja nie godzę się na to, by zniknąć. Mam zamiar podczepić się pod amerykański system, w którym jest miejsce dla człowieka z pasją i poważnym podejściem do sprawy.

Harman przyglądał mu się uważnie.

— I dlatego mi się uda — dodał Al. — Dlatego za każdym razem, kiedy do mnie przychodzą, mogę ich zrobić na szaro. **B o j a w i e r z ę w t o , c o r o b i ę .**

Harman wolno pokiwał głową.

— To nie jest zwykła posada — powiedział Al. — Nie chodzi tu tylko o to, żeby zarobić te parę groszy. Same w sobie pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Istotne jest to, co sobą przedstawiają.

Pieniądze są dowodem. Dowodzą ambicji i zdecydowania człowieka oraz tego, że nie chowa głowy w piasek, kiedy szansa puka do jego drzwi. Dowodzą, że nie boi się być sobą. I że zna innych, podobnych sobie. Rozpoznaje ich, bo mają w sobie ten sam zapał, tę samą niezgodę na wykoszenie z życia i niezdolność do pogodzenia się z porażką.

— A co takiego sprawiło, że pan pojawił się tu, w Teach? — zapytał Harman.

— Spotkałem pana — odparł Al. — To jedyne wytłumaczenie. — Wykonał gest sugerujący, że nie zamierza nic dodać.

Zaległa cisza.

— Cóż... — rzekł Harman. — A czego pan od nas oczekuje? Jak dotąd tylko przedstawił pan szczegółowo historię swej kariery zawodowej.

— Chcę pracować dla Christiana Harmana. Tak po prostu.

Harman uniósł brwi.

— Z tego co wiem, nie ma żadnej wolnej posady.

Miller nie odezwał się.

— A o czym pan myślał? Ma pan jakieś doświadczenie w branży fonograficznej?

— Mogę być z panem całkiem szczery? — zapytał Al.

— Proszę. — Harman ponownie się uśmiechnął.

— Nie wiem nic o płytach — powiedział Al. — Bądźmy realistami. Ale sprzedawca nie sprzedaje swego produktu. **O n s p r z e d a j e s i e b i e .** A ten temat znam na wyrywki, panie Harman. Znam siebie. Mając to, jestem w stanie sprzedać cokolwiek.

Harman zastanowił się nad tym.

— Podjąłby pan u nas każdą pracę? Z tego co pan powiedział, zrozumiałem, że jest pan skłonny...

— Uściślę nieco — przerwał mu Al. — Mam zamiar pracować dla kogoś, kto potrafi w pełni wykorzystać moje umiejętności. Nie mam zamiaru gnić na ciepłej posadce. Mnie trzeba wykorzystać, wykorzystać zgodnie z umiejętnościami. Nie zaprzęga się wołu do karety. Nie strzela się z pistoletu najwspanialszego europejskiego rusznikarza do puszek po mielonce. — Zamilkł. — Ale to pan, panie Harman, wie, do czego kto się nadaje. To pan wie wszystko o tej firmie, a jeśli chodzi o mnie, to firma jest najważniejsza. Czy wyrażam się jasno?

— Chyba tak — powiedział Harman. — Innymi słowy, jest pan skłonny zostawić mnie tę decyzję.

— Właśnie — odparł Miller.

— Cóż — rzekł Harman, drapiąc się po nosie. — Zrobimy tak. Da pan sekretarce swoje nazwisko i numer kontaktowy. Ja przedyskutuję to z panem Knightem i panem Gamem i zobaczymy. Zwykle to Gam zatrudnia pracowników.

Al skoczył na równe nogi.

— Dziękuję, panie Harman — powiedział. — Tak właśnie zrobię. I nie będę panu więcej zabierał czasu. — Wyciągnął dłoń i czekał. Harman wyciągnął rękę w jego stronę i uściśli sobie prawicę, po czym Al dziarskim krokiem wyszedł z biura.

Zatrzymał się przy biurku sekretarki.

— Pan Harman polecił przekazać pani pewne informacje — powiedział z werwą.

Dziewczyna dała mu notes i ołówek, on jednak wyciągnął swój długopis i zapisał nazwisko, adres oraz numer telefonu, który był zarejestrowany na panięskie nazwisko jego żony. Następnie uśmiechnął się do sekretarki i wyszedł z budynku.

Kiedy tylko stanął na chodniku, przytoczyło go jasne światło słoneczne i momentalnie rozboleła go głowa. Uświadomił sobie, że mijają skutki działania anacinu. Podobnie jak spariny i dexymilu.

Poczuł się zmęczony i wyczerpany. Poszedł wolno do samochodu, otworzył drzwi i usiadł za kółkiem.

Ciekawe, czy do mnie zadzwoni, pomyślał.

Tak czy inaczej, rzuciłem na szalę wszystko, co miałem. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Po jakimś czasie włączył silnik i ruszył w stronę Komisji Samochodowej Ala.

\* \* \*

W piątek, kiedy już porzucił wszelką nadzieję, przy Komisji Samochodowej Ala zatrzymał się wóz, z którego wysiadł młody człowiek w koszuli i krawacie.

— Pan Miller? — zapytał.

Wychodząc ze swojego budyneczku na parking, Al powiedział:

— To ja.

— Pracuję w Teach Records — oznajmił młodzieniec. — Pan Gam od jakiegoś czasu stara się z panem skontaktować. Prosił, żeby pan do niego zadzwonił jak najszybciej.

— Dobrze — rzekł Al. — Dzięki.

Młody człowiek wszedł do samochodu i odjechał.

Stało się, powiedział do siebie Al. Przeszedł na drugą stronę ulicy, do kafejki, i wszedł do budki telefonicznej. Odebrała dziewczyna z centrali Teach Records.

— Mówi Al Miller — powiedział. — Pan Gam prosił o telefon.

— Ależ naturalnie, pan Miller! — wykrzyknęła dziewczyna. — Właśnie wysłaliśmy człowieka do pańskiej firmy. Zdołał pana odnaleźć?

— Tak — odparł Al.

— Proszę chwilę poczekać, połączę pana z panem Gamem. Po chwili w słuchawce dał się słyszeć głos mężczyzny w średnim wieku.

— Panie Miller — powiedział — tu Fred Gam. Rozmawiał pan o posadzie z panem Harmanem. Jeśli wciąż jest pan zainteresowany, przedyskutowaliśmy to i owo i znaleźliśmy coś dla pana. Myślę, że dobrze byłoby, gdyby się pan zjawił jakoś tak na początku tygodnia.

— Mogę przyjechać choćby dziś — powiedział Al. — Odwołam wszystkie spotkania.

— Doskonale — stwierdził Gam. — Będę na pana czekał, powiedzmy, koło czwartej.

O czwartej Al zamknął parking i pojechał do siedziby Teach Records. Fred Gam był pogodnym, przysadzystym mężczyzną z posiwiałą głową i zajmował biuro takiej samej wielkości jak Harman.

— Cieszę się, że pana widzę — powiedział, ściskając dłoń Alowi. Na biurku leżało kilka

dokumentów, które przeglądał przed jego przyjściem. — No cóż, panie Miller — rzekł — a więc chce pan dołączyć do naszej firmy.

— Oczywiście — odparł Al.

— No to chodźmy. — Gam wstał i skinął na Ala, a ten ruszył za nim korytarzem przez szereg drzwi.

Znaleźli się w sporej hali, w której pracowali jacyś ludzie. Powietrze było aż ciężkie od oparów unoszących się z maszynerii. Do uszu Ala dotarł jednostajny metaliczny stukot.

— Tu mamy produkcję — powiedział Gam. — Tutaj znajduje się tłocznia.

Alowi przypominało to zakład wulkanizacyjny — widział te same okrągłe maszyny. Przy każdej stał pracownik i pilnował unoszącej się i opadającej prasy.

— Nie będzie się pan tym zajmował — rzekł Gam i wyprowadził Ala z hali kolejnym korytarzem.

— Uważam pana Harmana za najbardziej twórczą jednostkę, jaką miałem zaszczyt poznać — powiedział Al. — A w mojej branży napatrzyłem się na spory wycinek ludzkości.

— Tak, Chris mówił, że natknął się na pana w pańskim komisie. Był pan bardzo szczerzy wobec Chrisa, więc my będziemy równie szczerzy wobec pana. Przyszedł pan do nas w najlepszym momencie. Nie mógłby pan wybrać lepszego, nawet gdyby dostał pan cynk od kogoś z naszych pracowników. — Zatrzymał się i spojrzał na Ala. — Jeszcze trzy dni temu nie było tej posady, a teraz jest do wzięcia od zaraz. To dobra robota, Miller. Jak to mówią, elegancja Francja.

— Doskonale — odparł Al.

— Chce pan wiedzieć, co to jest, Miller?

— Tak.

— Ach, ta pańska szczerłość — powiedział Gam. — Niech pan nigdy się jej nie pozbywa. To cholernie rzadka cecha w naszym społeczeństwie.

— Nie jestem w stanie się jej pozbyć — rzekł Al. — Bo nachodzi mnie zwykle w chwilach zagrożenia i przyływu odwagi. Nabyłem ją w Korei. Kiedy capnęły mnie komuchy. Kiedy stanąłem twarzą w twarz ze śmiercią od bagnetu i szalonymi skośnymi ślepiami żółtków. Poznałem siebie, panie Gam. Dobrze się sobie wtedy przyjrzałem, całemu sobie, takiemu, jakiego mnie Stwórca stworzył. Takich rzeczy się człowiek nie wyzywa.

— Szkoda, że nie może się pan tym podzielić — powiedział po chwili Gam. — Szkoda, że nie można się tego od pana nauczyć. Ja nie byłbym w stanie być taki jak pan.

— Obawiam się, że nie — odparł Al.

— Powiedział pan Chrisowi, że nie chodzi panu o pieniądze. To go naprawdę ruszyło. Chrisowi też nie chodzi o pieniądze. Nigdy tak nie było i nigdy nie będzie. Dlaczego wszedł w branżę płytową? Ponieważ zawsze pragnął poprawić los zwykłego człowieka poprzez jedyną rzecz, która to umożliwia: nie przez posiadanie większego samochodu czy lepszego telewizora, lecz przez sztukę, muzykę. — Pchnął ciężkie drzwi na parking i ruszył z Alem wolnym krokiem na drugą stronę. — Oczywiście trzeba iść na kompromisy. Biznes musi się opłacać. My to wiemy Taka jest brutalna rzeczywistość. Dlatego powstało Glee Records i — spójrzmy prawdzie w oczy — sam katalog Teach. Naturalnie zna pan pozycje katalogowe. W większości to chłam. Tak ma właśnie być, bo to produkty na rynek komercyjny. Rock and roli, składanki z czarnym jazzem. Country, gitara hawajska z Oakland. I pop. Mieliśmy kilka hitów. Teach gości w pierwszej dziesiątce, i to często. Od lat nagrywa dla nas Frank Fritch.

— Znam — powiedział Al.

— Plumkanie na pianinie Franka Fritch'a to od dawna nasz bestseller. Tak samo jak Georgia

O'Hare i jej Merry-men of Song. Naszym najlepiej sprzedającym się produktem z katalogu jest obecnie *Pride*. Na pewno słyszał pan to w tysiącu jadłodajni w całej Ameryce.

Weszli do drugiego budynku.

— Pańskim zadaniem — kontynuował Gam — będzie zajęcie się nową firmą płytową, którą Chris Harman zawsze chciał założyć, ale jakoś nigdy się nie składało. Nazywa się Antiqua. Dzięki płycie długogrającej wszystko stało się możliwe. Będzie pan odpowiadał za promocję. Otrzyma pan za to wynagrodzenie w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu dolarów miesięcznie oraz zwrot kosztów podróży. To zwyczajowy system, który dopracujemy stopniowo, kiedy się lepiej poznamy.

Pańskie pobory też się z czasem zwiększą.

— Rozumiem — odparł Al.

— Kupiliśmy ten budynek — powiedział Gam, kiedy szli przez nowo wymalowany hol. — Przebudujemy go. Jeszcze nie jest skończony. Pańskie biuro będzie tutaj. — Wyjął klucz i otworzył drzwi.

Al znalazł się w biurze, w którym pachniało wciąż farbą.

— Co będzie wydawała Antiqua? — zapytał.

— To wielki projekt pana Harmana — rzekł Gam. — Średniowieczne i renesansowe msze i chorały. Palestrina, des Pres, Orlande le Lassus. Polifonia i monofonia. I jeśli się uda, jeśli będzie na to zbyt, chorały gregoriańskie.

To wielki skok z komisji z używanymi samochodami, pomyślał Al, spoglądając na puste, dopiero co odnowione biuro. Czy to właśnie dostałem za swoją żarliwą przemowę u Chrisa Harmana? Czy to właśnie widział dla mnie po tym, co mu powiedziałem?

Czy ten człowiek naprawdę chce wyrolować Jima Fergessona? Facet kupujący sprośną wersję *Małej Ewy na lodowisku*?

Poczuł słabość i odpływ energii. To zupełnie nie miało sensu, a niestety nie miał ze sobą żadnych środków, żeby zaradzić nadchodzącej chandrze, żadnego dexymilu czy spariny, które mogłyby mu pomóc. Mógł tylko dalej słuchać tego, co miał do powiedzenia Gam. Zaszedł już za daleko, zbyt głęboko wszedł w sprawy Teach Records i firmę Chrisa Harmana, by mógł się teraz wycofać.

Tego wieczoru, kiedy Al Miller siedział na wprost swej żony przy kolacji, opadły go straszne myśli, że Chris Harman jest człowiekiem godnym zaufania i że wcale nie jest oszustem.

Zaproponował mi posadę, pomyślał, żeby mnie zrehabilitować.

— Mam wieści — powiedział w końcu do Julie, przerywając swą introspekcję. — Zaproponowano mi posadę.

— Jaką posadę? — zapytała momentalnie.

— Za siedemset pięćdziesiąt na miesiąc. I dodatek podróży. A to wszystko na początek.

— Siedemset pięćdziesiąt dolarów? — powtórzyła, otwierając szeroko oczy. — Powiedz coś więcej. Co będziesz robił? Kto ci to zaproponował?

— To firma fonograficzna — odparł. — Praca polega na promocji wytwórni, kontaktach z ludźmi. — Mówił to tak udręczonym, zrezygnowanym głosem, że aż zrzędała jej mina. — To zwykły fuks — powiedział. — Nie mam do tego kwalifikacji. Popracuję jakieś dwa tygodnie. A może dwa dni. — Wrócił do kolacji.

— Ale czemu nie spróbujesz? — zapytała Julie. — Może się mylisz. Zawsze tylko wpadasz w ten pesymistyczny nastrój i siedzisz, nic nie robiąc, a wszystko dzieje się mimo ciebie. Taka praca wpada ci w ręce, a ty nic. Nie wykorzystujesz swoich możliwości.

— Właśnie wykorzystałem — rzekł Al. — Poszedłem tam i dostałem tę robotę.

— W takim razie musisz wierzyć, że ci się uda — powiedziała Julie — — Czy to nie jest logiczne? Po prostu masz wątpliwości, jak zwykle. Wiem, że sobie poradzisz.

— Zaproponował mi tę pracę, bo zrobiło mu się mnie żal — odparł Al. — Nie potrafił pozbyć się tej myśli, odkąd wyszedł z siedziby Teach Records.

— Co im powiedziałaś? Chyba nie odrzuciłaś tej propozycji, co?

— Powiedziałem, że ją rozważę. Powiedziałem, że dam odpowiedź w poniedziałek rano.

Dawało mu to trzy dni.

— No dobrze. — Głos Julie był pełen werwy i praktyczny. — Przypuśćmy, że naprawdę zrobiło im się ciebie żal. Jakie to ma znaczenie? — Mówiła coraz głośniejszym głosem. — To i tak dobra, dobrze płatna praca. A co cię obchodzą ich motywy? To jakaś paranoja! — Gestykulowała żywo widelcem. — Jak się nazywa ta firma? Pojadę tam i pogadam z nimi. Zadzwoń... tak właśnie zrobię. Powiem, że jestem twoją sekretarką i że po długim namyśle zdecydowałam się przyjąć ich propozycję.

Cały świat zwariował, pomyślał Al. Wszystko to jedna wielka hucpa.

— Skoro miałeś dość ikry, by tam pojechać i zdobyć szansę na doskonale płatną posadę — powiedziała Julie — to powinno ci jej jeszcze wystarczyć, by ją przyjąć i dobrze pracować. Nie zaproponowaliby ci jej, gdyby nie wierzyli, że temu poddasz. Przyjmij ją albo, Al — nie przesadzam — jak znam siebie, zacznę myśleć, że jesteś wobec mnie nielojalny. Złożyliśmy sobie przysięgę małżeńską. Masz mnie szanować i słuchać.

— Trudno jest w tym przypadku kogoś słuchać — odparł.

— No, może nie słuchać — powiedziała — ale wspierać i traktować z należyтым szacunkiem.

Jak dostaniesz przyzwoitą pracę, będziemy mogli mieć dzieci i wszystko to, czego chcemy i na co zasługujemy. — Zaczęła mówić ostrym tonem podszytym lękiem; dobrze go znał. — Nie zawieźdź mnie znów, Al. Proszę, nie pozwól znów się ponieść tym swoim neurotycznym fobiom. Obiecuj mi to.

— Zobaczymy — odparł.

Wydawało mu się, że kiedy zaproponowano mu uczciwą, intratną posadę, poniósł sromotną

klęskę i teraz ta reakcja, przeświadczenie, że coś poszło nie tak, zaczęła go gnębić. Zareagował co najmniej dziwnie. Może Julie miała rację. Może teraz, kiedy w końcu ktoś postanowił mu zaufać, dać mu szansę, zaczęło się wyłaniać jego wewnętrzne poczucie o własnej nędzy. Był neurotykiem, tak jak mówiła Julie; to najświętsza prawda.

Porażka lub sukces, mnie tam jest wszystko jedno, zawyrokował w myślach. Wszystko to jedna harówka. Niebezpieczne złudzenie. No i komu to potrzebne? I jedno, i drugie.

— Boisz się — mówiła Julie — nadstawić karku. Jak poniesiesz klęskę, popadniesz w jeszcze głębszą apatię. Masz tego świadomość. Tyle to ty wiesz. Wolisz, żeby wszystko było po staremu, ponieważ istnieje olbrzymie ryzyko porażki, która będzie miała dla ciebie straszliwe konsekwencje.

Nie mam racji?

— Chyba tak — odparł.

— A więc będziesz żył tak jak do tej pory Dryfował. Donikąd. Al... — Spojrzała na niego z kamienną twarzą. — Ja naprawdę nie wiem, czy dam tak radę dalej. Po prostu nie wiem. Chcę, ale nie mogę. Naprawdę nie mogę. Jeśli mnie teraz zawiedziesz.

Mruknął coś niezrozumiale w odpowiedzi.

Po kolacji wpadł do Tootiego Dolittlea. Tootie i jego żona byli w domu — czyścili palniki na kuchni. Wszędzie leżały porozkładane gazety. Zlew wypełniały szare od brudu mydliny.

Usadowiwszy się z boku, Al zaczął omawiać perspektywy swojej kariery z Tootiem, który śledził pilnie każdy szczegół.

— Może to przykrywka — powiedział Tootie, kiedy Al skończył.

Że też mu to nie wpadło do głowy. Wyraźnie poweselał — takie rozwiązanie rzucało nowe światło na całą sytuację, propozycję pracy i samego Harmana.

— Może i tak — rzekł Al. — Znaczy się mówisz, że może na początek nie chcą mi dawać właściwej roboty. Wciąż grają przede mną niewiniątka.

— Jasna sprawa. Wszystko ci wyklarują, jak potyrasz u nich ze dwa miechy. Kiedy cię już dobrze poznają. To jasne jak słońce. — I zaczął przypominać Alowi szczegóły swojej pracy, kiedy jeździł z jedną taką babką, co prowadziła klinikę od skrobanek. Minęło wiele miesięcy, zanim wydało się, że nie jest to salon szwedzkiego masażu; trzymali to przed nim w tajemnicy jak długo się dało.

Później zaprowadził Ala do drugiego pomieszczenia, żeby mogli pogadać na osobności.

— Możesz jeszcze czegoś nie wiedzieć — powiedział Tootie. — Znam się trochę na muzyce, więc wiem, o co w tym biznesie chodzi. Mają dobry katalog, ale wiesz, czemu sobie wybrali taką nazwę? Teach Records? Bo to piracka wytwórnia.

— A co to takiego? — zapytał Al.

— Ukradli płyty — matki. Chodzi o to, że spiratowali oryginalne płyty i zaczęli sami je trzaskać.

Nie mają żadnych praw do tych płyt, ale zawsze wybierają nagrania wytwórni, która padła, muzyka, który w kalendarz kopnął, i te pe. Albo tłoczą z zagranicznych płyt. No bo w końcu Teach był piratem. Ten cały Czarnobrody nazywał się Edward Teach.

— Kapuję — powiedział rozanielony Al. — Że też nie wpadło mi to do głowy.

— No więc nie ma lewara, tak właśnie tłuką szmal — stwierdził Tootie. — Może to ci poprawi humor i kopara będzie się znów cieszyć. Ale czuleś, że coś tu śmierdzi, jak ci dali prawie osiem stówek na miech. Jakby działali na biało, nie zobaczyłbyś nawet połowy tego szmalu. No bo sam doskonale wiesz, a mówię to jako przyjaciel, no i dlatego, że znam cię na wylot, że nie jesteś wart złamanego szeląga.

— A spuścił ci ktoś kiedyś łomot? — rzucił Al.

— Uważaj, żeby ktoś tobie maski nie oklepał — odparł Tootie. — A teraz mnie posłuchaj. Nie jesteś nic wart, bo nie masz nic na sprzedaż. Jesteś jak wszystkie te kolorowe chłopaki, które ciągną na Północ, do miast, ze swojej wsi na Południu. Sam pochodzisz z wioski w hrabstwie Napa.

Bardziej ich przypominasz, niż sobie zdajesz z tego sprawę. Ale ja to wiem. Widzę u ciebie to samo co u nich, ale ty jesteś zbyt wielkim idiotą, żeby to pojąć, znaczy się idiotą w tych sprawach, które ja rozumiem, bo pod wieloma względami szczerwany z ciebie lis. Wszyscy oni przychodzą sprzedać tu tylko jedną rzecz. Swoją pracę. Pracują gdzie bądź: u Chryslera albo na ciężarówkach, albo zmieniają opony w Monkey Ward\*. Dlaczego ktoś im w ogóle płaci? Dlaczego ty im płacisz?

Zatrudniacie ich, by wam myli samochody. Wiele komisów tak robi... jak je na to stać. W prawie wszystkich jest jakiś kolorowy. Ty jesteś tak biedny, że sam dla siebie jesteś kolorowym.

— No i co z tego? — zapytał Al.

— To z tego, że inni tak nie robią — odparł Tootie. — Chcą się rozwijać i bogacić, więc wymyślają coś, co mogą sprzedać innym. Znajdują coś takiego, za co inni chcą im zapłacić. Ale ty jesteś za tępy. Ty się niczego nie uczysz. Pod tym względem jesteś inni niż wszyscy, biali czy kolorowi. Musisz nauczyć się czegoś, czego będą chcieli inni. Jak mój pies, Doktor Mudd. Nauczył się podrzucać nosem balony i wszyscy płacą, żeby to zobaczyć. On jest o wiele mądrzejszy od ciebie. Nikt ci nie płaci za nic, boś tępak, że hej. Wtopiłeś, brachu. Dalej jesteś taki sam, zamiast zrobić coś, za co by inni zapłacili. Może skapujesz to, jak będziesz już stary, ale wtedy będzie za późno. Musisz udawać barwną postać. Żyć jak typ spod ciemnej gwiazdy, jak szpieg czy ktoś taki.

Musisz wokół siebie tworzyć ten, no, nimb tajemnicy. Żeby nikt nie wiedział, kiedy się pojawiaasz i znikasz czy co robisz. Posłuchaj mnie dobrze. To właśnie robi pan Harman. Robi tak, że wszyscy gadają o nim niewiarygodne rzeczy, ale tak naprawdę nikt nie wie, czym się zajmuje ani kim jest.

Ale wszyscy znają Ala Millera, on ma wszystko wypisane na facjacie. Al milczał.

— Nie masz w sobie tego uroku — dodał Tootie. — To jest właśnie to jedno słowo. A z ciebie tylko bździna chodząca na dwóch łapach.

— Może i tak — rzekł Miller.

— Życie jest takie jak w programie Eda Sullivana — powiedział Tootie. — Oglądam to co tydzień w telewizorni. Najlepszy program w TiWi, odkąd Milton Berle poszedł w odstawkę. Patrząc, jak złażą się tam ludzie, całkowite beztalencia. Taka jest prawda. Ale wszyscy oni mają osobowość.

Kogo w tych trudnych czasach stać na talent? Al Jolson — beztalencie. Nat Cole — głosu za grosz.

Frank Sinatra — miernota. Fats Waller nie potrafi śpiewać, skrzeczy tylko jak ropucha. Johnny Ray

— potworność. Sammy Davis Jr — przystojne zero, ale za to lubiany. Kingston Trio — zbieranina chłoptasiów z college'u. Ale mają osobowość. Musisz się nauczyć, jak sobie to zapewnić.

— Nie potrafię.

— Zrobiłeś to i miałeś kilka minut, kiedy wlałeś temu facetowi do biura. Albo kiedy postanowił cię przyjąć. Zrobiłeś to raz, więc potrafisz, i to nie przez chwilę, ale przez cały czas. Żyjesz jak jakiś francuski łącznik w Tangerze: wymyślasz historyjki, żeby się czymś zająć, i wkrótce inni interesują się tobą. Jak potrafisz to zrobić, wciskając innym kit, to potrafisz się obyć i bez tego.

Więc powiadam ci, odrzuć te kule i zacznij chodzić samodzielnie. Wiem, że potrafisz. I, na miły Bóg, warto będzie wybulić osiem stówek na pensję dla ciebie. Będziesz tyle wart. Al milczał, rozmyślając nad słowami Tootiego.

— Szczery do bólu jestem — powiedział Dolittle. — Dałbym sobie prawą łapę uciąć, żeby znaleźć się tu, gdzie ty jesteś. Żeby dostać taką ofertę. Ale ja nigdy takiej nie dostanę. Po części dlatego, że nikt nie zatrudni kolorowego za taki szmalec, chyba że w branży rozrywkowej, a po części dlatego, że mi Bozia talentu poskąpiła. Stąd muszę harować jak wół w Okręgowym Wydziale Zdrowia i pisać raporty o wygodkach na mieście. Jestem tylko urzędasem. Ale ty to przede wszystkim jesteś wielkim ściemniaczem, ty już masz fach w ręku. Wystarczy tylko go wykorzystać.

— Uczono mnie, że dobrze jest mówić prawdę — odparł Al.

— Jasne. Jak się mówi prawdę, to się idzie do nieba. Masz zamiar tam właśnie wylądować? Tam chcesz pójść, do cholery? Czy też zamierzasz sobie jeszcze pożyć szczęśliwie na tym, że tak powiem, łez padole? Jak wybierasz to drugie, wykorzystaj to, co ci matka natura dała, i nie odpuszczaj. Aż do grobowej dechy. Wtedy możesz mówić prawdę, że w gruncie rzeczy to nie jesteś wielki macher, bułkę przez bibułkę, z sześcioma szybami wiertniczymi i że nie jesteś prezesem miejscowej izby handlowo-przemysłowej.

Al poczuł się całkowicie zdruzgotany.

— Prawda jest stanowczo przereklamowana — stwierdził Tootie, jakby mówił do siebie. Prawda jest taka, że każdy coś podpierał. Życie to nie je bajka. Wszystko, co żyje, zdechnąć musi.

Prawda utarta jest nic niewarta. Wszystko i tak się źle kończy. Jak będziesz ją głosił, to i tak nikomu się nie przysłużysz.

— To nie jest jedyny obraz rzeczywistości — rzekł Al.

— No dobra, może i nie. A drugi jak wygląda? No powiedz.

Al zastanawiał się nad tym, ale nie potrafił się wysłowić. Jednak wiedział, że Tootie się myli.

Tootie był do cna zgorzkniały. I być może nie bez powodu. Ale jego pogląd na rzeczywistość zatrąły lata temu praca urzędnicza i marzenia o fantasmagorycznej chwale. Nic dziwnego, że włączył się po barach z Doktorem Muddem, przyciągając uwagę klientów; miał do tego prawo, choć z pewnością były inne, lepsze sposoby wyjścia z tego impasu.

— Jesteś zgorzkniały do szpiku kości — powiedział Al. — Odnoszę wrażenie, że darzysz ludzi szczerą nienawiścią. Nienawidzisz też mnie.

— A żeby cię tak pokręciło — rzucił Tootie.

— Cieszyłbyś się, gdybym się upokorzył i stał taki, jakiego chce mnie widzieć Chris Harman.

— A czego on chce? — zapytał szyderczo Tootie. — Nawet tego nie wiesz. Najwyraźniej trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno. Może to wypali, a może nie.

— Nie zamierzam nawet próbować — powiedział Al.

— Och, myślę, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy — stwierdził Tootie. — Jak tylko się zastanowisz na zimno i rozważysz wszystkie za i przeciw. Tu trzeba czasu, a ty sporo gadasz, ale dojdiesz do tego. Boisz się, bo nie wierzysz, że możesz wycyckać tę całą sytuację. Boisz się, że spróbujesz i padniesz na tym. Cóż jest w tym takiego prawego?

Al nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Być może Tootie miał rację: być może brakowało mu odwagi, by zmierzyć się z oczekiwaniami Chrisa Harmana. Odwagi i talentu.

— Ty tłuku — powiedział. — Zzera cię zawiść, bo to ja dostałem dobrą ofertę pracy. Ty po prostu celowo mnie dołujesz. Odgrywasz się na mnie.

— Hej, tatuńciu — rzekł Tootie — uważaj sobie.

— Uważam — odparł Al. — I to na tyle, żeby już więcej nie przynosić ci żadnych dobrych wieści.

— A to kolejna doskonała wiadomość — stwierdził Dolittle i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ciebie naprawdę rozpięra duma z powodu tej roboty. Aż piszczysz w duchu z radości. Aż nogami



przebierałeś, żeby mi o tym powiedzieć. Jakiś cienias daje ci osiem stówek na miech, a ty aż się wyrywasz, cały czas myśląc o tej kapuście. Ale będziesz miał używanie: będziesz sobie kupował cały czas Old Forrestera zamiast tej chary z monopolowego na rogu, tego burbona Colonel St.

Masterson, co smakuje, jakby człowiek pysk podstawił pod rynnę.

Otworzyły się drzwi kuchni. Mary Ellen Dolittle wystawiła przez nie głowę.

— Chłopcy, chyba was trochę ponosi. Może byście ochłonęli.

— Dobra — rzekł Al.

Tootie sztywno pokiwał głową.

— Nie poznaję was — powiedziała Mary Ellen swoim cichym, delikatnym głosem. — Zawsze się kłócicie, ale dzisiaj jesteście trzeźwi, a i tak się kłócicie. Wygląda na to, że trzeźwość wam nie służy. — Wyczekała, aż obaj wbili wzrok w podłogę. — Powiem panu, co pana gryzie, panie Miller

— oświadczyła. — Słuchałam wszystkiego przez drzwi, kiedy czyściłam kuchenkę. Chodzi o to, że nie ma pan wiary w Boga, tak jak pan powinien. Wiem, że wymknęliście się z kuchni, bo wiedzieliście, że będę was zaraz nawracać, ale to na nic, bo i tak zacznę, czy wam się to podoba czy nie. Żaden dorosły człowiek nie jest dobry dla bliźniego, jeśli przynajmniej raz w tygodniu nie spędzi trochę czasu w kościele, by pomedytować nad wartością Słowa, które zstąpiło na ziemię.

Sam pan dobrze wie, panie Miller, że świat przeminie i wkrótce nastąpi Armagedon. Niebo podniesie się jak kurtyna i zstąpi lew z barankiem.

— Mary Ellen, straszna z ciebie dewotka — powiedział Tootie. — Idź czyścić kuchnię i zostaw nas samych. Z tobą jest gorzej, niżbym się ochajał z jakąś babcią.

— Mówię świętą prawdę — stwierdziła Mary Ellen. — Wszystko jest zapisane w tygodniówce za pięć centów, w „Strażnicy” rozprowadzanej przez nas, Świadców. Panie Miller, nie wyjdzie pan stąd, póki nie wysupła pan pięciu centów na „Strażnicę”, która niesie słowo boże w dziewięćdziesięciu językach, jak sądzę, po całym świecie.

— Czasami mi się wydaje, że ona dopiero co wyszła z buszu! — wykrzyknął Tootie. — Jakbym się ożenił z jakąś dzikuską! — Twarz wykrzywiła mu mieszana wstydu i wściekłości.

— Pojadę do domu — powiedziała cicho Mary Ellen, pochylając się nieco. — Pewnego dnia.

Wrócę do domu.

— Zaczy się, do Missouri? — spytał Al. — Wiedział, że się tam urodziła i mieszkała w Kalifornii dopiero od trzech lat.

— Nie — odparła. — Miałam na myśli Afrykę.

Po tych słowach drzwi się zamknęły i żona Dolittlea wróciła do sprzątanania.

— Jezu — wysapał Tootie. — Ona mówi o Afryce „dom”, a nigdy nawet nie była na wschód od Missouri. To przez te psie wiary, przez tych Świadców Jehowy. Nawet nie zna nikogo z Afryki, chyba że był ktoś stamtąd na tych ich wykładach.

Wyszczrzyli do siebie zęby w uśmiechu.

— A może tak jednego? — zaproponował Tootie, wstając. — Trochę rocznego St. Mastersona?

— Dobra — powiedział Al. — Ale z wodą.

Tootie poszedł do kuchni po szkło.

\* \* \*

Następnego ranka, w sobotę, Al Miller postanowił przyjąć ofertę pracy.

Kiedy zdjął już łańcuch z wjazdu do Komisu Samochodowego Ala i wziął pocztę, uświadomił sobie, że pierwszą osobą, która się o tym dowie, nie będzie Julie ani nawet Chris Harman, tylko stary.

Drzwi do warsztatu były już otwarte. Jak zwykle, Jim Fergesson był w pracy od wczesnych

sobotnich godzin. Będzie pracował do południa, a może do pierwszej, w zależności od tego, ile zostanie do zrobienia.

A teraz, uświadomił sobie Al, muszę mu powiedzieć. Jak najszybciej, skoro podjąłem decyzję.

W świetle tego, co mu powiedziałem na temat Chrisa Harmana.

Zostawił parking i wszedł bocznymi drzwiami do warsztatu. Stary otworzył je, by przewietrzyć zakład i wpuścić więcej światła.

Zastał starego w biurze. Fergesson siedział za biurkiem i otwierał pocztę. Podniósł na Ala zaczerwienione, załzawione oczy.

— Dawnośmy się nie widzieli — rzekł schrypniętym głosem i ponownie skupił uwagę na liście.

Al czekał.

— Co słyhać u lekarza? — zapytał, kiedy Fergesson skończył czytać list.

— Mówi, że miałem lekki zawał.

— Niech ja w domu nie nocuję — wykrztusił przejęty nie na żarty Miller.

— Będą mi jeszcze robić badania. — Stary zaczął rozdzierać kolejną kopertę. Al dostrzegł, że drżą mu dłonie. — Przepraszam — powiedział. — Muszę przeczytać pocztę.

Al wziął głęboki wdech.

— Posłuchaj — zaczął. — Co do tego Chrisa Harmana. Rozmawialiśmy o nim. Może się myliłem... Może wcale nie jest oszustem.

Stary uniósł głowę znad listu i wpatrywał się w Ala, gwałtownie mrugając. Nic jednak nie powiedział.

— Nie potrafię ocenić właściwie takich ludzi — rzekł Al. — To ponad moje możliwości. Nie mam w tym doświadczenia. I tak opierałem się na informacjach z drugiej ręki. Może i jest oszustem. Chodzi jednak o to, że nie mam pewności. Nijak nie mogę tego dowieść, to dla mnie zagwozdka. — Przerwał i dodał: — Byłem u niego.

Stary pokiwał tylko głową.

— Odbyłem z nimi długą rozmowę — powiedział Al.

— A, tak — wymamrotał stary, jakby był czymś naprawdę zajęty.

— Wciąż się na mnie boczysz?

— Nie.

— Pomyślałem, że zrobi ci się lżej na sercu — powiedział Miller — jak przyjdę i uczciwie wyznam, że nie wiem nic konkretnego na temat Chrisa Harmana. Będziesz musiał sam zdecydować.

Miał zamiar mówić dalej, opowiedzieć o tym, jak to poprosił Harmana o pracę, ale nie było mu to dane.

— Posłuchaj — rzekł stary — idź sobie już stąd. O Boże, pomyślał Al.

— Nie rozmawiam z tobą — oznajmił Fergesson.

— Myślałem, że poczujesz ulgę — powtórzył Al, nie rozumiejąc jeszcze, co się dzieje. — A ty się dalej dąszasz za to, że mówię, że nie wiem, czy on jest oszustem. — To była najbardziej niesamowita chwila, jaką przeżył. — Dobra — powiedział. — Pójdę sobie, ty stary grzybie. — Podniósł się błyskawicznie. — Chcesz trafić na oszusta? Wolisz tak? Chcesz, żeby cię wydymał bez mydła? O to chodzi?

Stary nie odezwał się słowem. Po prostu dalej czytał korespondencję.

— Niech ci będzie — rzucił Al. — Idę sobie. I pies cię jechał. Ty ze mną nie rozmawiasz, ja też z tobą nie rozmawiam. — Ruszył w stronę wyjścia. — W głowie mi się to nie mieści — powiedział do siebie.

Stary nawet nie podniósł wzroku.

— Naprawdę dopadła cię demencja — powiedział Al w drzwiach biura. — Mózg ci się zlasował. Pewnie przez ten zawał. Czytałem kiedyś artykuł na ten temat. Tak samo było z Eisenhowerem, jak mówią. Na razie. Do zobaczenia. — Niepewnie poszedł ku wyjściu z garażu i po chwili był już na swoim parkingu.

To najbardziej popieprzona sytuacja, o jakiej słyszałem, pomyślał. Naprawdę trzeba faceta odizolować, jego żona ma rację. Powinna wziąć prawnika i ubezwłasnowolnić dziada.

Potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś się boczy, kiedy mu się mówi, że robią go w bambuko, pomyślał. Ale nie rozumiem faceta, który się boczy, kiedy ktoś mu mówi, że najprawdopodobniej nie zostanie wykiwany. To nieludzkie. Powinienem wziąć kilka tych ulotek z klinik psychiatrycznych i wcisnąć mu do skrzynki. Wytrzymać z nim tutaj to będzie istne piekło, powiedział sobie. Praca z wariatem.

Co to za popaprany świat, pomyślał. Stary sprzedaje warsztat, nie mówiąc mi o tym, w wyniku czego całe życie wali mi się na łeb i interes biorą diabli, a on się jeszcze na mnie obraża. Nie odzywa się do mnie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy do kawiarenki i zamknął się w budce telefonicznej, po czym wrzucił dziesięć centów do szczeliny. Wykręcił numer domowy i po chwili odebrała Julie.

— Idę z prądem i biorę tę robotę — powiedział Al.

— Doskonale — stwierdziła Julie. — Co za ulga. Obawiałam się, że tego nie zrobisz, a przecież wszystko wygląda świetnie, prawda?

— Dobrze płacą — powiedział. — I wydaje się, że będzie to ciekawa praca. Tak czy inaczej, muszę coś robić. Nie mogę wiecznie zbijać bąków.

— Trochę trwało, zanim to zrozumiałeś.

— Cóż... — rzekł. — Tutaj tkwię w szambie wraz ze stetryczalym świrusem. Oczywiście, że to rozumiem, nie ma tu już przyszłości. — Odwiesił słuchawkę. Po dłuższej chwili wrzucił kolejną monetę i wykręcił numer firmy Harmana. Odebrała recepcjonistka.

— Teach Records.

Nawet nie mogłem mu powiedzieć, pomyślał Al. Staremu. Poszedłem do niego, a on mi nawet nie dał tego powiedzieć.

— Chciałbym mówić z tym panem co poprzednio — odezwał się do recepcjonistki. — Z panem Gamem, chyba taksie nazywał.

— Przykro mi, ale pana Gama nie ma już z nami — odparła.

Zbity z tropu Al w końcu wykrztusił:

— Ledwo co z nim rozmawiałem. Jeszcze wczoraj.

— No to z kim chce pan rozmawiać, proszę pana? — zapytała dziewczyna. — Bo ja nie mogę połączyć pana z panem Gamem.

— Nie wiem. — Był zupełnie zdezorientowany. — Zaproponowano mi pracę. Pan Gam mi wszystko powiedział.

— Czy to pan Miller?

— Tak.

— Pan Knight porozmawia z panem — oświadczyła dziewczyna. — Pan Gam i pan Harman przekazali mu pańską sprawę. Wie o wszystkim. Proszę chwilkę poczekać, panie Miller.

Nastąpił ciąg stukotów, po czym w słuchawce zaległa cisza. W końcu w uchu zadudnił mu serdeczny męski głos.

— Panie Miller!

— Tak, to ja — wymamrotał.

— Mówi Pat Knight. Miło mi cię poznać, Al.

— Mnie również. — Znów mamrotanie.

— Pan Gam już u nas nie pracuje. Zwolniło się miejsce, na które od dawna czekał, i wyfrunął.

Wykonał ruch. Tak już w życiu bywa. Będzie wpadał do biura od czasu do czasu. No to jak, przyłączasz się do nas?

— Tak — odparł Al.

— No to posłuchaj, Al — rzekł Knight. — Jest kilka spraw, które musimy omówić. Kiedy pan Gam rozmawiał z tobą, był trochę zagubiony, bo ciągle myślał o tej nowej posiadzie. I pomylił cię z drugim facetem, którego podesłał nam Harman, jakimś Joe Masonem czy Marstonem, sprzedawcą ze Spokane. Chcieliśmy, żeby to on pociągnął naszą ezoteryczną klasykę, ale Gam pomylił się i wpuścił cię na minę. Po prostu powiedział ci o tej posiadzie. Zwyczajnie wbił sobie do głowy, że Harman tak chciał. — Wybuchnął śmiechem.

— Rozumiem — rzekł Al i poczuł, że fragmenty jego mózgu ogarnia odrętwienie. Przestały funkcjonować, a on stał tylko przy telefonie, kiwał głową i słuchał.

— Mamy jednak dla ciebie posadę — oświadczył Pat Knight wolniej i poważniej. — Słuchaj, będę z tobą szczery. Tu, teraz i przez telefon. Potrzebujemy agresywnego, pracowitego młodego człowieka, który nie obawia się wspiąć wyżej od rówieśników i zrobić czegoś ze swym życiem.

Czy to o tobie mowa?

— Jasne — wymamrotał Al.

— Zysk jest wielki — mówił dalej Knight. — Podobnie jak odpowiedzialność. Będziesz musiał stanąć oko w oko z publiką. Ale przecież potrafisz. Widziałem w twoich aktach, że jesteś sprzedawcą samochodów.

Alowi zdawało się, że powinien powiedzieć, iż nie jest; to nie było dla niego. Najwyraźniej chodziło o pracę w salonie samochodowym z wielkimi szklanymi witrynami, nowymi, lśniącoymi wozami, sprzedawcami w garniturach w prążki stojącymi koło palm w donicach... To nie dla mnie, chciał powiedzieć.

— Jestem dilerem — rzekł.

— A co to takiego? — zapytał Knight.

— Pracuję w swoim punkcie.

— Niech mnie gęś kopnie — powiedział Knight. — Cóż, bez wątpienia jesteś tym, kogo potrzebujemy. Teraz rozumiem, dlaczego pan Harman zwrócił nam na ciebie uwagę. No to co, wpadaj i załatwimy sprawę. Było trochę zamieszania, ale możemy przecież wszystko wyprostować, tak żeby wszyscy byli zadowoleni. Posada, którą mamy, jest po prostu wymarzona dla ciebie, Al.

Wiem, że spiszesz się na medal.

— A co to za posada? — zapytał głośno Al.

— No nie, posłuchaj mnie — rzekł Knight nieco oziębło. — Chcę się z tobą spotkać twarzą w twarz, Al. Muszę zobaczyć, z kim mam do czynienia. Nie mogę rozdawać posad przez telefon. — Było słyhać, że jest naburmuszony. — Kiedy mam się ciebie spodziewać? — zapytał energicznym, oficjalnym tonem. —

Za godzinę? Mogę cię wcisnąć dokładnie o wpół do drugiej na jakieś piętnaście minut.

— Dobrze — odparł Al i pokiwał głową. — Będę. — Odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki.

Jestem bezradny, uświadomił sobie. Złapali mnie jak stonkę w słoik. Kiedy tylko powiedziałem, że chcę tę pracę, to mnie w łeb.

Wydymali mnie na cacy, myślał. Starą jak świat branzową sztuczką. Każdy sprzedawca samochodów ją stosuje. Daje klientowi tak doskonałą ofertę na samochód, że facet musi wrócić; nie

może jej odrzucić. A kiedy wraca, dowiaduje się, że oferta się zmieniła: przyszła nowa dostawa albo sprzedawca, który złożył mu taką propozycję, już u nich nie pracuje... ale gość już jest ugotowany. Już podjął decyzję, by w to wejść.

Tak jak ja, stwierdził Al. Postanowiłem przystać do firmy Harmana, choć nie wiem, co to za praca ani za jakie pieniądze. Nie wiem nic poza tym, że wchodzę. To typowa gra w Głupiego Jasia, zdał sobie sprawę. A grają Harman, Gam i Knight, ze mną w środku. I dałem się złapać. Tak mnie wciągnęło, że jadę tam i wezmę robotę, którą mi dadzą, bez względu na to, jaka będzie. Zresztą chyba wiem, o co chodzi, pomyślał. To praca sprzedawcy. Sprzedaż płyt. Tego właśnie chcieli: uniżonego picusia w krawacie, ze staranną fryzurką i łapą wyciągniętą do powitania. Czyli mnie, bo tak będę wyglądał niedługo. Oto moje przeznaczenie.

Wiedzieli, że prędzej czy później się zgłoszę, myślał sobie, wracając przez jezdnię do swego komisju. Wieśniak z zabitego dechami zadupia. Chłopiek — roztropek z St. Helena, który nie ma nadziei ani szansy w starciu z wielkim Oakland w stanie Kalifornia.

Wsiadł do jednego ze swoich samochodów, by pojechać do domu się przebrać. Włożył czystą koszulę, krawat i garnitur, żeby zrobić dobre wrażenie na panu Knighcie.

Tak właśnie łamią człowieka, uświadomił sobie. W taki właśnie sposób, kawałek po kawałku, zabierają człowiekowi ducha. Nie przychodzą od razu i nie składają propozycji, nie patrzą prosto w oczy i nie mówią: „Mamy dla pana posadę sprzedawcy, wóz albo przewóz”. O nie. Najpierw kadzą, urabiają. Niby czemu nie? Są lepszymi sprzedawcami niż ty. Popatrz, do czego doszli, popatrz, kim są. A potem spójrz na siebie.

Powiniennem wiedzieć, pomyślał. Skoro Harman był na tyle sprytny, że zbudował swoją firmę i zarobił na swoje samochody, willę i szykowne ubrania, to jest również na tyle szczwany, by przerobić mnie na karmę dla pudli. Nie powiniennem mu zawierzyć, stwierdził. Harman zna milion sztuczek, o których ja nawet nie słyszałem. Jestem tylko skromnym amatorem. W porównaniu z nim wszyscy są amatorami.

I wiedzą, że dałem się złapać, pomyślał. Wiedzą, że nie mogę się już wycofać: wezmę tę pracę, bez względu na to, jaka będzie. To mistrzowie manipulacji mający na usługach psychologię.

Jestem ich królikiem doświadczalnym, myślał. I utknąłem w labiryncie. Jestem już za daleko, żeby się wycofać. A im jestem sprytniejszy, im mądrzej postępuję, tym dalej zagłębiam się w ten labirynt. Tak już jest, to część doskonałego, sprawnego systemu.

Powiedziałem żonie i przyjaciółom, że dostaję wspaniałą posadę; wiedzieli, że im to powiem, że rozpuszczę wici. A teraz będę musiał udawać. Zacznę życie w kłamstwie. Będę musiał wciąż im mówić — sobie zresztą również — że mam klawą robotę, za klawą forszę i w klawej firmie, że coś mi się udaje. Ale tak naprawdę wszystko teraz stanie w miejscu. Tylko że o tym będę musiał milczeć. To będę musiał zachować dla siebie.

A dowodem na to, jak perfekcyjnie mnie wydymali, jest właśnie to, że będę musiał zachować to dla siebie. Będę się cały czas uśmiechał. Będę musiał, bo odtąd już nie mam wyboru.

Ponad godzinę Al Miller siedział w niewielkiej, nowoczesnej poczekalni przed biurem Knighta.

Miał na sobie swój najlepszy garnitur, najlepszy krawat i koszulę oraz najporządniejsze wyglancowane czarne buty. Jak dotąd nie było nawet śladu Pata Knighta — drzwi jego gabinetu pozostawały zamknięte, chociaż od czasu do czasu dobiegały zza nich jakieś dźwięki.

Moja głowa wie to, czego nie wie ciało, pomyślał Al. Mój umysł wie, że to wszystko to jeden wielki spisek, mistyfikacja. Ale moje ciało jest gdzie indziej; wydaje mu się, że nadchodzi wielki punkt kulminacyjny. Tak wygląda sukces. Uwolnione zostały wszystkie jego hormony — celowo, przez tych, którzy się na tym znają. Przejęli kontrolę nad moim ciałem, zdał sobie sprawę. Jedyne ten drobny fragment mego mózgu patrzy na wszystko z góry i widzi wyraźnie. Widzi kłamstwo i mechanizm całego szwindlu.

Nawet to długie oczekiwanie. Służy temu, żeby człowiek był coraz bardziej bezradny. Zależny.

Żeby modlił się, by go już przyjęli. Kiedy dziewczyna powie, że pan Knight mnie przyjmie, będę w siódmym niebie. I ochoczo przyjmę tę pracę, bez nacisków. Nic mnie nie będzie do tego przymuszało. Bo teraz istnieje jeszcze gorsza ewentualność. Że wszystko to zrobiłem na próżno, za nic.

— Pan Knight pana przyjmie — powiedziała dziewczyna za biurkiem.

Momentalnie, jak maszyna, wstał. Odwrócił się zgrabnie i ruszył energicznym krokiem w stronę biura Knighta.

Za biurkiem siedział nieznacznie tylko od niego starszy mężczyzna, który miał jednakowoż okrągłą, gładką, różową, wygoloną twarz z podwójnym podbródkiem. Był tęgi, dobrze ubrany, z nienagannymi paznokciami; przystojny i rozluźniony. Odprężony człowiek, który nie ma najmniejszych powodów do zmartwień ani też inklinacji do ponurych myśli.

— Siadaj — powiedział Knight, wskazując krzesło. Al usiadł.

— Jak się dziś mamy? — zapytał Knight.

— Dziękuję, dobrze.

— Przepraszam, że cię tak przetrzymałem.

— Nic nie szkodzi.

— Nie miałeś styczności z przemysłem nagraniowym — powiedział Knight, stukając w zamyśleniu ołówkiem o blat.

— Nie — odparł Al.

Knight zasępił się. Nagle podniósł wzrok i zaczął przyglądać się Alowi z milczącą srogością.

Jasne oczy mężczyzny wpatrywały się w Ala z taką mocą, że poczuł paraliż w całym ciele — mógł jedynie bezsilnie odpowiedzieć mu spojrzeniem.

— No dobrze — rzekł Knight. — Będzie nam się układało, mały. — Wstał z krzesła. — Jest taka sprawa. Nie szukamy kogoś z doświadczeniem. Szukamy właściwego człowieka. — Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie. — Wpadliśmy na pomysł, że kolejnym przełomem w przemyśle płytowym — diabła tam, w całej muzyce popularnej, w telewizji i gdzie tam się jeszcze da czegoś posłuchać — będzie kwartet wokalny.

— Rozumiem — powiedział Al.

— Kwartet — mówił dalej Knight — ale nie harmoniczny, żadni rewelerski gruchający jednym głosem sentymentalne piosenki. To będzie chórek nowego brzmienia, elektroniczni rewelerski.

Będzie się w nim dużo działo. Podbiją cały kraj. Współczesna nauka dostarczy chórkowi to, czego mu zawsze brakowało: nowoczesności skierowanej do nowoczesnych obywateli, na przykład

nastolatków, którzy będą się z nim identyfikować. Wprowadzamy nową markę. Będzie się nazywała Harman — E. Będzie to muzyka chórków i w ciągu pół roku zawojuje kraj. — Siadając za biurkiem, Knight znów bacznie przyglądał się Alowi. — Wiesz, skąd pochodzą wszyscy wielcy artyści tego gatunku?

— Nie — przyznał Miller.

— Z małych miasteczek — odparł Knight. — Tu, w Kalifornii. Z miasteczek takich jak Modesto, Trący, Vallejo. Z takich, co to jeszcze nie miasto, ale już nie wieś. Z prawdziwego serca Ameryki, z którego wszyscy pochodzimy i do którego wszyscy chcemy wrócić.

— Ja się urodziłem w St. Helena — powiedział Al.

— Wiem — odparł Knight. — Dlatego zostałeś wybrany. Śpiewasz?

— Nie.

— A ja tak — rzekł Knight. — W chóрку. Właśnie wróciłem ze spotkania z balladą męskich chórów w El Paso w Teksasie. O, proszę. — Sięgnął do szuflady i podał Alowi błyszczącą fotografię.

Na zdjęciu widniał Knight w tradycyjnej pasiastej kamizelce oraz trzech innych mężczyzn, którzy byli ubrani identycznie jak on. Każdy z nich trzymał melonik.

— Moja grupa — pochwalił się Knight. — Śpiewamy trzy wieczory w tygodniu dla organizacji weteranów, szpitali, na prywatnych imprezach i balach dla dzieci. A to moja żona. — Wyciągnął w stronę Ala kolejne zdjęcie. Widniały na nim cztery młode kobiety w sukniach z tafty trzymające niewielkie parasolki. — Ta na końcu to Nora — powiedział. — Ucho ludzkie działa jak oscyloskop.

Wiedziałaś? Potrafi wychwycić jedynie dwa cykle dźwięków oddalone o sekundę. Tak, to prawda.

Nasza muzyka jest dławiona. Bach to robił. Natomiast w przypadku chórków wracamy do swobodnej renesansowej polifonii. Bo wiesz, że muzykę chórków odbiera się od dołu do góry. Nie z lewej do prawej. Staramy się usilnie, by akordy zataczały koło. Ale na to trzeba jakichś pięciu lat ćwiczeń. Akord pojawia się, kiedy głosy nakładają się na siebie w oddaleniu najwyżej dwóch cykli.

Wtedy dźwięk potężnieje. O, zaraz ci pokażę. — Podszedł do dużej konsoli fonografu stojącego w rogu biura. — Ta grupa — rzekł, biorąc płytę długogrająca i kładąc ją na talerz — wygrała międzynarodowe mistrzostwa kwartetów wokalnych w 1959 roku. Nazywają się The Aristotelians.

Włączył płytę. Było to nagranie *When You Wore a Tulip*.

Odkąd Al usłyszał pierwsze dźwięki, nie był w stanie powiedzieć, skąd się wzięło tak koszmarne brzmienie. Na początku myślał, że to dlatego, że jest bardzo głośno. Knight włączył gramofon na cały regulator, tak że w biurze wszystko aż trzeszczało i drgało. Ale to nie była przyczyna strasznego brzmienia, bo przecież Al często bywał w barach, słuchając bardzo głośnej muzyki z szafy grającej, a nigdy wcześniej nie odbierał tak dźwięków — nigdy wcześniej nie czuł się fizycznie źle. W końcu uświadomił sobie, że wiąże się to z przesywającymi głosami wykonawców. Zawodzili tak, że aż błędnik mu się gotował; był otumaniony i zamroczony. Nawet gdy utwór się skończył, w uszach wciąż mu świszczało i musiał chwilę posiedzieć bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ten dźwięk zachowywał się jak naturalna wibracja, zakłócenie równowagi w powietrzu. Był to dźwięk zredukowany do — jak to mówił Knight — cykli na sekundę, podkreślony wokal czterech kmiotów z odpowiednimi interwałami, a następnie wzmocniony wszystkimi tymi nowoczesnymi elektronicznymi bajerami, w komorach odsłuchowych i w ogóle, by na końcu — niezależnie od tego, jak zły był oryginał — powstało coś, co absolutnie go nie przypominało. Oryginalnego dźwięku dałoby się uniknąć, ale to coś, produkt finalny, uświadomił sobie, było w stanie przedrzeć się na

podobieństwo szrapnela przez żelazobeton i barykadę worków z piaskiem. Towarzyszyć mu w drodze do schronu przeciwoatomowego, ba, nawet do grobu. Był to, jak powiedział Knight, naturalny kolejny sukces popularnych mediów muzycznych i być może okaże się ostatecznym sukcesem, sukcesem wiekiustym. Wyjściowa melodyjka nie miała sensu, a wokaliści byli amatorami — pewnie przypominali samego Knighta — dobrze odżywionymi, optymistycznymi facetami, którzy z energią godną lepszej sprawy pieją w klubach trzy razy w tygodniu po pracy. No i oczywiście pochodzili z małego miasteczka.

— Dźwięk harmoniczny — mówił Knight. — Harmonia. To właśnie od czasu do czasu uzyskuje Budapest String Quartet. Grają na instrumentach z progami. — Wyłączył gramofon. — Słyszałeś kiedy coś podobnego?

— Nie — odparł Al.

— Nie przypomina to starych dobrych rewelersów, co? Nie będziemy odgrzewać Mills Brothers.

— Odłożył płytę na miejsce i zwrócił się ponownie w stronę Ala. — No i co o tym myślisz? — zapytał i spojrzął na niego z powagą.

— To najgorsze gówno, jakie słyszałem w całym swoim życiu — odparł Miller.

Poważny wyraz twarzy Knighta nie zmienił się ani na jotę.

— Masz rację — powiedział. — Ująłeś to doskonale. Ale czegoś nie rozumiesz. To jest tak złe, że aż dobre. Słysząc w tym mnóstwo czasu, umiejętności i oryginalności. Żeby wyprodukować taki dźwięk, trzeba było wiader krwi i potu. To również się w nim znalazło, to też usłyszałeś. To brzmienie nie jest dziełem przypadku, wynikiem eksperymentów, by uzyskać coś lepszego. To nie jest nic pośledniego, Al. Ten dźwięk zapamiętasz. Nie będziesz w stanie pozbyć się go z umysłu. Za sześć czy dziesięć tygodni to brzmienie wciąż będzie tkwiło w twojej głowie. Odcisnęło na tobie swoje piętno. Mierne rzeczy nie odciskają piętna: człowiek zapomina o nich, zanim wybrzmia.

Wydaje ci się, że jesteś w stanie zapomnieć The Aristotelians śpiewających *When You Wore a Tulip*? Nie oszukuj się. Nie zapomnisz tego. I to właśnie jest wartość, która robi z tego nagrania prawdziwy przebój, bez niej nie ma popularności na dzisiejszym rynku. Ten dźwięk ma tożsamość.

Kiedy The Aristotelians zaśpiewają *When You Wore a Tulip*, od razu będziesz wiedział, że to jest to, nie pomylisz tego z niczym innym. Tak, to jest złe. Jest tak złe, że może stawać w szranki z...

powiedzmy, Alem Jolsonem, Johnnym Rayem albo innymi wielkimi. Z Andrews Sisters.

— Rozumiem — powiedział Al.

— Naprawdę rozumiesz? — zapytał Knight. — Mówisz „złe”. Nazywasz „złym” coś, co wkrótce zagości w sercach wszystkich Amerykanów i stanie się częścią ich życia. Czy to naprawdę jest złe? Coś, co daje radość i chwilę oddechu od zmartwień i lęków przed tą naszą bombą wodorową? To dziwny pogląd na to, co jest „złe”, Al. A co uważasz za dobre? Coś, co wyzwala te lęki? Coś, co jeszcze bardziej utrudnia nam życie?

Zapadła cisza.

— Ci faceci, The Aristotelians — znam ich osobiście, wszyscy to moi dobrzy kumple — doskonale się bawili, nagrywając tę płytę — rzekł w końcu Knight. — To nie są intelektualiści. Nie kończyli szkół, nie czytali Kanta. To dobroduszne, miłe, proste chłopaki, które lubią spotykać się wieczorami i śpiewać sobie. A my mamy zamiar rozdać tę ich radość, podzielić się nią, nagrywając ich harmonie. Tym się zajmujemy. Po to tutaj jesteśmy. Po to ty tutaj będziesz, jeśli uważasz, że sobie u nas poradzisz. Nie staramy się zmienić świata. Nie jesteśmy nauczycielami ani reformatorami. Dajemy ludziom radość, nie polecenia. Czy to jest złe?

— Nie, to jest dobre — odparł Al.



— Tak, dobre — potwierdził Knight. — To, czego te chłopaki dokonali, jest dobre, dobre dla ludzi. To jedyne dobro, jakie zna — my. Profesjonalni muzycy wariują, kiedy to słyszą. Naprawdę.

Szkoda, że nie widziałeś, jakie mieli miny. Warto było to zobaczyć. Wiedzą, że słyszą dźwięki, które zaginęły setki lat temu. Dźwięki, których nie spodziewali się już usłyszeć. A teraz posłuchaj, na czym będzie polegało twoje zadanie tutaj, w Teach. Wyślemy cię do małych miasteczek, które znasz jak własną kieszeń. Będziesz szukał dla nas w tych miasteczkach miejscowych chórów, aż znajdziesz pewną ich liczbę. Następnie skontaktujesz się z naszym dźwiękowcem i pojedziecie tam z ekipą, ampeksem i jakimś białkiem, żeby skłonić ich do nagrania na taśmę.

— I myśli pan, że mam do tego przygotowanie? — spytał Al.

— W wypadku czegoś nowego — powiedział Knight — naprawdę nowatorskiego, nie istnieje coś takiego jak przygotowanie.

— Nie jestem muzykiem — stwierdził Al. — Czemu nie zatrudni pan muzyka?

— To nie ma nic wspólnego z konserwatorium. Nagrywamy dźwięk. Jak odgłosy z rury wydechowej sportowego wozu, które, nawiasem mówiąc, szły jak ciepłe bułeczki. Dźwięki sebringa. Wiesz, że dowiedziono naukowo, że fasola rośnie najszybciej, jak się jej puszcza odgłosy z rury wydechowej sportowego wozu?

— A co jeszcze wchodzi w grę?

— Muzyka symfoniczna — odparł Knight. — Przy niej też dobrze rośnie.

— Myślę, że zatrudnia pan niewłaściwą osobę — powiedział Al. — Znam się tylko na używanych samochodach.

— Pensja wynosi pięćset pięćdziesiąt na miesiąc — rzekł Knight. — Plus benzyna i olej do samochodu, oczywiście. Po trzech miesiącach, jak wszystko wypali, podstawowa pensja wzrasta do sześciuset, a po kolejnym pół roku do sześciuset pięćdziesięciu. Bierzesz czy nie? Jak nie, to żegnam, jestem bardzo zajęty.

Wrócił do biurka, usadowił się w fotelu i od razu zaczął uważnie studiować papiery.

— Biorę — oświadczył Al.

Była to lepsza praca, niż się spodziewał. I lepsza płaca. W końcu nie była to posada sprzedawcy.

I wtedy uświadomił sobie, że ponownie go wykołowali. Była to kolejna sztuczka rodem z komisum samochodowego: najpierw kazali mu myśleć, że jest gorzej niż w rzeczywistości, żeby — kiedy się wszystko wyjaśni — był radośnie zaskoczony i przyjął propozycję.

Ale to nie wszystko. Dlaczego go zatrudniali? Dlaczego właśnie jego? Bo pochodził z St.

Helena. O to szło. Nie miał im nic więcej do zaoferowania, żadnej umiejętności czy doświadczenia, jedynie swoje wiejskie pochodzenie.

— A gdyby się okazało, że skłamałem — powiedział nagle. — Że nie urodziłem się w St.

Helena, tylko w Chicago.

— Sprawdziłiśmy to — odparł Knight.

— Czy tylko to we mnie cenicie? — zapytał Al. — Nic więcej? — Wydawało się to niezwykle ważne.

— Znasz te wszystkie miasteczka — powiedział Knight. — Point Reyes, Tracy, Los Gatos, Soledad. To twój żywioł. — Przerzucał papiery. — Znasz też te wszystkie boczne drogi. Nie zgubisz się. Te boczne drogi to czyste piekło. Żwir i wyboje. Przy takich właśnie drogach dorastałeś. — Wbił swój świdrujący wzrok w Ala. — Żeby odnaleźć małomiasteczkowe chóry, trzeba się sporo najeździć. To całe dnie za kółkiem. — Wracając do papierów, dodał mimochodem:

— A jeśli wóz ci gdzieś utknie czy się zepsuje, zdołasz go naprawić. Znasz się na tym.

— Kiedy zacznym? — spytał Al po jakimś czasie.

— W poniedziałek — wymamrotał Knight. — Do zobaczenia w poniedziałek. Zamelduj się tu o dziewiątej. Zapytaj o Boba Rossa. On zarządza tym projektem. To zięć Harmana. To oczko w głowie Harmana, wkłada w ten projekt wszystkie siły i środki.

— Wydawało mi się, że wkłada wszystkie siły i środki w projekt wytwórni z muzyką klasyczną — powiedział Al.

— W wytwórnię Antiqua? Słuchacze jeszcze nie są na to gotowi. Może za rok.

Knight dawał aż nadto wyraźnie do zrozumienia, że skończyli rozmowę — zajął się na poważnie papierami. Pozostawało tylko wyjść, dlatego Al po chwili zamknął za sobą drzwi biura.

\* \* \*

W oczach Ala otrzymanie posady wyłącznie dlatego, że urodził się w St. Helena, było prawdziwą klęską, ale jego żona miała do tego zgoła odmienny stosunek. Uznała to za szczęśliwy traf.

— A gdybyś nie urodził się w St. Helena — powiedziała Julie, kiedy rozmawiał z nią na ten temat wieczorem. — Nie dostałbyś tej pracy. Albo gdyby nie zainteresowali się nagrywaniem muzyki w małych miasteczkach. — Mówiła z zapamiętaniem, ponieważ angaż męża otwierał perspektywę wydostania się z Bay Area. — Może zamieszkamy gdzieś koło Sonomy — powiedziała. — Zawsze chciałam tam mieszkać. Albo nad Russian River. Lubię być blisko wody.

— Poniżyli mnie — stwierdził Al.

— Nie, tak tylko to widzisz. Patrzą na świat przez własne kompleksy. Znasz branżę komisów samochodowych, więc postrzegasz wszystkich przez pryzmat sztuczek, jakie stosują ludzie w twoim fachu. Mieli dla ciebie jedną pracę, ale ten projekt nie wypalił, byli więc na tyle mili, że pogrzebali w twojej przeszłości, odkryli coś, z czego mogli zrobić użytek, i znaleźli ci coś innego.

Dobrze to wygląda. Najwyraźniej to przedsiębiorczy, inteligentni ludzie. Bardzo chciałabym poznać tego pana Harmana.

— Może udałoby mi się coś znaleźć w Arroyo del Seco — rzekł Al. Było to jedyne miasteczko, które przyszło mu do głowy na poczekaniu.

— I będziesz pracował z samym zięciem szefa — dodała Julie. — Oznacza to, że łatwiej ci będzie szybko awansować. Wygląda na to, że otwierają się przed tobą spore możliwości.

— Mam go zamordować? — spytał. — I zająć jego miejsce? — Zabrzmiało mu to jak fragment *Makbeta*.

— Wystarczy, że błyskawicznie wykażesz, że jesteś niezastąpiony — odparła Julie. — To klucz do sukcesu. Czytałam o tym artykuł w jakimś babskim piśmie. Poczekaj, przyniosę go. — Zaczęła przeczesywać mieszkanie.

W pracy polegającej na przeszukiwaniu małych miasteczek nie ma żadnej przyszłości, pomyślał Al. Będę musiał wyszukiwać najgorszych śpiewaków pod słońcem. A kiedy już najgorsze grupy pod słońcem zostaną odnalezione, będziemy je rejestrować za pomocą najgorszej pod słońcem nowoczesnej technologii. Widział siebie, jak jedzie coraz głębiej w kraj, zataczając coraz to większe koła, aż wreszcie kończy mu się Kalifornia. Poszukiwania najgorszych grup wyjców pod słońcem rozszerzają się na Oregon, potem na Idaho, następnie Wyoming i Nowy Meksyk, Nebraskę i Missisipi, a w końcu na całe Stany. Ostatecznie, ku swej niewymownej radości, odkryje najgorszy chór wyjców pod słońcem i stanie się odpowiedzialny za wydobycie na światło dzienne takiego koszmaru, że choćby szukał za siódmą górą i siódmą rzeką, to nic gorszego już nie znajdzie. I wtedy będzie mógł przejść na zasłużoną emeryturę. Wtedy będzie już pewien, iż wypełnił obowiązek wobec swego kraju i rasy.

— Biedny Doktor Mudd — powiedział.

— Co takiego? — zapytała Julie, przerywając poszukiwania.

— Pies Tootiego — wyjaśnił Al. — Wtopił na całego. To, co umie, jest bezgłośne. Nie można tego zapisać na taśmie. — Ani w nowym, ani w starym stylu, pomyślał. Pies, co podbija nosem balon, nie może być już uważany za część amerykańskiej kultury, bo nie można go odtworzyć na sprzęcie hi-fi.

Gdyby Doktor Mudd potrafił nucić kawałki spirituals podczas podbijania balonu, pomyślał Al, może miałby jakąś szansę. Ale to niewykonalne zadanie. Nawet dla rodzimego przemysłu elektronicznego istnieją jakieś granice.

I biedny jest sam Tootie Dolittle, stwierdził Al. Wyobraża sobie, że klucz do sukcesu leży w uroku osobistym. Nic dziwnego, że Tootie też wtopił. Te dni minęły. Egzotyczne i uderzające nie było już poszukiwane. Teraz na czasie było swojskie. Przaśno — siermiężne i całkowicie zwyczajne. Sukces tylko czekał na pulchne, uśmiechnięte amatorki z trzyosobowego chóru, w sukniach z maturalnego balu, które kiwały się w przód i w tył przy dźwiękach *Down By the Old Mill Stream*. Porażka Tootiego wynikała stąd, że nie urodził się w St. Helena, Montpelier w stanie Idaho czy w jednym z podobnych miejsc. Od samego początku był przegrany.

Co do mnie, pomyślał, to można powiedzieć, że byłem o krok od wtopy. Ale teraz pokazano mi światło w tunelu.

\* \* \*

W poniedziałkowy rano Al Miller pojawił się w firmie Harmana. Recepcjonistka wysłała go do biura na pierwszym piętrze, w którym zastał dwóch mężczyzn: inżyniera dźwięku oraz zięcia Harmana, Boba Rossa. Stali pochyleni nad magnetofonem Ampex na akumulatory, piętnastocalowymi aluminiowymi szpulami z taśmą, mikrofonami, wzmacniaczami do odsłuchu i przenośnymi głośnikami.

Ross miał na sobie brązowy wełniany garnitur z kamizelką, wąski krawat i okulary w ciężkich oprawkach. Powitał Ala dudniącym głosem, niemal głosem radiowca, co bardzo kontrastowało zdaniem Millera z jego pyzată, prawie dziecięcą twarzą. Oczywiście był starannie ubrany, ale wszystko w nim było takie nieforemne, że Al uznał, iż Ross wygląda jak stary — maleńki. Ponadto miał również profesorski, zbyt poważny sposób bycia charakterystyczny dla dorastającego chłopca.

— Ty jesteś kierowcą? — zapytał Ross.

— Chyba tak — odparł Al. — Właśnie mnie zatrudnili.

— Milton?

— Nie — rzekł Al. — Miller.

— Radzisz sobie z czterobiegową skrzynią biegów w ciężarówce?

— Jasne.

— No to w drogę — powiedział Ross. — Władujemy tylko sprzęt do wozu i ruszamy. Nie ma sensu tu sterczeć.

Al zaczął zbierać sprzęt, tak samo jak inżynier dźwięku, a Ross w tym czasie wpatrywał się w plik papierów. Inżynier dźwięku poprowadził ich schodami na parking, gdzie stał półtoratonowy GM, który jednakowoż miał już kilka lat na karku.

— Dokąd? — zapytał Ross, kiedy ostatni bagaż wylądował na pace.

— Do Fort Bragg — odparł Al bez wahania.

— I tam właśnie znajdziemy to, czego szukamy?

— Jasne — odparł Al. Wybrał miasteczko na chybił trafił. Nigdy tam nie był. Na podróży tam i z powrotem zjeździe im cały dzień, a on już cieszył się na długą wycieczkę.

— Nie powinniśmy zacząć gdzieś bliżej? — zapytał Ross. — Między Oakland i Fort Bragg jest cała masa miasteczek.

— Już są przeczesane — stwierdził Al.

— Niech to szlag! — zaklął inżynier. — Jak tam pojedziemy, to może nas nie być nawet kilka dni.

— Bądźmy realistami — rzekł Al. — Musimy zjechać z obszaru z dobrym sygnałem telewizyjnym. Telewizja spaprała oryginalną kulturę ludową w promieniu stu mil.

— Wydajesz się bardzo pewny tego, co mówisz — powiedział Ross.

— Jestem w tej branży od wielu lat — odparł Al.

— Jak mamy jechać taki kawał, to ja lepiej zadzwonię do żony — powiedział inżynier.

Przeprosił ich i poszedł do telefonu.

Ross wyciągnął z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem.

— Szczerze mówiąc — zwrócił się do Ala, zapalając — opuszczanie obszarów podmiejskich w Bay Area mi się nie uśmiecha. Jak dotąd nagrywaliśmy przeważnie w klubach w San Francisco.

Przyjeżdża tu chętnie większość muzyków i dlatego w miejscach takich jak Facks Number Two, Blackhawk czy Hungry I mamy mnóstwo osobowości ze świata popu i jazzu.

— W porządku — powiedział Al. — Poczekaj sobie przed Facks Number Two, a zobaczysz, ile autentycznych chórków się tam pojawi. Takich, które nie mają jeszcze kontraktu.

Wkrótce byli już w trasie, a Al siedział za kółkiem. Bob Ross pykał ze swojej fajki i czytał jakieś pismo branżowe. Inżynier dźwięku oparł się o drzwi kabiny i szybko zasnął snem sprawiedliwego.

— Podziwiam twoją odwagę — powiedział Ross, zerkając znad czasopisma. — Mówię o odwadze wypowiedzi i obrony własnego zdania.

— Dzięki — rzekł Al.

— Dogadamy się — stwierdził Ross. — Powinniśmy jednak zatrzymać się na chwilę przy domu mojego teścia i uzgodnić to z nim. Zanim pojedziemy na taką wyprawę.

Pokierował Ala na wzgórze Piedmontu i wzdłuż ulic z wysokimi drzewami oraz tarasowymi ogrodami za kamiennym murem porośniętym gęsto bluszczem. Po chwili parkowali już przy domu znacznie oddalonym od ulicy i skrytym za rzędem topoli.

— Idziemy razem — powiedział Ross, wyslizgując się z kabiny mimo śpiącego inżyniera dźwięku. — Wziął sobie dzień wolny, bo ma katar sienny.

Wspięli się po kamiennej ścieżce, mijając kępy dymnych róż i gladioli. Ross poprowadził Ala bokiem do patio na tyłach domu. Zastali tam opalającego się w slipkach Chrisa Harmana, wyciągniętego na frotowym ręczniku z radiem tranzystorowym przy uchu. Obok stała wysoka szklanka mrożonej herbaty i stos „U.S. News & World Reports”. Kiedy się zbliżyli, Harman odwrócił głowę w ich stronę.

— Cześć — powitał ich przyjaźnie.

— Zajmiemy ci tylko minutkę — powiedział Ross.

— Nie ma sprawy — rzekł Harman i podparł brodę na splecionych ramionach, by ich lepiej widzieć.

— Jedziemy do Fort Bragg — oznajmił Ross — żeby wytropić grupki wokalne, które nie mają jeszcze kontraktów.

Harman od razu zaoponował.

— O, nie.

— Dlaczego nie? — zapytał Al.

— To zupełnie jałowy teren. Fort Bragg znajduje się za blisko wody. Wzdłuż brzegu jest tylko mgła i chłód. To kraina drewna. Chórki znajdziecie w okolicach rolniczych. W dolinie Sacramento albo w dolinie Sonomy. Tam gdzie jest gorąco, sucho i płasko. Mówię wam. — Usiadł prosto. — Nie żebym miał za nic twojego nosa, Miller, ale pojedziecie do hrabstwa Sonoma i rozejrzycie się wokół Petalумы.

— Zna pan okolice Petalумы? — zapytał Al.

— Ależ oczywiście — odparł Harman z uśmiechem. — Wciąż tam jeżdżę. To światowa stolica kurczaków i jajek.

— Pojedziemy tam — rzekł Ross. — To najwyżej dwie godziny jazdy.

— I pamiętajcie — powiedział Harman z tym swoim przyjaznym uśmiechem światowca — że wokół są też inne miasteczka. Sebastopol, Santa Rosa, Novato. To tradycyjny okręg rolniczy, bardzo gorący. I monotonna okolica. Czyli idealne warunki dla rozwoju amatorskich chórków. — Wstał i zaczął się owijać w granatowo — biały szlafrok, który związał paskiem. — W miarę upływu czasu będziesz miał wiele okazji, by poćwiczyć ocenę sytuacji, Miller — dodał. — Przepraszam, że zmieniam wasze plany, ale jak Ross dobrze wie, mam niezłego nosa do tych spraw.

— Z doświadczenia wiem, że tak — potwierdził Ross.

— Cieszę się, że się czegoś nauczyłem — powiedział Al. — Uważam, że jestem całkiem niezły w tej dziedzinie, ale na naukę nigdy nie jest za późno. Człowiek nieustannie zgłębia różne tajniki w szkole życia.

— A może coś do picia? — spytał Harman. — Zanim wyruszyście w tę gorącą i długą trasę?

— Wspaniale by było — powiedział Ross.

— Dzięki — rzekł Al. — Naprawdę byłoby miło.

— No to przepraszam — powiedział Harman. Zniknął za przeszkłonymi rozsuwanymi drzwiami, zostawiając dwóch mężczyzn na patio. Z tranzystorowego radia w dalszym ciągu sączyła się muzyka.

— I nauczysz się o wiele więcej — powiedział po chwili Ross — pracując w firmie Harmana.

Chris jest naprawdę zadziwiającym człowiekiem, gigantem. Myślałeś pewnie, że jest zaangażowany głównie w przemysł płytowy. Nic bardziej mylnego. Przede wszystkim jest inwestorem.

— Rozumiem — odparł Al.

— Oceniają go na jakieś dwa miliony dolarów — powiedział Ross. — Wszyscy to mówią. A jednocześnie jest jednym z głównych sponsorów organizacji przyjaciół regionu Oakland. Przez lata wspierał wszelkiego rodzaju liberalne projekty. Jest miłym, wykształconym człowiekiem o naturze humanisty. Wiem na przykład, że czytuje Platona w oryginale. Jego hobby jest między innymi zbieranie znaczków. Ma jedną z największych kolekcji wczesnych znaczków brytyjskich na Zachodnim Wybrzeżu.

— Na miłość boską — westchnął Al.

— Teraz, kiedy należysz do ekipy — dodał Ross — będzie cię gościł w swoim domu. Wszyscy tu zjeżdżają. W Chrisie nie ma nic ze snoba... nawet pewnie nie wiedziałby, jak się snob zachowuje. Kiedy wchodzi do sklepu, żeby coś kupić, na przykład poranną gazetę, jest miły i uprzejmy wobec sprzedawcy — zaczął gestykulować — tak jak wobec rodziny i przyjaciół. Nie dzieli ludzi. Dla niego człowiek to człowiek. Nie żartuję.

— No, niech mnie gęś kopnie — powiedział Al.

— To cecha prawdziwych arystokratów — rzekł Ross.

— Chyba tak.

— Nawet ci, którzy go nie znoszą, tak mówią.

— A kto go nie znosi? — zapytał Al. — Jak to w ogóle możliwe?

— Jest wielu takich — odparł Ross. — Zdziwiłbyś się. Ma mnóstwo wrogów, którzy życzą mu jak najgorzej i nie wahają się obrazić go, oczywiście nie bezpośrednio, kiedy tylko mają okazję.

— Ale dlaczego?

— Od dłuższego czasu mnie to zastanawiało. To pewnie przez to jego szczęście. Mogliby mu wybaczyć jego wychowanie, wykształcenie, talent w biznesie i ogólne obycie. Ale nie szczęście.

Byliby nawet w stanie wybaczyć mu bogactwo. Ale szczęścia... — Wykonał znaczący gest, ale rozsypał przy tym tytoń z fajki. Płonący okruh spadł na posadzkę; Ross zwilżył palce i ostrożnie go zagasił.

— Myślą, że im się też szczęście należy — stwierdził Al.

— Właśnie — powiedział Ross. — Że powinno być po równo podzielone na cały cywilizowany świat. Oczywiście, gdyby tak było, nie istniałoby coś takiego jak szczęście i nikt nawet by nie wiedział, co to słowo znaczy. No bo czym jest szczęście?

— Szczęście jest wtedy, kiedy wszystko ci idzie jak po maśle.

— Szczęście to możliwość wykorzystania szans — rzekł Ross. — Obrócenia pecha na swoją korzyść. Nie znaczy to, że powiedzmy, zawsze się wyciąga najlepszą kartę. Nie znaczy to, że za każdym razem dostaje się trzy asy i dwa króle. — Zwracając twarz w stronę Ala, dodał: — Tylko że wyciągając blotki, dalej się wygrywa, ponieważ potrafi się tak zmylić resztę, że blotki zmieniają się w tryumfy. Kapujesz?

— Tak — odparł Al. — I to naprawdę fascynująca nowa koncepcja.

— No to może mi ją wytłumaczysz — powiedział Ross. — Obserwuję go od sześciu już lat i, szczerze mówiąc, jeszcze go nie rozgryzłem. Na przykład, kupuje udziały w zakładzie zegarmistrzowskim. A na drugi dzień wynajdują automat do naprawy zegarków i jakiś facet montuje go sobie w zakładzie po drugiej stronie ulicy, tak że można włożyć tam zepsuty zegarek i po pięciu sekundach wychodzi z tej maszyny jak nowy. Za, powiedzmy, sześć centów. Każdy inny splajtowałby momentalnie.

— Oczywiście — potwierdził Al.

— Ale nie Chris.

— Dlaczego?

— No, tego to ja nie wiem.

— Może ma wystarczający kapitał, żeby sobie pozwolić na stratę?

— Nie. On jakimś cudem obraca to na swoją korzyść. Czerpie z tego zyski. I tak na dłuższą metę wychodzi na swoje. Zainstalowanie po drugiej stronie ulicy tej maszyny, co w pięć sekund naprawia zegarki, na dłuższą metę generuje mu takie zyski, jakby w ogóle jej tam nie było albo jakby w ogóle jej nie wynaleziono.

— Niesamowite — powiedział Al.

— Widziałem, jak kiedyś przyszedł do kogoś do biura — rzekł Ross — żeby dać mu prezent, płytę czy butelkę whiskey, i tylko dlatego, że się tam pojawił, nagle trafiła mu się niesłychana okazja. To tak, jakby przyszedł do ciebie i dał ci w prezencie stówę, ale zauważył napis NA WYNAJEM w lokalu obok. Wynajmuje ten lokal momentalnie i po pół roku zbija kokosy na tym, co zaczął tam robić. Bo okazuje się, że właśnie tego mu było trzeba albo ludzie tego potrzebują.

Tak samo jest z tymi chórkami. Wiesz, że to był jego pomysł?

— Tak — potwierdził Al.

— On nigdy się nie myli. Jeśli wejdzie na całego w te chórki, to mogę się założyć, że będzie to kolejny wielki sukces. A może stanie się sukcesem, bo on w to wszedł? Nie wiem. Ale jego relacje z

rzeczywistością w jakiś sposób rozciągają się na całą jego firmę. Przysięgam na wszystko, że moje szczęście całkowi — cie się odmieniło, od kiedy spotkałem Chrisa Harmana osiem lat temu.

Miałem już wielkie szczęście, że go poznałem. Ty też możesz zacząć liczyć swoje nowe dni życia.

Twoja fortuna, Miller, właśnie zatoczyła koło. Nie czujesz tego?

— Ale jak? — zdziwił się Al.

— No bo, widzisz, teraz dokądś zmierzasz. Nie stoisz w miejscu. Zauważono cię.

Drzwi patio rozsunęły się i ukazał się w nich Harman w granatowo-białym szlafroku, trzymając tacę ze srebrnym szejkerem martini i trzema oszronionymi szklankami z oliwką w każdej.

— No i proszę — powiedział Chris.

Jim Fergesson pojechał z samego rana do siedziby Bank of America. Tam przelał pieniądze, wyłączając dziesięć dolarów, z rachunku oszczędnościowego na konto bieżące. Kiedy opuszczał bank, spojrzął na wyciąg i z satysfakcją odnotował kwotę 41 475 dolarów.

Czy powinien wracać do domu? Chciał się odpowiednio ubrać. Może powinienem gdzie się zatrzymać i kupić nowy krawat, pomyślał. Jeden z tych wąskich. Jechał więc wzdłuż San Pablo, aż zobaczył sklep z odzieżą. Zaparkował i wysiadł, pilnując, by nie przyspieszać i nie męczyć się zbyt. Po chwili znalazł się w środku i zaczął oglądać krawaty na stojaku obok marynarek.

Pulchny młody Chińczyk w koszuli z krótkimi rękawami podszedł do niego z uśmiechem.

— Dzień dobry — powitał Fergessona.

Miał ładny krawat — szary z czerwonym wzorkiem. Stary odnalazł wśród wywieszonych krawat bardzo podobny do tego. Kosztował cztery pięćdziesiąt, co wydało mu się wygórowaną ceną.

— Ten jest ładny — stwierdził Chińczyk. — Pewien gość szyje je ręcznie w Sausalito. Ma na to patent.

Fergesson kupił kilka krawatów i wyszedł ze sklepu zadowolony.

Ale wciąż nie chciało mu się wracać do domu. Była tam Lydia i czuł rosnące zdenerwowanie na myśl o spotkaniu z nią. W samochodzie otworzył torbę z krawatami. Patrząc w luster — ko wsteczne, zaczął zakładać jeden z nich. W trakcie — a bardzo rzadko nosił krawaty, dlatego palce mu drętwiały i nie był w stanie dopasować odpowiedniej długości węższego końca — zauważył, że Chińczyk wyszedł na chodnik i życzliwie kiwa do niego głową. Wysiadł więc i pozwolił sprzedawcy zawiązać sobie krawat. Jego wprawne palce wykonały to zadanie z wielkim kunsztem i szacunkiem dla klienta.

— Dzięki — powiedział Fergesson nieco zawstydzony, ale też wdzięczny. — Mam spotkanie w interesach, no i musiałem się wystroić. — Zerknął na zegarek, żeby pokazać, pod jak wielką jest presją.

Chińczyk uśmiechnął się do niego, odprowadził wzrokiem do samochodu i przyglądał się, jak uruchamia silnik. Życzył mi powodzenia, pomyślał Fergesson, włączając się do ruchu. To dobry znak.

Od wielu miesięcy nie czuł się tak dobrze. To prawdziwa okazja, rzekł w duchu.

Uświadomił sobie, że nakupił krawatów za dwadzieścia pięć dolarów. Niech to! To było coś. To czegoś dowodziło.

To dzięki tej ich obsłudze, pomyślał. Tych Chińczyków. Tak właśnie prosperują te ich małe sklepiki: dodają coś za nic; biały by tego nie zrobił. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby kupować u niego wszystkie ubrania. Wiem, że miałbym wyśmienitą obsługę.

Zapamiętał lokalizację sklepu. Żebym mógł go odnaleźć, stwierdził.

Założę się, że ten Chińczyk zarabia kupę forsy, pomyślał, skręcając w lewo na skrzyżowaniu.

To naprawdę piękny dzień, powiedział do siebie, spoglądając na niebo i słońce. Opuścił szybę i wdychał powietrze przez nos. Mam nadzieję, że nie zaciągnie się tym cholernym smogiem, pomyślał. Ten cały smog wycina ludzi jak muchy, powoduje raka płuc tak jak papierosy.

Nie mogę mieć cały dzień takiego nastroju, stwierdził. Już zaczął odczuwać zmęczenie — jazda, uważanie na inne samochody, ruszanie i zatrzymywanie się przychodziły mu z trudem. To wszystko tworzy ten smog, pomyślał. Samochody wyrzucają spaliny, podobnie te wszystkie autobusy i ciężarówki; zbyt wielu ludzi ciągnie do Oakland, miasto jest przeładowane.

Nagle poczuł się jak podczas ataku niezwykle ostrej grypy. Było tak jak wtedy, kiedy rozłożył go jakiś azjatycki wirus: nosił go w sobie tydzień, zanim się zorientował, że jest chory, ponieważ



symptomy nie tyle sprawiły, że czuł się inaczej niż zwykle, ile że czuł się gorzej. Szybciej się męczył, szybciej irytował, a jego posępny nastrój i poczucie porażki stawały się przytłaczające.

Warczał na wszystkich, nie był zdolny do pracy i wciąż chodził, zamiast się położyć do łóżka, aż wreszcie pewnego ranka nie mógł wstać od stołu po śniadaniu. Wtedy Lydia zatrzymała go w domu.

Teraz też tak jest, pomyślał, zwalniając. Cały był ociężały, a szczególnie ciężły mu ramiona — dłonie opadły na kierownicę jak rękawice oblepione cementem. Głowa mu się kiwała. Drgają mi nawet mięśnie przy oku, pomyślał; obraz jezdni zamazywał się. Przedmioty nakładały się na siebie, po czym rozdzielały. Moje cholerne lewe oko kręci się, jak chce, pomyślał. Zezuję. Chyba coś mi się poluzowało.

No to, pomyślał, trzeba będzie łyknąć witaminy B<sub>12</sub> To witamina od nerwów. Jechał dalej, aż mógł wrócić na San Pablo. Skręcił na czerwonym świetle i przeskoczył na odległy pas. Tak już sobie z tym radziłem, pomyślał. łyknę tę witaminę i wezmę kilka dobrych parówek. Ale teraz nie mógł brać gorących kąpiel. Musiał trzymać się z dala od wody — ostrzegał go lekarz. Witaminy będą musiały wystarczyć.

Przed bistro znajdowała się żółta strefa, więc zaparkował tam. Wsiadł i bardzo ostrożnie ruszył chodnikiem do lokalu ze zdrową żywnością. Miał wrażenie, że jego stopy zapadają się w płyty chodnikowe, tak jakby nagle powierzchnia chodnika zmieniła się w lepki mas. Zapadam się na jakieś sześć cali, mruknął do siebie, unosząc i opuszczając prawą stopę, ponownie kładąc ją na chodnik, potem lewą, prawą, lewą, prawą i tak dalej, aż do przeszklonych drzwi bistra. Przez chwilę stał tam, by odsapnąć, po czym szczerząc do siebie zęby w gniewnym uśmiechu, otworzył drzwi wierzchem dłoni.

— Dzień dobry, Jim — powiedziała Betty.

Usiadł ciężko na pierwszym stolku z brzegu i coś wymruczał. Złożył ramiona na blacie i na chwilę oparł na nich głowę. Robił tak lata temu w szkole; poczuł, jak nadgarstek wgniata mu się w czoło. Zupełnie jak w trzeciej klasie, pomyślał. Południowa drzemka. Przywołał Betty, a ta od razu do niego podeszła.

— Posłuchaj — rzekł. — Może dałabyś mi jeszcze jedno opakowanie tych witamin. No wiesz, tych z kuracji witaminowej.

— Och, ale ja nie pamiętam, co ty brałeś — wymamrotała Betty. — I jaka to była dawka. — Podeszła do półki. — Te takie duże czerwone?

Dostrzegł właściwą buteleczkę i wskazał na nią, a Betty ściągnęła ją.

— Teraz już wiem — powiedziała. — B complex. Z niacyną i pantenolem. To bardzo dobry lek, Jim. Są tu elementy wzmacniające, anemicy to zażywają. Ale nie ma B to jedyna wada. — 12

Sięgnęła po kolejny słoiczek. — Ten lek ma witaminę B<sub>12</sub>, ale jest nieco droższy. To środki na 12

poprawę stanu krwi. — Zerknęła na niego, wyciągając w jego stronę obie buteleczki.

— Ja chcę tylko tę na nerwy — powiedział. — B — Sięgnął po znaną sobie buteleczkę, a Betty 1

mu ją podała. — Mogę dostać trochę wody? — zapytał.

— Naturalnie — odparła i napełniła szklanekę.

łyknął dwie tabletki przy ladzie i zabierając resztę leku, skierował się do wyjścia.

— Zapiszę ci na rachunek — powiedziała Betty, idąc za nim. — Mam nadzieję, że ci to pomoże, Jim. Wyglądasz dzisiaj na bardzo zmęczonego. Wiesz, powinieneś to brać regularnie. Chyba byłoby lepiej. — Wyszła z nim na zewnątrz.

— Jasne — rzekł, po czym podszedł do samochodu i wszedł do środka. Od razu poczuł się lepiej.

Trochę mu ulżyło.

Ten przekłęty smog, pomyślał, uruchamiając silnik. Naprawdę trudno się przez niego oddycha. I smog, jak zauważył, zaczął zacierać barwy domów. San Pablo już nie była taka jak przed chwilą: została odcięta przez szarą mgłę i nie można było zobaczyć centrum Oakland, jak jeszcze kilka minut temu. Ale kogo to obchodzi? — zadał sobie pytanie, włączając się do ruchu. Ja już widziałem centrum Oakland.

Tak czy inaczej, na wzgórzach wokół miasta nie będzie tyle smogu. Dlatego właśnie oni tam mieszkają, mówił do siebie, jadąc główną ulicą na wschód. Nie znał tej ulicy, ale biegła tu linia autobusowa, więc musiała przecinać Broadway. Skręć w lewo z Broadwayu, postanowił, i wyjadę od razu na Piedmont. Później będzie już prosta droga.

I rzeczywiście, ulica w końcu dobiła do Broadwayu. Kiedy jechał w kierunku skrzyżowania z McArthur, zauważył, że smog został w tyle. Nie pozwoliliby, żeby wspinał się w ich stronę, powiedział do siebie z przyjemnością. Najpewniej jest prawo zakazujące mu tego. Zaśmiał się; znów poczuł się lepiej. Witaminy już zaczynały pomagać. Czyste powietrze przywróciło mu oddech, a witaminy — siłę. Poklepał się po kieszeni marynarki, po wyciągu i książeczce czekowej.

Psiamać, mruknął do siebie. To dopiero będzie coś.

Na McArthur skręcił w prawo, a później w lewo i wjechał na długą, wysadzaną drzewami ulicę willową. Tutaj ruch spadł niemal do zera. Hałas został daleko w tyle, dlatego zwolnił, jakby onieśmielony spokojem tego miejsca. Sterty liści w rynsztoku czekały na spalenie. Stał samochód mleczarza. Jakiś ogrodnik w starych dzinsach i swetrze przycinał brzeg trawnika. Fergesson wjeżdżał na dwójce pod górę, mijając okazałe domostwa. Żelazne parkany, bluszcz... szukał właściwego domu. To ta ulica, nie pomyliłem się? Wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w tył. Wysoki kamienny mur, topole. Czyżby go minął?

Zauważył tabliczkę z nazwą ulicy. Pomylił się, to jeszcze nie było tutaj. Skręcił w prawo, nabierając prędkości.

Ciepło, pomyślał. Promienie słońca padały na niego, padały na chodnik. Przez ten cały krawat też mu było gorąco; pod kołnierzykiem szyja zrobiła się mokra. Lewym kciukiem poluzował zapięty wciąż kołnierzyk. I jeszcze do tego ogrzewanie w samochodzie — było włączone. Nachylił się, by je wyłączyć...

Uderzenie rzuciło go w przód, na kierownicę. Walnął w nią głową, a ręce trafiły w przednią szybę. Odbił się i oklapł na fotelu z otwartymi ustami. Samochód zatrzymał się. Silnik zgasł.

Na wprost niego stał wielki, ciężki biały chrysler; wozy zakleszczyły się przednimi błotnikami.

Z chryslera wypadł momentalnie kierowca, zaczął potrząsać pięścią i wołać coś bezgłośnie.

Kobieta, dotarło do starego. Szczupła kobieta w długim, brązowym płaszczu, wściekła i przerażona, podbiegła do niego.

— No i widzi pan, co pan zrobił najlepszego? — Jej drżące oblicze pojawiło się nagle w bocznym oknie o cal od twarzy Fergessona. Opuścił szybę. — No, popatrz pan, co pan zrobił. Mój Boże, co powie mój mąż? — Odskoczyła, by sprawdzić błotnik. — No nie, niech pan tylko spojrzy!

Otępiały, wydostał się z samochodu. Przy nich zaczęły się zatrzymywać inne wozy. Ulica została zablokowana. Jego samochód i samochód kobiety zatarasowały ją całkowicie, ponieważ na obu poboczach parkowały całe rzędy aut.

— No, popatrz pan. — Trzęsła się cała. — A mam go odebrać o wpół do drugiej. To pańska wina, jechał pan środkiem ulicy. Nawet mnie pan nie widział. A słyszał pan, jak trąbiłam? Nawet

pan nie spojrział. Patrzył pan w d ó ł — w ogóle nie na ulicę ani na samochody!

— No tak — przyznał.

— Nie stój pan tak — powiedziała, wpatrując się w niego intensywnie. — Zrób pan coś.

Rozdziel je czy jak. — Odeszła i wsiadła do swojego wozu. Po chwili jednak znów wysiadła.

Fergesson nie był w stanie śledzić jej ruchów; teraz stanęła za jego plecami. — No, zróbże pan coś wreszcie! A może będzie pan dalej tak sterczał?

Stary kucnął i niewidzącym wzrokiem spojrział na dwa splecione błotniki. Miał pustkę w głowie; nie miał ani planu, ani najmniejszego pojęcia, co zrobić.

— Mogłabym pana zabić! — krzyknęła kobieta za jego plecami. — Pan w ogóle umie prowadzić? Za dziesięć minut muszę być w hotelu Claremont. Teraz w życiu nie zdążę. Zadzwoń pan po wóz holowniczy? Chcę spisać numer pańskiego prawa jazdy. — Podbiegła do swego wozu, by znaleźć coś do pisania.

Fergesson chwycił błotniki. Jeden z samochodów trzeba było podnieść.

— Jest pan ubezpieczony? — zapytała kobieta po powrocie. — Podejrzewam, że nie. Tacy to nigdy nie mają ubezpieczenia. Idę zadzwonić po taksówkę. Mam już ten numer. — Pobiegła do najbliższego domu; widział, jak gna ścieżką do frontowej werandy i wciska dzwonek. Po chwili skoncentrował ponownie uwagę na dwóch błotnikach.

Za jego plecami pojawił się jakiś mężczyzna.

— Potrzebuje pan pomocy? — zapytał.

— Nie — odparł Fergesson. — Dzięki.

— Chce pan, żebym zadzwonił po pomoc drogową?

— Nie — odparł.

Podszedł do bagażnika i wyjął podnośnik. Następnie otworzył bagażnik chryslera i znalazł większy podnośnik. Dwoma podnośnikami uniósł przód chryslera. Błotniki pozostały szczipione.

Kłęknął i wypuścił powietrze z przednich opon pontiaka. Pontiak opadł z westchnieniem. Stary złapał za jego wygięty zielony błotnik i pociągnął go. W końcu metal się poddał i samochody uwolniły się od siebie.

Wrzucił podnośniki do bagażników i poszedł w stronę domu, w którym zniknęła kobieta. Drzwi stały otworem; widział, jak kobieta stoi przy telefonie w korytarzu. Pojawiła się kolejna kobieta, najwyraźniej właścicielka.

— Proszę jej powiedzieć, że może jechać — wykrztusił stary, po czym ruszył ku ulicy.

Wróciła królowa szos, wciąż blada i roztrzęsiona.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała lodowatym tonem.

— Rozdzieliłem je. — Stary sięgnął po portfel; miał tak sztywne palce, że wydawało się, iż zaraz się połamią. — Proszę, oto moja wizytówka.

Wyszarpnęła mu ją z ręki i wskoczyła do chryslera. Silnik zaskoczył i odjechała, zarzucając samochodem od krawężnika do krawężnika, a w końcu zniknęła za rogiem.

Pozostałe wozy też zaczęły odjeżdżać. Jednak mężczyzna, który zaproponował mu pomoc, został. Zaparkował swój mały, zagraniczny samochód na podjeździe.

— A pański wóz? — zapytał. — Ma pan dwa flaki.

— Poradzę sobie — powiedział stary. — Prowadzę warsztat samochodowy. Taką samą wizytówkę dałem tej pani. To wizytówka warsztatu.

— Rozumiem — rzekł mężczyzna. — No to powodzenia. — Wsiadł niezgrabnie do zagranicznej bryki. — Na razie.

Fergesson zepchnął pontiaka za krawężnik. Zablokował tym samym dwa podjazdy, ale teraz

przynajmniej ruch na ulicy mógł się odbywać bez przeszkód. Przecież i tak mogli przejeżdżać, powiedział sobie. Zatrzymali się tylko po to, żeby się pogapić. Gnoje parszywe. Nie obchodzi ich, czy dostanę mandat, bo tak zaparkowałem. Nie był jednak w stanie zrobić nic innego.

Znajdował się w pobliżu domu Harmana, dlatego też ruszył przed siebie, nawet nie zatrzymując się dla nabrania oddechu. Przed oczyma latały mu czerwone mroczki i paliło go w gardle. Szedł, oddychając potężnymi haustami przez usta, aż wystraszył mijającą go parę przechodniów.

Uśmiechnął się do nich drapieźnie i kroczył dalej. Mam do przejścia jeszcze tylko jedną przecnicę, powiedział do siebie. Wydawało mu się, że już widzi ten dom i może wejść z drugiej strony, zrobić skrót i zaoszczędzić sobie wysiłku.

Tak, pomyślał, to tam. Z przodu stał duży samochód, półciężarówka Harmana; widniał na niej emblemat firmy płytowej. Wiedział, że się nie pomylił. W końcu dotarł na miejsce. Zszedł z chodnika i po trawie wspiął się w stronę różanego tarasu, nie usiłując nawet odnaleźć kamiennej ścieżki. Nie miał na to czasu. Muszę od razu wejść do środka, powiedział do siebie. Muszę dokończyć z nimi interes życia, nie mogę sobie pozwolić na opieszałość. Wszedł między drzewa.

Nie, to nie może czekać. Chwycił się za marynarkę, by sprawdzić, czy książeczka czekowa i wyciąg są bezpieczne.

W ogrodzie różanym pośliznął się, zatoczył w tył i nagle usiadł, dysząc ciężko. Podniósł się błyskawicznie, po czym chwając się na nogach, otrzepał ubranie. Ubrudził sobie marynarkę.

Uszedł kolejne trzy kroki i znów się pośliznął. Tym razem nogi rozjechały mu się w przeciwnych kierunkach i runął na twarz, w ostatniej chwili wyciągając ręce, którymi złagodził upadek. Podbiegł kilka kroków, rozczapierzając palce dla zachowania równowagi, i dotarł do betonowej werandy z przodu domu. Gubił za sobą okruchy ziemi i drobiny sztucznego nawozu, które z grzechotem odbijały się od cementowego podłoża. Drżąc z bólu, zatarł dłonie. Wytarł podeszwy. Następnie odstał swoje przed drzwiami, odzyskując oddech, a kiedy poczuł, że wróciła mu mowa — będzie przecież musiał coś powiedzieć; musiał odczekać, aż stało się to możliwe — wyciągnął rękę i zapukał.

W domu ktoś się poruszył.

Za wcześnie zapukałem, pomyślał stary. Nie będę w stanie wykrztusić słowa. Nawet nie uspokoił jeszcze oddechu, więc niby jak mógłby coś powiedzieć? Poczul przypływ paniki. Za wcześnie, powtarzał w duchu. Ktoś podchodził do drzwi. Nie podchodź jeszcze, błagał w myślach.

Jak nie zapukam ponownie, to nie podejdiesz, umowa stoi? Stał w ciszy i usiłował nawet nie oddychać. Ale mimo to ktoś się zbliżał.

Łajdaki, pomyślał. Złapaliście mnie w złym momencie, nie jestem jeszcze gotowy. Ale nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł ich już powstrzymać. Drzwi zaczęły się otwierać.

Dobry, powiedział. Cześć, mogę wejść? Zastałem pana Harmana? Ćwiczył te zdania coraz bardziej gorączkowo, dając im się unosić w miarę powiększającej się szpary w drzwiach, płynąc wraz z nimi. Przyszedłem zobaczyć się z panem Harmanem, jeśli nie jest zbyt zajęty. To naprawdę ważna sprawa. Poklepał się po marynarce, poklepał książeczkę czekową, jakby chciał za

— klepać w sobie ból. Mamy wspólne interesy, powiedział. Dyszał coraz szybciej, jak jakiś potwór.

Głowa ruszała mu się niczym u kukułki w takt otwieranych drzwi. Cześć, cześć.

Dobry, powiedział. Dzień dobry.

Drzwi otworzyły się na oścież. Pojawiła się w nich elegancka, dobrze ubrana kobieta.

Uśmiechała się zdawkowo, opierając dłoń — pierścionki, palce — na drzwiach; jasnoczerwony lakier na paznokciach. Dywan w holu i stół, łuk drzwi. Spojrzał do środka, spojrział w głąb.

Kominek.

Dobry, wykrztusił. Przepraszam. Przykro mi, że tak się stało. Gorąco na szyi wokół nowego krawata. To sięganie do grzejnika. Słońce padło na niego, skóra zaskwierczała, rozpoławiając niemal czaszkę. Wydostanę to. Ale nie mogę wycofać. Może wy coś na to poradzicie. Przepraszam, przepraszam, powiedział do kobiety. Odwrócił się i zaczął odchodzić.

— Tak? — powiedziała.

— Ale gorąc — zaczął. — Mogę usiąść na minutkę? — Mam buteleczkę pigułek. Hemo-tiktaki.

Zaśmiał się. Oboje się zaśmiali i kobieta przytrzymała mu drzwi, mógł więc wejść bezgłośnie do chłodnego półcienia holu; odgłosy kroków tłumił dywan. Białe hiszpańskie ściany miały pewnie z tysiąc lat. Nawet nie odważył się odetchnąć.

— Mój mąż jest w domu — powiedziała, idąc przed nim. — Tak sędzę, jakby zechciał pan poczekać.

— Dzięki — rzekł, odnajdując fotel. Czarna skóra; przebiegł po niej palcami, poznając każde zagłębienie.

— Chwileczkę. — Odwróciła się do niego plecami przy kolejnym szerokim łuku wiodącym do odległego pokoju. Kotary.

— Poradzę sobie — powiedział, siadając.

— Na pewno?

— Tak — odparł. — Dziękuję. — Wbił wzrok w podłogę. Po chwili w jego dłoniach pojawiła się, drżąc pod wpływem kruchej równowagi, porcelanowa filiżanka z kawą, spodeczek i w ogóle.

Wpatrywał się w nią z przerażeniem: zakołysała się, zatańczyła na spodku i wróciła na swoje miejsce. Pojedyncza czarna kropla wielkości wyplutej gumy do żucia prysnęła na nogę, plamiąc spodnie; wbił w nią spojrzenie, kiwając głową. Co z oczu, to z serca. Mogłem uważać. Skrzyżował nogi, by ją ukryć.

— Niech się pan nie przejmuj — powiedziała kobieta.

— A diabła tam! — wykrzyknął, pilnując się, by się nie roześmiać. — Niech pani się mną nie przejmuj. — Zakołysał się z boku na bok.

Taki już jestem, pomyślał. Jak łódka. Przywykniecie do tego.

\* \* \*

— Honor trzeba mieć — powiedział Al Miller. — Tak jak zdolność kredytową w świecie finansjery. Czek przechodzi przez tuzin rąk, zanim pojawią się prawdziwe pieniądze. Moim zdaniem, należy zakładać, że ktoś postępuje honorowo, tak samo jak zakłada się, że czek ma pokrycie. Inaczej cały system leży i kwiczy.

Wyciągnięty w swoim szlafroku, skrywając oczy za ciemnymi okularami, Chris Harman wpatrywał się w południowe niebo. Nie odpowiedział — zdawało się, że medytował.

— Chodzi ci o to, że tak powinno być w każdej firmie — powiedział Bob Ross.

— No właśnie — odparł Al. Harman uniósł lekko głowę.

— Ale ktoś postronny może się przedostać do organizacji, Al — rzekł wolno. — Ktoś, kto ma inny cel. — Wyciągnął rękę i trafił na szklankę ze swoim drinkiem. — Nie można ślepo ufać ludziom. Trzeba się chronić. Chyba nie rozumiesz, jak blisko nas są przez cały czas.

— Słucham? — Al rzeczywiście nie rozumiał.

— Większość tego, co zarabiamy na czysto — czy też tego, co powinniśmy zarabiać — musi wrócić do puli — powiedział Harman, podpierając się na łokciach. — Reinwestycje, ale to właśnie po to, by nas chronić. Chyba czytałeś, jak Southern Pacific po cichu wykupywało akcje Western Pacific. WP dowiedziało się o tym dopiero wtedy, kiedy SP nagle ogłosiło, że ma już dziesięć

procent, i, Bóg mi świadkiem, chciało wydostać od ICC\* pozwolenie na zakup dalszych! Mój Boże, przejęliby ich.

— Prawdziwy koszmar — zgodził się Ross.

— Ale nie tylko w ten sposób penetruje się firmy — powiedział Harman. — Istnieją też informatorzy, szpiegzy i podstawione osoby, tak jak w biznesie motoryzacyjnym, gdzie ludzie starają się przejąć wszystkie tajemnice firmy.

— Mogę zaświadczyć — powiedział Al. — Z doświadczenia.

— W całej rozciągłości — zgodził się Harman. — Obrotny z ciebie chłopak. Ale widziałem też inne numery, Al, takie, o których nie masz pojęcia. Dam ci przykład. Oczywiście proszę cię, żebyś to zachował dla siebie. — Zerknął w stronę Rossa. — Bob już o tym słyszał.

— O tak — rzekł Ross. — O tym kontakcie.

— Chcieli nas wybadać — powiedział Harman.

— Ale kto? — zapytał Al, chcąc za wszelką cenę sprawić wrażenie, że rozumie, choć tak naprawdę już dawno stracił wątek. Zarówno Harman, jak i Ross najwyraźniej przyjmowali za pewnik to, że rozumie.

— Oni — powiedział Harman. — Starali się, spójrzmy prawdzie w oczy, znaleźć u nas słabe ogniwo. Nie znaleźli. Ale jeszcze będą próbować. Mają mnóstwo pieniędzy... oczywiście nie jest to SP, ale też nie jest to właściciel trafiki na rogu ulicy. Chcę podkreślić, że to żadni drobni kombinatorzy, tylko poważni przeciwnicy.

— Rozumiem — powiedział Al.

— Trzeba dobrze znać swoich kolegów — stwierdził Ross.

— No właśnie — rzekł Harman. — Teraz siedzimy sobie tu w trójkę po przyjacielsku. Ale będą próbowali dotrzeć do ciebie. — Zdjął ciemne okulary i popatrzył Alowi prosto w oczy. — Zobaczysz. Kiedyś tak będzie.

— Na miłość boską — wyszeptał Al.

— I nawet nie będziesz wiedział kiedy — dodał Ross.

— Nie — zgodził się Harman. — Nie z miejsca.

— Opowiedz mu o kontakcie — poprosił Ross.

— Wiedziałem od razu — zaczął Harman. — Ale tylko dlatego, że zdarzało się to już wcześniej i że rozgryzłem ich sposób postępowania, logikę całego mechanizmu. Działają skądś na prowincji, prawdopodobnie w Delaware, przez firmę holdingową. Zakładając, że w ogóle mają legalną firmę, prawdopodobnie kontrolują wszystkie swoje punkty detaliczne.

— Sprzedają sami sobie — dodał Ross.

— Ale czego konkretnie chcą ani dlaczego — powiedział Harman — tego nie wiemy. Są tu, na Zachodnim Wybrzeżu, wnosząc ze zmian ogólnej sytuacji, od jakichś jedenastu miesięcy, szczególnie w hrabstwie Marin. Pewnie czytałeś o olbrzymich osiedlach, jakie tam powstają. To prawdziwie wymyślne konstrukcje. Podatnik płaci. A oni rujną Berkeley; już praktycznie przejęli miasto. Zabrało im to piętnaście lat, ale się dokonało. — Skrzywił się do Ala.

— Ale kto? — zapytał Miller.

— Czarnuchy — odparł Ross.

— To właśnie zdradził nam ich kontakt — powiedział Harman. — Można było to rozpoznać nawet przez telefon. Miał murzyńską wymowę.

Al wpatrywał się w niego.

— Chcieli iść na układ — mówił dalej Harman. — Bardzo spokojnie, wprost. Zagrałem w ich karty. — Wydawało się, że głos mu lekko zadrżał. — Udałem, że w ogóle nie mam pojęcia, co tu się

kroi. Rozumiesz? Więc im nie wypaliło. — Znów się skrzywił; był to niemal nerwowy tik. — Wciąż jestem spięty, jak sobie to przypomnę. — powiedział. Dopił drinka. — Tak czy inaczej — kontynuował — mieli jakiegoś pośrednika, dzięki któremu chcieli wejść na ten teren. Musielibyśmy tańczyć, jak nam zagrają. Wtedy mogliby nas wchłonąć. I zacząć kierować naszą firmą.

— No, żeby im przypadkiem nie wyszło — rzucił Bob Ross.

— Nigdy nie wiadomo. — Harman wzruszył ramionami. — Mają duży potencjał. Czas pokaże. Na razie nieco przystopowali. Może oni też trochę błędzą po omacku.

— A może trzymają nas w ciągłym napięciu — wymamrotał Ross — żeby mieć większą frajdę.

— Są umoczeni w brudne interesy — powiedział Harman. — W szantaż. Paskudne podejście do rynku. — Zamilkł.

— Ale dlaczego Murzyni? — zapytał Al.

— To sięga daleko w przeszłość — odparł Harman. — Był taki murzyński pieśniarz ludowy, jeszcze w latach czterdziestych, kiedy wiązaliśmy koniec z końcem. Tuż przed wojną, w San Francisco. — Zerknął na zegarek. — Kiedyś, jak będziemy mieli więcej czasu, opowiem ci całą tę historię.

— Ale teraz mamy pracę — powiedział Ross. Podniósł się i odstawił szklanekę. — Czeka nas wciąż trasa.

— Ciekawe, czy jeszcze żyje — powiedział Harman.

— Kto? — zapytał Ross.

— Bosy Lacy Conkway. Ten, co grał na pięciostunowym banjo. Był w tym samym więzieniu co Leadbetter. Ty znasz go pod nazwiskiem Leadbelly. Spotykałem Leadbellyego wielokrotnie przed jego śmiercią. Tak w ogóle, to nagraliśmy kilka jego płyt.

— I płytę Bosego Lacy Conkwaya — dodał Ross. Popatrzyli na siebie ponuro.

— Czyli ten borsuczy syn grający na banjo ma coś do ciebie? — zapytał Al. — Od tak dawna?

— Oczywiście chodziło o telefon od Tootiego Dolittle'a, to na pewno. Ale z jakiegoś ważnego powodu myśleli, że to ktoś inny. — No to dlaczego go nie stuknąć? — zapytał stanowczo.

Ross i Harman się zaśmiali. Po chwili Harman odezwał się rozwlekłym, introspektywnym tonem.

— Al, może i mają coś do mnie, ale my ich pierwsi dopadniemy. Tak jak sugerowałeś. I nie miej złudzeń co do wyniku tego starcia. Za dużo jest w puli.

Otworzyły się drzwi i na patio pojawiła się stateczna, siwowłosa dama, w której Al bezbłędnie rozpoznał panią Harman. Podeszła do męża i powiedziała:

— Chris, jest jakiś mężczyzna do ciebie, czeka w holu. Ale zachowuje się bardzo dziwnie. —  
W

jej głosie słyhać było napięcie; uśmiechnęła się przelotnie do Rossa, a potem do Ala. — Może byś lepiej... — Nachyliła się, by naradzić się z Harmanem, i jej słowa stały się niezrozumiałe.

— No dobrze — powiedział Harman, wstając. — Jaki mężczyzna? — Zerknął na Rossa. — Spotkałaś go kiedykolwiek?

— Może lepiej zostaniemy jeszcze trochę — powiedział Ross i posłał Alowi znaczące spojrzenie.

— Nigdy go nie widziałam — odparła pani Harman.

— To Al Miller — wyjaśnił Harman, wskazując na Ala. — Pracuje dla nas od dzisiaj. A to pani Harman. — Pocierając brodę, zapytał: — Po co przyszedł? Co powiedział?

— Myślę, że coś jest z nim nie tak. Możliwe, że jest pijany — zwróciła się pani Harman do Boba Rossa. — To starszy człowiek. Koło sześćdziesiątki — dodała.

Harman skierował się do domu, ale w drzwiach zatrzymał się, żeby powiedzieć coś Alowi.

— Wiele jeszcze zobaczysz — rzekł. — Od dzisiaj. To będzie dobre doświadczenie. Sam zobaczysz, o co mi chodzi. Dotyczy to omawianych przez nas problemów. Problemów, przed którymi wciąż staje nasza firma i o których musi wciąż pamiętać.

— Wejdziemy z tobą — powiedział Ross.

— Wolałabym, żebyście z nim poszli — powiedziała pani Harman.

Cała czwórka przeszła przez dom do salonu. To był piękny dom i uwagę Ala przyciągały po kolei wszystkie jego estetyczne aspekty. Wlókł się w ogonie i ostatni dotarł do salonu; musiał się wyciągnąć, by zobaczyć to, co pozostali już widzieli.

Na kanapie, trzymając na kolanie filiżankę ze spodkiem i uśmiechając się do siebie, siedział Jim Fergesson, w garniturze i krawacie. Zdawał się nieświadomy ich obecności — patrzył tylko niewidzącym wzrokiem przed siebie. Garnitur, co zauważył Al, miał powalany błotem. Po zaognionej twarzy spływały mu strużki potu.

Kiedy tylko Harman go zobaczył, zadudnił kordialnie:

— Jim, niech mnie rodzona matka z domu wyrzuci! — Wykonał jeden gest i pani Harman od razu zniknęła. Ross odsunął się na bok, udając milczącą halucynację.

Stary obrócił głowę i spostrzegł Harmana. Drżącą ręką niezwykle wolno odstawił filiżankę na spodku, aż zagrzechotały. Podniósł się i podszedł kilka kroków w stronę gospodarza. Wyciągając dłoń na powitanie, odezwał się schrypniętym głosem:

— No, serwus, Harman.

— Na miły Bóg! — wykrzyknął Al. — Ty tutaj? — Był całkowicie zaskoczony.

Stary rozpoznał Ala. Wyciągnął palec w jego stronę i zaczął się śmiać. Jego czerwona i obrzmiała twarz rozjaśniała się z każdą sekundą śmiechu; chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Wciąż wskazywał Ala palcem, machając nim dla zwrócenia uwagi na coś ważnego, co chciał powiedzieć, ale im usilniej starał się to wyrazić, tym szybciej mu umykało.

— Niech mnie zapeklują i zakopią — udało się w końcu wykrztusić staremu. Zapluł się i ocierając usta, ponownie wybuchnął śmiechem, który tym razem przybrał formę konwulsyjnych grymasów twarzy. — Słuchaj — powiedział, zbliżając się do Ala. — Czy to ty napisałeś ten list?

— Jaki list? — zapytał Al.

— Ten... — Stary się zakrztusił. — Ten anonim.

— No co ty — zaperzył się Miller. — Nie wiem nic o żadnym liście.

— Dostałeś jakiś anonim, Jim? Na mój temat? — zapytał Harman, nie wychodząc z roli kulturalnego, uprzejmego gospodarza.

— Tak — odparł Fergesson.

Ross bąknął coś niezrozumiale i zaczął chodzić w kółko, zaciskając i rozwierając pięści.

— Cóż — powiedział Harman; wciąż się uśmiechał. — Ale dlaczego miałby go napisać nasz Al?

— Nie napisał go — odparł stary. — Wiem, że nie napisał. Tylko się z nim drażnię. — Posłał Alowi sójkę w bok. Jego gorący, wilgotny oddech owiał twarz Ala, zatrzymując go w miejscu. Miał tak ohydną, gliniastą woń, że Miller aż się cofnął o krok.

— Siadaj, proszę — rzekł Harman do starego, wskazując kanapę.

Fergesson usadowił się ponownie na kanapie.

— Nie mogę uwierzyć, że stary Al Miller pojawił się tutaj. — Potrząsał głową z przylepionym wciąż do twarzy uśmiechem, zaśmiewając się bez pamięci.

Harman również usiadł.



— Al pracuje dla nas, Jim — rzekł. Stary wybałuszył oczy.

— Nie — powiedział. Zdawało się, że opanowało go zdziwienie przemieszane z niewysłowioną radością.

— Tak to w życiu bywa! — powiedział Al. — Wciąż to samo. Taka gra.

— Ej — rzucił stary. Znów się podniósł i podszedł do Ala. Ponownie sprzedał mu kuksańca i oświadczył głośno: — Wszyscy jesteśmy z jednej paczki. — Rozejrzał się po obecnych.

— Tak — powiedział Harman z uśmiechem. — Chyba tak. — Jego oblicze emanowało tolerancją.

— Posłuchaj. — Stary podszedł do Harmana i pociągnął go za rękaw. — Ja i Al nie rozmawialiśmy z sobą czas jakiś, rozumiesz?

— Nie wiedziałem — odparł Harman.

— Byłem na niego naprawdę zły — powiedział stary. — Ale już nie jestem. Naprawdę mnie zawiódł, ale to już bez znaczenia. Poszedłem nawet do niego na parking, a było mi naprawdę ciężko pierwszemu wyciągnąć rękę na zgodę, ale niech tam. Wybuchła straszna chryja z nim i moją żoną... to dopiero ziółka, on i ona. — Mówił dalej, lecz Al już nie wiedział o czym, bo słowa były niewyraźne. Stary stał obok Harmana i zwierzał mu się charkotliwym, monotonnym głosem.

Bob Ross podszedł do Ala.

— Kim jest ten starszy gość? — zapytał.

— Właścicielem warsztatu samochodowego.

— Ach — westchnął Ross ze znaczącym wyrazem twarzy. — Pamiętam. Chris wspominał o nim. Jest na emeryturze, prawda?

— Nie, dopiero zaczyna nowe życie — odparł Al.

— Chyba coś sobie przypominam — powiedział Ross. Wydmuchnął kilka kłębow dymu z fajki.

— No to zanoszą się na to, że nie pojedziemy dzisiaj do Petalupy.

U sadwiony pośrodku kanapy w salonie Chrisa Harmana stary mówił bez końca. Al nigdy nie słyszał, żeby tak trajlował; z pojaśniałą twarzą świdrował wzrokiem najpierw Harmana, potem Boba Rossa, potem znów Harmana, panią Harman i przez chwilę Ala Millera. Mrugnął nawet do niego.

— Mówię wam — powiedział stary. Omawiał suchy i wilgotny upał. — Ludzie gadają, że nie mogą mieszkać w Sacramento, ale tam panuje gorąc dolinny, i w porządku. Jak jest tak sucho, to można wytrzymać do czterdziestu, pięćdziesięciu stopni. Ale nie da się wytrzymać w Teksasie, przy zatoce, z tym wiatrem od morza... — Machnął ręką. — Tam jest po prostu piekło.

Przypominało to trochę sposób starego na zagadywanie klientów. Al jęknął.

— O co ci znowu chodzi? — zapytał Fergesson, przerywając myśl. — Mówię do Ala. — Wpatrywał się w niego wyczekująco.

— W Amarillo nie jest tak źle — powiedział Miller.

Stary wybuchnął, w uniesieniu słowa padały jedno za drugim.

— To północny Teksas, bez wiatru, bez wiatru od oceanu. No właśnie, dokładnie o to mi chodziło: tam jest sucho.

— A kiedy tam ostatnio byłeś? — zapytał Al.

— Urodziłem się tam, no, w okolicy... w Kansas. W Kansas wieją te same wiatry. Jest tak gorąco, że maska samochodu rozgrzewa się do czerwoności bez względu na to, jak szybko się jedzie. Wicie, dorastałem w Kansas.

— Tak, ale nie byłeś tam od bardzo dawna — odparł Al.

— Wciąż jest tak samo — powiedział Bob Ross. — Ostatnio byliśmy tam nagrywać. W Oklahoma City.

— Ej, Al — odezwał się stary. — A pamiętasz tego starego packarda, którym jeździłeś, kiedy się poznaliśmy? Jaki to był model, z trzydziestego siódmego?

— Taa — rzekł Al. — Packard Dwunastka.

— Tak poznałem Ala — powiedział stary. — Al chciał, żebym mu go tak wyszykował, żeby chodził do końca świata. Bardzo lubił ten samochód. Prawda, Al? A pamiętasz, jak te młokosy namówiły cię, żebyś się z nimi ścigał? Pojechałeś wtedy na Black Point Road, była jakaś druga w nocy. I ścigałeś się z nimi w tym starym packardzie, i wyciągnąłeś — ile to? — jakieś dziewięćdziesiąt mil na godzinę, aż ci wał poszedł. Musiałeś go holować aż do Vallejo. Ile to cię skrobnęło? Próbowaleś mnie namówić, żebym cię zholował. Pamiętam to. Co się w końcu stało z tym packardem?

— Wiesz przecież — powiedział Al. — Poszedł rozrząd.

— To dlatego, że na zimno jechałeś.

— O, żeby cię tak! — wykrzyknął Al. — Spieprzyło się, bo źle wybalansowałeś wał korbowy.

— Ale teraz toś przypieprzył — powiedział głośno stary. — Na całym świecie nie ma poza mną mechanika, który by uruchomił tego packarda, boś go zdarł do bólu. Ale wiesz co? Pamiętasz smarka, co zwędził ci tego forda coupe z parkingu? Widziałem go przedwczoraj. Jechał nowym oldsem. — Szczerząc zęby do Harmana, rzekł: — Muszę ci o tym opowiedzieć, Harman. Al miał takiego poobijanego forda coupe, którym poprzedni właściciel woził worki z cementem i drewno.

To jeden z tych praktycznych wozów. Dostał go poobijanego i brudnego... Ile za niego dałeś, Al?

Jakieś siedemdziesiąt dolców. Tak czy inaczej, chciał go sprzedać. Zabrał go do samochodowego salonu piękności — ja bym go nawet nie tknął. Wiedział, w jakim jest stanie, ale

kazał im go przemaalować. Kosztowało go to trzydzieści dolicz. A potem starał się namówić mnie, żebym połączył mu mechanikę. Ale to było na nic: uszczelki były przetarte na amen, wszystko w nim ciekło.

Jednak Al bardzo chciał go puścić. Wystawił go u siebie z tabliczką. Czy nie dałeś przypadkiem nawet ogłoszenia w „Tribune”? Wszystkim, którzy pojawiali się na parkingu, starał się wciskać ten złom, ale nikt nie był zainteresowany. A więc nasz stary Al wkładał w niego coraz więcej pracy i pieniędzy. Zabrał go do jakiegoś warsztatu i wszedł z nimi w układ: mieli wymienić uszczelki i przeszlifować zawory. To musiało go kosztować kolejne pięćdziesiąt dolicz. Już włożył w niego dwie stówy. Ale wciąż nie mógł go sprzedać. Zmienił więc tapicerkę na fotelach. Nie sprzedawał się. Więc... — Stary zamilkł na chwilę. — Myślę, że chyba nawet kupił do niego nowe opony. I wiecie, co się stało? Ten smarkacz ukradł go i rozwalił. Nic z wózka nie zostało. Kupa złomu. I ile wyciągnąłeś w końcu za niego, Al? Dychę na złomowisku? — Mrugnął do Millera.

— We łbie ci się pomieszało — powiedział Al. — Nie było takiego samochodu.

— Co ty gadasz, że nie było — stary zająknął się i zamrugał. Opierając się w fotelu tak, by widzieć Ala, Chris Harman przyglądał mu się badawczo dłuższą chwilę, ale nic nie powiedział. Al wstał.

— Przepraszam na moment — rzekł.

— O co chodzi, Al? — zapytał Harman swym układnym głosem.

— Muszę iść do łazienki.

— Idź wzdłuż korytarza — powiedział po chwili Harman tym samym tonem. — Drugie drzwi na prawo. Za obrazem.

— Za Renoirem — dodał Bob Ross, w gryzając się w ustnik fajki.

— Dzięki, Chris — powiedział Al i ruszył korytarzem. Zamknął już drzwi i zasunął zasuwkę, ale wciąż słyszał głos starego. Nawet tutaj, pomyślał. Rozpiął spodnie, zsunął je i usiadł na sedesie.

Ten dźwięk ciągle do niego docierał, pokonując odgłosy, które sam wydawał.

Przez dłuższy czas Al nie robił nic konkretnego. Po prostu siedział ze splecionymi dłońmi, lekko zgarbiony, w wygodnej pozycji. Nie myślał o niczym, stracił też poczucie czasu — głos starego zlał się w jeden nieprzerwany strumień dźwięku, w którym nie można było rozpoznać poszczególnych słów.

Aż podskoczył, kiedy usłyszał stukanie. Usiadł prosto.

— Jak długo jeszcze będziesz tam tkwił? — zapytał cichym, ostrym głosem Harman, stojąc przy drzwiach.

— Nie wiem. Wiesz, jak to jest — odparł. Czekał, ale Harman nie skomentował tego. Al nawet nie był w stanie powiedzieć, czy jeszcze stoi za drzwiami. — Czy to jedyna toaleta w domu? — zapytał.

— Wracaj do nas — rzekł Harman tym samym napiętym, zdradzającym zdenerwowanie głosem.

— Po co? — zapytał Al. — Nie zamierzam kwestionować twojej rozległej wiedzy i doświadczenia w tej dziedzinie, Chris, ale czasami to długo trwa. — Znów czekał. Harman nic nie powiedział. W końcu Miller usłyszał, jak odchodzi.

— Ej, Al! — Stary krzyknął tak głośno, że Al aż podskoczył. Ponownie rozległo się stukanie do drzwi, tym razem tak głośne, że widać było, jak zadrżały. Stukał stary. — Ej! — krzyknął. Gałka przekreśliła się i zagrzecotała. — Złaż z kibla. Mamy sporo pracy, kumpelku mój. Chcesz tu siedzieć cały dzień?

— Wyjdę za chwilę — powiedział Al, wpatrując się w kafelek pod prysznicem.

— Czy ty tam przypadkiem nie bawisz się ptaszkiem, Al? — spytał stary z głową przy drzwiach.

— Wyjdę za chwilę — powtórzył Al.

Fergesson odszedł. Znów zaczął perorować w salonie. Później zaległa cisza.

— Słuchaj. — Głos starego kolejny raz rozległ się przy drzwiach łazienki. — Słyszysz mnie, Al?

— Taa.

— Jedziemy do mojej ulubionej restauracji na lunch — powiedział stary. — Tam pomówimy o interesach. Więc albo wyliziesz, albo cię tu zostawimy.

— Wyjdę — powiedział Al.

— Jedziemy mercedesem — oznajmił stary. — Posłuchaj, Al. Możesz prowadzić. Chris mówi, że chciałby, żebyś poprowadził.

— Dobra.

— Ale wyjdiesz?

Al wstał z sedesu i splukał po sobie. Stary coś powiedział, ale szum wody zagłuszył jego słowa. Kiedy otworzył drzwi, zastał Fergessona przed łazienką.

— Nigdy nie mogę się porządnie załatwić — powiedział Al. Rozgorączkowany stary poklepał go po plecach w drodze do salonu.

— Postawię ci lunch — rzekł. — Dziś ja stawiam.

— Dobra — odparł Al.

Harman obdarzył go spojrzeniem bez wyrazu. Kiedy Al siedział w łazience, włożył czarną włoską koszulę polo, spodnie i buty na słoninie. Był gotowy.

— Mam nadzieję, że zmieścimy się w mercedesie — powiedział, idąc przodem.

— Jak nie — rzekł Al — to jeden z nas może pojechać w pół — ciężarówce.

— To miał być taki żart?

— Nie — odparł Miller.

Tego Harman już nie skomentował. Zeszli po kilku schodkach do garażu, w którym stał mercedes. Harman wyciągnął kluczyki, otworzył auto i przytrzymał drzwi, by stary mógł wejść.

— Al ma starego marmona — powiedział Fergesson, kiedy usadowił się już na czarnym skórzanym fotelu z tyłu i położył dłonie na kolanach. — Prawda, Al? Całe szesnaście cylindrów.

— Naprawdę? — mruknął Harman, kiedy już wsiedli do wozu z Rossem. — To musi być piękna maszyna. Prawdziwy okaz kolekcjonerski. Masz. — Podał Alowi kluczyki.

— Nie mogę prowadzić — powiedział Al.

— Dlaczego nie? — zapytał Harman spokojnie.

— Straciłem prawko — odparł Al.

Po chwili milczenia odezwał się stary.

— Ej, Al. Psujesz nam zabawę. Zawsze masz taką skwaszoną minę i nosisz nos na kwintę. — A do Harmana powiedział: — Zawsze jest taki. Ma za złe całemu światu, że się urodził.

— Tak naprawdę to nie straciłem prawka — rzekł Al. — Po prostu nie mam ochoty prowadzić.

— A nie mówiłem? — odezwał się stary. Oddychał gwałtownie i przyciskał mocno dłoń do marynarki. Na jego twarzy zagościła maska bezruchu. Cedząc słowa tak, jakby z trudem opanowywał ból, powiedział: — Znalazłem się na jego czarnej liście, bo sprzedałem warsztat.

Chciał, żebym go utrzymywał i wspierał do końca jego życia. — Zamilkł i się skrzywił. — Żebym naprawiał mu te jego wraki.

Harman siedział w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiał, i skubał wargi. Nie wydawał się zbity z tropu ani zagubiony — rozważał coś, spoglądając przez chwilę to na starego, to na Ala, a potem otworzył z rozmachem drzwi samochodu i wysiadł.

— Nie ma sprawy — powiedział. — Pani Harman z przyjemnością nam coś przygotowuje.

Dokończymy w domu.

— Bardzo... bardzo bym nie chciał sprawiać jej kłopotów — rzekł stary pełnym napięcia głosem, wciąż siedząc w mercedesie.

— Moglibyśmy nawet zamówić coś z dostawą do domu — odezwał się Ross. On również wysiadł z samochodu. W końcu stary, trzymając się kurczowo drzwi, też wysiadł. Jedyne Al pozostał w środku.

— To przecież żaden kłopot — stwierdził Miller.

— Co takiego? — zapytał Harman.

— Powiedziałem, że to żaden kłopot — powtórzył Al, wychodząc wreszcie z wozu. — Jestem głodny. Czas coś zjeść. Powiedz jej, żeby się ruszyła i zrobiła coś, że palce lizać.

— Jasne — rzekł stary, dysząc ciężko. — Nie byłbyś w stanie zrobić niczego dla nikogo, czekasz tylko, aż ktoś coś zrobi dla ciebie. — A do Harmana powiedział: — No proszę, czy to nie prawdziwy pokaz, do czego zdolna jest ludzka natura? Mówię ci, zabawne to wszystko. Ten facet powinien być mi wdzięczny do grobowej deski. Przecież dostał doskonałą stawkę za wynajęcie tego atrakcyjnego terenu. Dlatego się dąsa. — Wie, że już nikt nigdy nie będzie rozwiązywał za niego problemów, tak jak ja to robiłem. — Wracając do domu, rzucił przez ramię: — Nie pojmuję, dlaczego w ogóle zatrudniasz kogoś takiego. Naprawdę robisz wielki błąd.

Kiedy weszli do jadalni, Harman odciągnął Ala na stronę.

— Chodzi o tę waszą wzajemną wrogość — powiedział. — Nie mam najmniejszej ochoty mieszać się w czyjeś problemy osobiste, ale powinieneś mi chociaż zasugerować, że coś takiego może się przytrafić. Nie sądzisz? Chociażby ze względów praktycznych.

— Może i tak — odparł Al.

— Tak czy inaczej, powinieneś pamiętać, że to starszy człowiek. I do tego poważnie chory.

Oczywiście nie mnie dawać tobie rady.

— Jest coś w tym — powiedział Al.

— Myślę, że to dobra zasada — powiedział Harman — żeby rozdzielać życie osobiste i zawodowe. Nie może mi się w głowie pomieścić, że podszczypujecie się w naszej obecności. A teraz spróbujmy zachowywać się w cywilizowany sposób, a później...

— Nic z tego, Chris — rzekł Al.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Harman po krótkiej przerwie.

— Wszystko się wydało — powiedział Al.

Harman przyglądał mu się uważnie dłuższą chwilę. Pojawił się Ross, ale Harman odesłał go jednym gestem. Stary w drugim końcu jadalni zagadywał panią Harman na tematy kulinarne; jego głos było słycać w całym pomieszczeniu. Wydawało się, że odzyskał większość swej energii.

— To my zadzwoniliśmy do ciebie — powiedział Al.

— O jakim telefonie mówisz? — zapytał Harman. Czoło zbierało mu jak kreda. Al zauważył, że nie widać na nim ani jednego włosa; było wypolerowane i gładkie jak pupa niemowlęcia.

Błyszczalo. — Miller — powiedział — czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zaczynam myśleć o tobie? Jesteś kiciarz pierwszej wody. Powinieneś być uważać od samego początku. Wciskasz mi ciemnotę, od kiedy się u mnie pojawiłeś. — Nie wydawał się tym szczególnie przejęty, panował nad głosem.

— Ten kolorowy facet, który zadzwonił i pytał cię o nagranie *Mała Ewa*. Pamiętasz? — ciągnął Al.

Głowa Harmana poruszyła się w dół i w górę.

— Zareagowałeś — powiedział Al — jakbyś mu chciał sprzedać kilka paczek. Ale nie daliśmy się nabrać. Trochę to trwało, Chris, ale zrobiliśmy to.

— Co?

— Dostaliśmy się do środka — odparł Al. — Spenetrowaliśmy twoją firmę. Miałeś rację. Już jesteśmy w środku. — Zamilkł na chwilę. — Prawda, Chris?

W oczach Harmana wciąż nie było widać żadnej reakcji. Było tak, pomyślał Miller, jakby facet w ogóle nie słyszał, co on powiedział. Ani jednego słowa.

— A on — rzekł Al, wskazując starego. — Do niego też dotarliśmy. Słyszałeś, co powiedział.

O

tym liście.

Harman odwrócił się i wolnym krokiem ruszył przed siebie. Podszedł do Rossa, pani Harman i starego.

— Nie umkniesz nam — powiedział Al.

Harman nawet nie drgnął. Ale stary przerwał swój słowotok. W pokoju zaległa cisza. Wszyscy

— stary, Bob Ross i pani Harman — wpatrywali się w Ala.

— Obserwowaliśmy twoje działania od dawna — oznajmił Miller. — Mówiąc ogólnie, odkryliśmy, że niezły z ciebie kombinator. Zainteresowaliśmy się tobą. Ale nawet to, co dobre, nie może trwać wiecznie. A ty miałeś tego dobrego aż w nadmiarze. Prawda, Chris? Teraz jest odpowiedni moment. — Wszedł z jadalni do przedpokoju. — Teraz będziemy kapować na całego.

Na was wszystkich.

Wykręcił numer, obserwując cały czas mężczyzn i kobiety. Pozostali na swoich miejscach w jadalni. Harman coś do nich mówił. Al nie wylał, o co chodziło. Nawet nie próbował.

W słuchawce coś zachrobotać i w uchu Ala zadźwięczał kobiecy głos.

— Dzień dobry. — Ciepły, znany, uspokajający głos. — Lane Realty. Mówi pani Lane.

— Mówi Al — rzekł Miller.

Zgromadzeni w jadalni przerwali rozmowę. Dźwięk ich konwersacji rozproszył się w ciszy.

— A tak — powiedziała pani Lane. — Jak się pan dzisiaj czuje, panie Miller? Zastanawiałam się, jak sobie pan radzi. Tak w ogóle to nieco niepokoiłam się o pana, ale jak sądzę, wie pan, co robi.

— Mogłaby pani przyjechać tu po mnie? — zapytał Al.

— Ja... nie jest pan na swoim parkingu, tyle wiem — odparła z wahaniem. — Widzę go z okna.

Gdzie pan jest?

— Nie wziąłem samochodu — powiedział. — Jestem w Piedmoncie. — Podał jej adres. — Bardzo będę pani wdzięczny — dodał.

— Dobrze — odparła. — Z pańskiego tonu wnoszę, że coś się stało. Wiem, że inaczej nie zadzwoniłby pan do mnie. Dobrze, panie Miller. W tamtej okolicy nie ma żadnych zakazów, więc jak sądzę, mogę się tam zjawić. Będę. Tak szybko jak się da. Mam zatrzeć czy...

— Nie — rzekł. — Proszę podjechać pod drzwi, jeśli pani taka łaskawa.

— Wsiądę z samochodu — powiedziała pani Lane — ale nigdzie się nie ruszę. Będzie musiał pan przyjść do mnie. Na razie. — Odwiesiła słuchawkę.

Odłożył swoją na widełki i ponownie zjawił się w jadalni. Cała czwórka obserwowała w ciszy, jak się do nich zbliża.

— No i już — powiedział.

— Chris, czy dzieje się coś niedobrego? — zapytała pani Harman, załamując ręce. Podeszła do męża.

Bob Ross znów zapalił fajkę. Wydawał się całkowicie zdezorientowany — zaczął coś mówić, ale tylko mruknął i zamilkł. Być może, pomyślał Al, było tego za dużo jak na niego.

— Chcesz robić interesy? — zapytał Al Harmana. — Ze mną?

— Posłuchaj, Al — rzekł stary skrzekliwie — zazdrościsz mi i chciałbym, żebyś sobie stąd poszedł do wszystkich diabłów. Mam rację? Robisz to przez złośliwość? — On również nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Przyciskał dłoń do piersi, po czym jego ręka zanurkowała do wewnętrznej kieszeni. Wyciągnął kopertę, a z niej książeczkę czekową i wyciąg. Przyjrzał im się, poruszając tylko ustami. — Wiesz, co tu mam? — zapytał Ala. — A chcesz wiedzieć? No to posłuchaj. — Głowa trzęsa mu się w górę i w dół. Przełknął ślinę i odkaslnął.

— Ten wyciąg jest sfalszowany — stwierdził Al. Wszyscy stanęli jak wryci z utkwionym w niego wzrokiem.

— Wiedziałaś? — zapytał Al Harmana. — Też się dałeś na to nabrać? Boże, on mnie nabrał na ten numer lata temu, kiedy zaczęliśmy robić razem interesy. Widziałem ostatnio ten świstek w 1949. Jedenaście lat temu. Wykorzystuje go, żeby dostać kredyt, wymachuje nim na prawo i lewo.

Tak jak teraz. Żeby wydusić coś od ciebie.

Bob Ross wybuchnął śmiechem.

— Co w tym takiego zabawnego, Bob? — spytał Harman, obróciwszy gwałtownie głowę.

— Po prostu nie mogłem się powstrzymać — odparł Ross. I znów się zaśmiał. — Nie śmieję się z ciebie — powiedział, choć najwyraźniej tak było, i przeszedł do drugiego pokoju. Wciąż dobiegał ich stamtąd jego głośny śmiech.

Harman uśmiechnął się półgębkiem.

— Może mu odwalilo — rzekł Al, wskazując głową starego. — Zastanawiałem się nad tym.

Może jemu naprawdę wydaje się, że ma te wszystkie pieniądze. Tylko to mu zostało po tym jego warsztacie. Zbankrutował. Przejęli mu biznes. Dlatego postanowił przejść na emeryturę. Nie dostał za to złamanego grosza. Prawda jest taka, że jest winien swemu szwagrowi siedem tysięcy, a mnie pięć stów. Zadłużył się po uszy.

— Cóż, nie musimy się tym teraz zajmować — stwierdził po chwili obojętnie Harman i ruszył w stronę kuchni. — Może wypijemy jeszcze kolejkę, a potem zjemy lunch. — Zwrócił się do żony. — Co byś powiedziała na kanapki z opiekaną szynką i kawę? I może jeszcze zrobiłabyś jakąś sałatkę?

— A do Ala powiedział: — Mamy dobry francuski chleb.

Kiedy pani Harman, mijając go, poszła do kuchni, Harman uśmiechnął się do Millera. Odzyskał równowagę. A może przynajmniej udawał równowagę. To szczwany lis, powiedział do siebie Al.

Wie, że można to sprawdzić w pół godziny. Wystarczy, że podzwoni po swoich znajomych w bankach, i będzie wiedział wszystko o sytuacji finansowej starego. Nie będzie marnował czasu na pustostowie. Słowa w takiej sytuacji nic nie znaczą.

Prawie go miałem, uświadomił sobie Al Miller. Prawie go przycisnąłem w starciu na słowa. Ale on wie na ten temat zbyt wiele. Wie, że słowa to nic.

Stary nie odzywał się. Stał tylko, wciąż trzymając wydruk. W końcu schował go do kieszeni i wyszedł z jadalni, wracając do frontowej części domu. Al ruszył za nim. Kiedy wszedł do salonu, zobaczył, że stary ponownie wyciągnął kartkę, popatrzył na nią i schował do kieszeni marynarki.

— A pierdol się — powiedział Fergesson na jego widok.

— Ty też — odparł Al. Zamilkli obaj.

Nie ma sensu mu mówić, że ocaliłem jego pieniądze, powiedział w duchu Al, bo i tak stary miałby to gdzieś. I do tego niczego nie ocaliłem, bo jutro czy jeszcze dzisiaj wieczorem, a może za

tydzień i tak przekaże je Harmanowi. Więc nie ma to znaczenia. Ale, pomyślał, przynajmniej nie musiałem na to wszystko patrzeć.

— To ładny dom — powiedział stary schrypniętym głosem.

— Taa — odparł Al.

— Kosztował pewnie z siedemdziesiąt pięć tysięcy — dodał Fergesson.

— Bo ja wiem — rzekł Al. — Tynk zaczyna pękać. Myślę, że woda dostała się pod spód.

Trochę wody i tynk się rozpada.

Harman odezwał się zza ich pleców.

— Żadna woda nie dostała się pod tynk w tym domu. Mogę panów o tym solennie zapewnić.

— Al zna się na wszystkim — wymamrotał stary. — Nie ma sensu się z nim kłócić. To znany besserwisser.

— Najwyraźniej — powiedział Harman. — Cóż, dla takich też jest miejsce na świecie. Każda umiejętność jest pożądana, pod warunkiem że znajdzie właściwe zastosowanie. — Posłał Alowi przyjazny uśmiech.

Nie żywi urazy, pomyślał Miller. Ten człowiek może sobie pozwolić na wielkoduszność, bo wie równie dobrze jak ja, że nawet jeśli dzisiaj czegoś nie dostał, to i tak dostanie to najpóźniej jutro. I wie też, że wyczerpałem cały zapas sił i środków — zrzuciłem maskę w świetle reflektorów, opadł mi listek figowy i nie uzyskałem niczego. Wystrzelałem całą amunicję. Nawet jeśli coś mu groziło z mojej strony, to już po chwili prosił żonę o przygotowanie kanapek z opiekaną szynką i kawy. W

tym właśnie momencie odzyskał panowanie nad sytuacją i już nie wypuścił wodzy z ręki.

— A może dałbyś mi podwyżkę? — zapytał. Zaskoczony Harman aż podskoczył.

— Za... — Zacukał się i zaczerwienił.

— Myślę, że jestem więcej wart, niż mam dostać — powiedział Al.

— Zobaczymy — wymamrotał odruchowo Harman; najwyraźniej nie miał innej odpowiedzi w zanadrzu. Ale pozbierał się. — Chyba jednak nie — rzekł. — To całkowicie wykluczone.

— No to rzucam tę robotę — stwierdził Al.

Na to Harman nie miał już żadnej odpowiedzi.

Sprzed domu dobiegł ich dźwięk klaksonu samochodowego.

— No to na razie — powiedział Al.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Tam, na chodniku, obok swego ciemnobrązowego cadillaca stała w długim, ciężkim płaszczu pani Lane i spoglądała na dom Harmana. Związała włosy jedwabną chustką — nie miała czasu starannie się ubrać, jak to zwykle robiła. Zobaczyła go i pomachała mu. Odwzajemnił się tym samym i ruszył do drzwi.

Pani Harman, wychodząc z kuchni, powiedziała pośpiesznie:

— Miło było pana poznać, panie... — Jej głos ucichł.

W rogu stał Bob Ross i palił fajkę. Nic nie mówił, tylko spoglądał po wszystkich ironicznym wzrokiem.

Harman podszedł do okna i spojrzał przez nie. Zaczął coś mówić, pewnie jakieś słowa na pożegnanie Ala. Jednak wtedy rozpoznał panią Lane.

— Spotkamy się, Harman — powiedział do niego Al. — Znów. Otworzył drzwi i wyszedł na werandę. Chwilę później szedł już po kamiennej ścieżce w stronę cadillaca. Nie odwrócił się.

Pewnie w tym momencie przepisuje mu już te swoje pieniądze, pomyślał. Kiedy jeszcze nie zniknąłem im z pola widzenia. Ale nie mógł nic na to poradzić, więc kroczył dalej w stronę zaparkowanego wozu. Pani Lane wróciła za kierownicę i kiedy tylko otworzył drzwi i usiadł,



cadillac ruszył.

— Wiem, czyj to jest dom — powiedziała po chwili.

— Tak — odparł Al.

— Al Miller, znany wariat. Wychodzi sobie z tego domu jak gdyby nigdy nic. Zna pan kogoś takiego?

— Nie.

— Załatwił pan wszystko? — zapytała. — Cokolwiek miał pan załatwić. Poszło po pańskiej myśli?

Nie odezwał się.

— Czyli nie poszło — skwitowała.

— Nie — potwierdził.

— Szkoda — odparła. — To naprawdę niedobrze. Ale tak czy inaczej, wyszedł pan stamtąd. To już coś.

— Mam taką nadzieję — rzekł Al.

— Tylko niech pan tam nie wraca. Proszę mi to obiecać, panie Miller. Między nami, drobnymi przedsiębiorcami z zachodniego Oakland.

Nic nie powiedział.

— Bo inaczej — stwierdziła — w końcu pan za to zapłaci.

— Może i tak.

— Ja to wiem. — Pani Lane nie miała wątpliwości.

Jechali tak, aż znaleźli się w strefie biznesowej na Broadwayu.

— Dokąd pana zawieźć, panie Miller? — zapytała pani Lane. Jej głos nieco złagodniał. — Na parking? Do domu?

— Chcę pojechać do domu.

Zawiozła go pod szary, dwupiętrowy drewniany budynek, w którym mieszkał.

— Dzięki — powiedział, kiedy wysiadł już z samochodu. Czuł się zmęczony i przybity.

— Niech pan dobrze odpocznie — poradziła mu. — A jutro spojrz pan na wszystko innym okiem.

Poszedł schodami do swego mieszkania, zbyt zmęczony nawet, by się pożegnać.

\* \* \*

Tej nocy, bardzo już późno, obudziła go żona, popychając z całej siły i krzyząc mu wprost do ucha. Wziął dwa fenobarbitale, dlatego dużo czasu upłynęło, zanim się w pełni obudził; usiadł na łóżku, opierając się o ścianę, i pocierał sobie czoło.

— Nie słyszałeś telefonu? — zapytała głośno Julie.

— Nie — odparł.

— Ani jak rozmawiałam? I usiłowałam cię zbudzić, żebyś z nią pomówił?

— Z kim?

— Z Lydią.

— Umarł — powiedział Al. — Czy tak? — Wstał z łóżka i poszedł do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą.

Mył twarz, a Julie usiadła na brzegu wanny; miała na sobie szlafrok oraz kapcie i wyglądało na to, że jest całkowicie przytomna i do tego trzeźwo myśli.

— Miał paskudny zawal serca około wpół do jedenastej — powiedziała. — Zawieźli go na sygnale do Alta Bates Hospital i wsadzili pod namiot tlenowy. Zmarł, zdaje mi się, koło trzeciej.

Teraz jest piąta.

— Piąta — powtórzył Al, wycierając twarz.

— Lydia mówiła, że to dlatego, że wypisał jakiś olbrzymi czek. Powiedział jej, kiedy wrócił do domu koło szóstej.

— A więc jednak go wypisał.

— Klócili się o to — dodała Julie — ale w końcu zauważyła, że jest nienaturalnie zmęczony, więc nie starała się mu dłużej niczego przetłumaczyć, tylko zaprowadziła go do łóżka. Około dziewiątej. Poszedł od razu spać i spał sobie smacznie. Aż do ataku.

— Może wstrzymać realizację czeku — powiedział Al. — Wiem, że ten łajdak nie zdążył wypłacić forsy. — Ale nie wiedział, miał jedynie nadzieję.

— Tak właśnie powiedziała — odparła Julie. — Ma zamiar go zakwestionować, tak mówiła.

Najwyraźniej była to jakaś straszna kwota. Całe ich pieniądze. Dziesiątki tysięcy.

— No i dobrze — skwitował Miller.

— Nie wydajesz się tym specjalnie przejęty — zauważyła Julie.

— Ni cholery — odparł. — Wszyscy wiedzieliśmy, że do tego dojdzie.

— Lydia chciałaby, żebyś spotkał się z nią w biurze jej mecenasa o wpół do ósmej. Błagała mnie, żebyś tam przyjechał.

— O wpół do ósmej? — upewnił się Al.

— Tak. Żeby była pewność, że uda się powstrzymać wypłatę.

— Chryste — rzucił, wracając do łóżka.

— I zrobisz to — powiedziała Julie, idąc za nim. — Musisz, ze wszystkimi konsekwencjami.

Musi mieć się na kim oprzeć. Szkoda, że z nią nie porozmawiałeś. Poczłaby się lepiej, a ty byś więcej zrozumiał. To naprawdę straszne. Byli małżeństwem prawie trzydzieści pięć lat.

Al wszedł do łóżka i naciągnął kołdrę na głowę.

O wpół do ósmej rano Al Miller pojawił się pod podanym adresem. Był to biurowiec na Shattuck Avenue, a przed budynkiem stała Lydia Fergesson w towarzystwie krągłego, łysego mężczyzny z aktówką i w staromodnym dwurzędowym garniturze. Lydia przedstawiła go jako Borisa Tsarnasa, swego prawnika. Sama była ubrana tak jak zwykle, nie włożyła niczego specjalnego na tę okazję.

Kiedy tylko go spostrzegła, ruszyła pospiesznie w jego stronę, wołając:

— Ten mężczyzna, ten kryminalista, który dostał czek. Jak się nazywa? Musimy to od razu wiedzieć.

Prawnik wyjaśnił, że o ósmej będzie mógł się połączyć z jakąś personą z Bank of America. Jeśli nie zaksięgowano jeszcze czeku, będzie można go zakwestionować, nawet jeśli ktoś podjął pieniądze, na przykład w innym oddziale banku. Mówił bardzo szybko i z monotonnym akcentem.

Al doszedł do wniosku, że też jest Grekiem, a już na pewno pochodzi z Bałkanów.

— Jeśli jest to legalna inwestycja — powiedział Tsarnas — to ten pan Harman może wymusić płatność. Ale jeśli jest oszustem, tak jak to pan i pani Fergesson sugerujecie, nie odważy się pójść z tym do sądu. Będzie wiedział, co robić. Prawdopodobnie nie ma pojęcia, pani Fergesson, że pani mąż zmarł w nocy, więc mamy przynajmniej pół dnia na działanie i ewentualnie zamknięcie konta.

Było to konto wspólne, z którego dokonywało się również firmowych przelewów, czy tak?

— Tak — odparła Lydia.

Od Ala prawnik wyciągnął informacje na temat interesów Harmana, jego posiadłości i okoliczności, w których wystawiono czek. Wydawał się zadowolony, a jednak cały czas zachowywał dziwnie neutralny stosunek do tego wszystkiego. W końcu Al uświadomił sobie, że był również prawnikiem Fergessona, więc jeśli inwestycja była uczciwa, zależało mu, żeby czek został zrealizowany. Przyjął abstrakcyjne spojrzenie na całą sprawę: dla niego nie liczyły się zaangażowane w nią osoby, a jedynie kwestie prawne. Al był zadziwiony taką postawą.

Mało kto wstawał o tej porze — ledwo kilka wozów przejechało Shattuck Avenue. Panował chłód. Wszystkie sklepy były jeszcze pozamykane. Al zauważył, że pali się jeszcze wiele neonów.

Wyglądały niezwykle blado w porannym świetle.

— I co teraz? — zapytał Lydię, kiedy prawnik w końcu odjechał. Zostali razem na chodniku.

— Mam tyle spraw na głowie — odparła. Wszystko wydaje mi się jednym koszmarnym snem.

Bardzo był mi pan pomocny, panie Miller. Boris ma testament. Znam jego treść. Jednak musi zostać formalnie odczytany. Nie ma w nim pańskiego nazwiska.

— Chyba jakoś to przeżyję — rzekł Al. — A pani nazwisko tam jest?

— Takie są wymogi prawa — powiedziała Lydia stanowczym głosem, takim samym, jakim mówiła cały ranek.

— To musiała być dopiero niespodzianka — powiedział Al.

— Dobrze się złożyło, że umarł teraz — stwierdziła Lydia — bo nawet dzień później nie dałoby się wstrzymać czeku.

Jej rzeczowość przytłoczyła go. Jakby widział w niej wieśniaczkę wyłaniającą się zza maski kultury i wykształcenia. Tę samą przyziemną praktyczność dostrzegał u starego — byli jak spod jednej sztancy. Ale ostatecznie nie zaliczył jej do niegodziwców. Wszystko to wydawało się całkowicie naturalne. Nawet, pomyślał, stary chyba zasłużył sobie na to.

— To indywidualum, które dostało czek, ten cały Chris Harman będzie się starał panu zaszkodzić z powodu tego, co pan dla mnie zrobił — powiedziała Lydia, odprowadzając Ala do samochodu.

Wzruszył ramionami.

— Może i tak.

— Nie martwi się pan tym?

Nie wiedział, czy się martwi. Było zdecydowanie za wcześnie, by się martwić. Nie o tej porze.

— Może pan liczyć na moją wdzięczność — powiedziała Lydia. — Wiem, że w obecnej, trudnej do przewidzenia sytuacji jestem w stanie odwdziaczyć się panu za to, co pan zrobił.

Al nic na to nie powiedział. Poklepała go po ramieniu.

— Niech pan będzie dobrej myśli.

— Niby dlaczego?

— Jedynie Bóg wie dlaczego — odparła Lydia i ruszyła w stronę czekającej na nią taksówki.

Teraz jeszcze jestem bez pracy, powiedział do siebie, gramoląc się do samochodu, chevroleta z komis. Nie mam nic. Stary nie żyje i nie figuruję w testamencie... nie żebym się tego spodziewał czy w ogóle dopuszczał do siebie taką myśl. W firmie Harmana jestem skończony. Mój komis bez wątpienia splajtuję, i to nie za dwa miesiące, ale już teraz. Do czasu uprawomocnienia się testamentu wszystkie ruchomości i nieruchomości starego zajmie sąd. A parking należał do niego, jest częścią warsztatu. Oczywiście, kiedy sądy się temu przyjrzą, dojdą do wniosku, że został legalnie sprzedany. Ale to zajmie sporo czasu.

Chyba ja go zabiłem, uświadomił sobie. Dopadłem go wczoraj, w domu Harmana. Kiedy powiedziałem, że ma sfalszowany wyciąg. Jednak minęło nieco czasu, zanim to do niego dotarło.

Dzięki Bogu, nie padł od razu na podłogę. Dzięki Bogu, że maszyna jeszcze trochę podziałała, pewnie bardziej z przyzwyczajenia niż z chęci.

— Zawsze się obawiał, że przygniecie go samochód w warsztacie, pomyślał Al. Tego właśnie oczekiwał od losu. Ale wyszło zupełnie inaczej. Został rozszarpany przez klucz drapieżnych słów.

Moich słów.

Włączył silnik i odjechał w poszukiwaniu kawiarni, w której mógłby zjeść śniadanie.

\* \* \*

Na Sacramento Avenue odnalazł znajome bistro i zamówił tam śniadanie. Większość klienteli stanowili mężczyźni — czytali artykuły z działu sportowego „Chronicie”, pili kawę i zajadali pieczone ziemniaki z jajkami na bekonie. Było tu ciepło, a pogodne, żółte światło dodało Alowi animuszu. Czuł się mniej samotny. Kiedy jadł, jakiś Murzyn, jeden z klientów, przysiadł się do niego.

— Czy nie pan Miller? — zapytał.

Al znał go z widzenia — facet odwiedził kilkakrotnie jego komis. Dlatego pokiwał głową.

— Doktor pana szuka — powiedział Murzyn.

— Jaki doktor?

— Doktor Do — odparł mężczyzna, zsunął się z taboretu i wymknął z kawiarni.

Po śniadaniu Al poszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer Tootiego.

— Cześć, stary — zadudnił Tootie, kiedy rozpoznał już głos Ala. — Szukają cię.

— Kto?

— Takie karki. I nie myśl, że chcą sobie z tobą w bierki pograć.

— Mooowa — rzucił Al, przechodząc automatycznie na dialekt.

— Lepiej tak nie mów — powiedział Tootie. — Wbij sobie do tej zakutej pały, żeś wpadł jak śliwka w szambo.

— Wiesz, kto to taki?

— Nie mam pojęcia. Po prostu słyszałem, że chcą cię dopaść. Wykołowałeś ich na czymś? Bądź ze mną szczery. Nie ganiają za tobą za psi interes.

— Nie mam bladego pojęcia — odparł Al.

— Słyszałem tylko, żeś posłał kogoś do piachu — rzekł Tootie.

— Jaja sobie robisz.

— I że stracili przez to kupę szmalu. Ktoś mówił, że popłynęli na tym biznesie jakieś sto patyków.

— Nic nie wiem o żadnych stu patykach — powiedział rozzłoszczony Al, wbrew sobie łapiąc się na gadaninę Tootiego.

— No to co zrobisz? — zapytał Dolittle.

— Nic — odparł Al.

— Lepiej spraw sobie gnata i się przyczaj.

— Pierdoły.

— No, ale pamiętaj, dałem ci cynk — powiedział Tootie. — Słyszałem już nieraz o takich akcjach i prawie zawsze była to prawda. Myślę, że czy kumasz to czy nie, zadarłeś z kimś dużym.

— Dobra — rzekł Al. Już chciał odłożyć słuchawkę.

— Słyszę, że wciąż się bujasz po parafii — powiedział Tootie. — Ręka cię świerzbi, żeby odłożyć słuchawkę.

— Pójdę do biura prokuratora okręgowego — powiedział Al. — I powiem im wszystko, co wiem. Nie ruszą mnie.

— A kogoś utrupił? — zapytał Tootie.

— Nie wiem.

— Jasne, że wiesz.

— Jednego takiego, co mi na odcisk nadepnął.

— Ty przygłupie — rzucił Tootie. — No to ja się rozłączam. — Stuknęło coś w głośniku. Po chwili Al odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki.

Dobrze, że mnie ostrzegł, powiedział do siebie. Może ma rację, pomyślał. Powiniennem kupić spluwę i ukryć się na jakiś czas. Ale dokąd mam pójść? Organizacja Harmana ma moją teczkę. Są w niej wszystkie szczegóły na mój temat: wszystkie moje stare adresy, miejsce urodzenia, miejsce pracy żony, wszystko, co robiłem od podstawówki. Pewnie dadzą to w obroty jakiemuś psychologowi, który już będzie wiedział, co zrobię. Będą znali mój adres: dom, ulicę, numer pokoju. Tego właśnie może dokonać nowoczesna technologia przemysłowa. Kupił egzemplarz

„Chronicle” i ponownie usiadł przy barze. Przeglądał ogłoszenia w rubryce „Poszukiwany pracownik”. Nie było tu żadnych wartych wzmianki ofert pracy. Mógłbym zostać sprzedawcą, zdecydował. Albo serwisantem maszyn sprzedających gumy za grosik. Zaczął czytać ogłoszenia drobne, a później przeszedł do usług. Czego też ludzie nie robią, żeby się utrzymać, pomyślał.

Przyjdę do ciebie do domu i zahipnotyzuję tak, że rzucisz palenie. Albo, jak wolisz, mogę się zjawić na przyjęciu urodzinowym twoich dzieci i dać przedstawienie kukiełkowe. Ochoczo wrócił do ogłoszeń drobnych. „Polakieruj wnętrze gniazda robali”, przeczytał. „Dziękuję świętemu Judzie za uratowanie odziedziczonych mebli”. Jezu. Odłożył gazetę.

Julie pojawiła się w mieszkaniu wczesnym popołudniem. Al właśnie ucinał sobie drzemkę.

Zdziwiony jej szybszym powrotem aż usiadł. Ale zanim cokolwiek powiedział, Julie oświadczyła:

— Zostałam wylana.

I zaczęła ściągać buty oraz pończochy.

— Dlaczego? — zapytał.

— Jakiś klient zadzwonił do kierownika i powiedział, że nie wierzę w Boga. Kierownik

wezwał mnie do biura i zapytał o to. Potwierdziłam, mówiąc jednak, że nie jest to absolutnie sprawa Western Carbon and Carbide. Ale on odparł, że kwestia morale pracowników Western Carbon and Carbide jest. Dodał jeszcze, że żadna dziewczyna po studiach nie sprawdziła się u nich. Ni — gdy nie odpowiada im praca. Zawsze tylko sięją zamęt. — Odwiesiła płaszcz do szafy.

A więc Tootie miał rację. Polowali na niego.

— Słuchaj, może miałabyś ochotę wyjechać z Bay Area?

— I pojechać dokąd?

— No właśnie — powiedział. — Ale coś wymyślimy.

— W Bay Area jest mnóstwo miejsc pracy — stwierdziła Julie. Poszła do kuchni i zaczęła wkładać naczynia do zlewu. — Nie będzie najmniejszego problemu. Już zapisałam się do kilku agencji pośrednictwa pracy. Należało się tego spodziewać. Poza tym, w końcu ty masz pracę.

— Nie mam — odparł.

— Czego nie masz? — zapytała. — Co mi chcesz powiedzieć? Chcesz mi powiedzieć, że po jednym dniu już tam nie pracujesz? — Przestała zbierać naczynia z blatu i wróciła do sypialni, by stanąć z nim twarzą w twarz. — Dlaczego jesteś w domu? Nie byłeś w pracy?

— Mamy kłopoty — rzekł Al.

— Wytrzymałeś w pracy tylko jeden dzień, mam rację? — zapytała Julie. — W takiej dobrej pracy?

Pokiwał głową.

— Rzuciłeś ją?

— Tak — odparł w końcu.

— Możesz mi powiedzieć dlaczego?

— Nie wiem dlaczego — odparł. — Wiem, co się stało, ale nie wiem dlaczego. Musisz uwierzyć mi na słowo. Nie było innego wyjścia. — Stał na wprost niej z rękami w kieszeniach.

Julie splotła ciasno ramiona, jakby zrobiło się jej zimno. Jej twarz nagle wyschła, postarzała się o kilkanaście lat, a usta, nos i oczy stały się mniejsze niż w naturze. Same kości jakby się skurczyły.

Jak gdyby, pomyślał, nikła w niej esencja życia. Ulatniała się. Znikała. Rozpływała się wraz z wydychanym powietrzem. Może to i tak było tylko powietrze. Powietrze we wszystkich ludziach, które trzymało ich przy życiu.

— Rozwiodę się z tobą — oznajmiła.

Zrobił krok w jej stronę, by ją pocieszyć. Rozgrzać na tyle, by wróciła do życia. Ale odsunęła się od niego. Uniknęła jego dotyku.

— Nie ma na to czasu — powiedział. — Na takie gierki.

— Jak sądzę, teraz mnie uderzysz — stwierdziła. — Tak jak uderzyłeś tego biedaka.

— Jakiego biedaka?

— Tego pijaka, co wszedł na twój parking, a ty go uderzyłeś. Nie przypominał sobie takiego zdarzenia. Nie miał bladego pojęcia, o czym mówi.

— Zostaliśmy bez pracy — powiedział — i będziemy musieli zacząć wszystko od nowa, prawdopodobnie w drugim końcu kraju. Ale uda się nam. Wiele się nauczyłem.

— Nie — odparła. — Z nami koniec.

— Wiesz co, zawrę z tobą układ — rzekł Al po jakimś czasie. — Daj mi miesiąc. Jeśli my... — Zawahał się.

— Tak — powiedziała z goryczą. — Jeśli my nie znajdziemy jakiejś pracy. My. Nie ty.

— Jeśli nie znajdę czegoś sensownego w miesiąc, to możemy się rozstać.

— Nie mogę wchodzić z tobą w żadne układy — oznajmiła Julie. — Bo... chcesz wiedzieć

dłaczego? Potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Nie jesteś uczciwy. Nie można ci ufać. — Odsunęła się jeszcze dalej, jakby się czegoś obawiała. Jakby była przerażona jego ewentualną reakcją. Ale on nie zrobił niczego. — A teraz mnie uderz — powiedziała. — I udowodnij, jaki jesteś wiarygodny.

Jaki jesteś uczciwy.

Zadzwoił telefon.

— Niech dzwoni — powiedział Al, kiedy Julie podeszła do aparatu.

— To pewnie jedna z agencji pracy — odparła. — Do mnie. — Podniosła słuchawkę i powiedziała: „Halo”. Następnie zakryła dłonią mikrofon i spytała Ala: — Znasz kogoś o nazwisku Denkmal?

— Na Boga, nie.

— Tak czy inaczej, to do ciebie — powiedziała i wyciągnęła słuchawkę w jego stronę.

Pokręcił głową.

Julie zakryła ponownie mikrofon.

— Nie będę kłamać za ciebie — odezwała się cicho. — Od tej chwili będziesz musiał to sam robić. — Znów wyciągnęła słuchawkę w jego stronę.

Wziął ją i powiedział: „Halo”.

— Czy pan Miller? — zapytał jakiś męski głos.

— Przy telefonie.

— Eee, panie Miller nazywam się Denkmal. Jestem właścicielem zakładu fryzjerskiego. No, wie pan, po drugiej stronie ulicy. Bo, rozumie pan, widzę od siebie pana komis. Lepiej, żeby się pan tu pojawił.

Al odwiesił słuchawkę, minął Julie i wypadł z mieszkania. Zbiegł po schodach i wskoczył do chevroleta.

Kiedy zaparkował przy komisie, fryzjer w białym fartuchu przeszedł przez ulicę, mijając samochody, i stanął koło niego. Stali tak razem, patrząc na parking. Nawet nie drgnęli.

— Nie wiem, co robili — powiedział Denkmal. — Myślałem, że to klienci oglądają samochody.

— Poszli na tyły? — zapytał Al. Wszedł na parking, a fryzjer podążył za nim. Samochody w pierwszym rzędzie wydawały się w porządku.

— Coś tam kombinowali — powiedział fryzjer.

Przy marmonie, na tyłach. Wybili wszystkie szyby, pocięli opony, poszarpali tapicerkę i wytłukli szybki w zegarach na desce rozdzielczej. Miller podniósł maskę i zobaczył powyrywane kable i rozkręcone części. Zniszczyli też lakier. Pomazali go i podrapali, a młotkiem wgnietli drzwi i maskę. Reflektory sterczały powykęcane i potłuczone. Zajrzał pod spód i zobaczył kałużę wody.

Rozwalili chłodnicę.

— Niech pan lepiej zadzwoni na policję w Oakland — powiedział Denkmal. — Już go pan przecież kończył, prawda? Obserwowałem pana. Mój Boże, pracował pan nad nim całe lata.

— Skurwysyny jebane — wycedził Al przez zęby.

— Nie wyglądali mi na młodocianych przestępców. Zwykle oni dokonują aktów wandalizmu.

— Nie — rzekł Miller. — To nie były szczeniaki.

— Policja stwierdzi, że to oni — powiedział Denkmal.

Al podziękował fryzjerowi za telefon. Denkmal wrócił do swojego zakładu, a Al pozostał na parkingu. Stał plecami do zniszczonego wozu i obserwował sunący ulicą rząd samochodów.

Następnie poszedł do swojego baraku, zamknął za sobą drzwi i usiadł.

Co jeszcze mogą zrobić? — zadał sobie pytanie. Zabrali pracę mojej żonie, moją sam im

oddalem. Dopadli mojego marmona. Moze Tootie miał rację, że wbiją mi majchra albo zleją do nieprzytomności. A może zgwałcą Julie. Kto to wie? On nie wiedział. Kosztował Harmana przynajmniej czterdzieści kafli, może więcej.

Przypomniał sobie, jak jako mały urwis strzelał z broni palnej. Jedyne raz. Jego zadaniem było karmienie kur i kaczek w ich zagrodach. Poszedł tam i zobaczył, że wokół kłębią się szczury. Tato dał mu strzelbę kaliber .22, z którą usadowił się po turecku na daszku kurnika i patrzył, jak polne szczury wylazą ze swych nor. Postrzelił jednego. Trafił go w zad, tak że zakręcił się jak kółko w zegarze. Kręcił się tak przez chwilę z bezwładnymi łapami i kiedy Al myślał już, że zaraz zdechnie, rzucił się w stronę swej nory, dopadł jej i zniknął w środku.

Al starał się wyobrazić sobie, jak wyglądałby człowiek trafiony kulą. Czy kręciłby się tak samo w kółko? Nie dam rady, pomyślał. Pierdolę to. Nie kupię spluwy.

Został w komisie dłuższy czas; siedział przy biurku i rozmyślał. I wtedy zauważył kilka samochodów zaparkowanych nieopodal przy krawężniku. Drzwi warsztatu były otwarte i wyszła z niego Lydia Fergesson. A wraz z nią kilku posępnych mężczyzn w garniturach.

Lydia musiała widzieć, jak wchodzi do swego baraku, bo ruszyła na parking, żeby się przywitać.

— Panie Miller — powiedziała, otwierając drzwi — udało nam się zablokować czek. Podjęłam pieniądze i umieściłam w skrzynce depozytowej. — Mówiła, a oczy jej lśniły z radości. Miała grubą makijaż. Włożyła futrzany kołnierz, czarny płaszcz i czarne pończochy, a w dłoniach ścisnęła dużą, skórzaną torebkę. Całe jej ciało trzęsło się z napięcia, niemal uniesienia. Uniesienia bliskiemu szaleństwu.

— To dobrze — powiedział Al.

— Ciało spoczywa w stanowej kostnicy. *Qui tollis peccata mundi, miserere nobis*. No nie, panie Miller? — Położyła białą wytłaczaną wizytówkę na blacie biurka. — Ceremonia odbędzie się jutro przed południem, o jedenastej. Później zostanie skremowany.

Al skinął głową, biorąc wizytówkę.

— Chce pan zobaczyć zmarłego? — zapytała Lydia.

— Bo ja wiem — odparł. — Nie jestem zdecydowany.

— Zawsze jest problem z ubraniem — mówiła dalej. — Skontaktowano się ze mną w tej sprawie. Kupił sobie nowe krawaty, ale zdecydowałam, że powinien mieć na sobie to, co lubił najbardziej, i to, w czym wszyscy go pamiętali. Kapłan jest unitarianinem. Wie pan, jakie piosenki lubił?

— Co takiego? — zdziwił się Al.

— Zagrają na organach jego ulubione szlagiery.

— Nie, nie wiem.

— No to zagrają hymny kościelne — stwierdziła. — Ma pecha.

— Przyspieszyłem jego zgon, kłócąc się z nim w domu Harmana — powiedział Al. — Wie pani o tym?

— Czynił pan swoją powinność.

— A skąd pani może to wiedzieć?

— Zdał mi relację ze wszystkiego. Stwierdził, że starał się pan ocalić go przed nim samym.

Al wbił wzrok w blat.

— Nie miał tego panu za złe. Miller pokiwał głową.

— Proszę przyjść i zobaczyć szczątki doczesne — poprosiła Lydia.

— Dobra.



— Dzisiaj — powiedziała. — Bo jak pan dzisiaj tego nie robi, to nie będzie czego oglądać.

— Dobrze.

— Nie ma pan najmniejszego zamiaru — stwierdziła. — Dlaczego?

— Nie widzę w tym większego sensu — odparł.

— Nikt pana do niczego nie zmusi, panie Miller — powiedziała Lydia. — Tyle już o panu wiem.

Robi pan tylko to, co pan chce. Myślałam dzisiaj o panu, był pan częstym gościem w mych myślach. Zamierzam obdarować pana wystarczającą ilością pieniędzy, żeby mógł pan zacząć życie od nowa.

Spojrzał na nią całkowicie zaskoczony.

— Pańska sytuacja ekonomiczna znajduje się w opłakanym stanie — kontynuowała Lydia. — Czyż nie? Z powodu pańskiej wierności swym powinnościom. Ktoś musi pana podnieść, wkraczając w pańskie życie i zapewniając pomoc. Ktoś, kogo na to stać. Ja mam pieniądze.

Al nie wiedział, co powiedzieć.

— Myśli pan sobie, że to pański udział w łupach.

Na te słowa wybuchnął śmiechem.

— Niech pan uspokoi swoje sumienie — powiedziała. — Nie ma pan najmniejszych powodów, żeby czuć się winnym.

— Ale ja chcę się czuć winny — odparł.

— Dlaczego, panie Miller?

— Nie wiem dokładnie.

— Może chciałby pan mieć jednak udział w jego śmierci. Al nie odezwał się.

— Zamiast go odwiedzać na marach — stwierdziła. — To cały pan. Ma pan to we krwi.

Miller wzruszył ramionami, wciąż wbijając wzrok w blat.

Lydia otworzyła swoją wielką skórzaną torebkę, poszperała w niej i wyciągnęła banknot pięciodolarowy. Wcisnęła Alowi pieniądze do kieszonki koszuli. — Chciałabym, żeby kupił pan kwiaty, by wysłać je do kostnicy — powiedziała, kiedy wpatrywał się w kieszonkę.

— Kwiaty umiem kupić.

— Nie, nawet tego pan nie potrafi — odparła spokojnym głosem. — A może się mylę?

Zamawiał pan kiedyś kwiaty? Nigdy w życiu, mój młody przyjacielu. Nie chodził pan też na pogrzeby. Nie wiedziałby pan, jak się zachować. Jest na świecie tyle rzeczy, o których nie ma pan najmniejszego pojęcia, których nie umie pan załatwić. Powiedziałabym, że pan — jeśli to nie zbyt bolesne — jest barbarzyńcą.

— Barbarzyńcą — powtórzył.

— Ale ma pan odpowiednie instynkty — stwierdziła. Stała na progu i zaczęła zamykać za sobą drzwi. — Dobre instynkty, które ocalą pana, jeśli już tego nie zrobiły. Musi pan polegać na nich oraz, mój młody przyjacielu, na drugiej osobie, która pokaże panu, jak poruszać się w naszym okrutnym świecie, z którego, niestety, tak niewiele pan rozumie. Tak przerażająco mało.

— Boże w niebiosach — powiedział, podnosząc na nią wzrok. Przez chwilę jej szczególny dobór słów przeraził go nie na żarty.

Uśmiechnęła się.

— No i co pan myśli? Co pan czuje? Proszę mi powiedzieć, co pańskie instynkty podpowiadają panu na temat tego, jak żyć. Jak powinien pan rozpocząć swój żywot, po raz pierwszy naprawdę.

Mówią mi, że bym się zabił, pomyślał Al. Jednak nie wypowiedział tego na głos. Milczał.

Drzwi zamknęły się. Lydia wyszła. Al pozostał na miejscu, zadowolony z odzyskanej

samotności i z tego, że sobie poszła. Po chwili jedne drzwi otworzyły się ponownie.

— Panie Miller — powiedziała — zauważyłam, że z tego pysznego samochodu zostały strzępy.

Co się stało?

— Odegrali się za mnie na samochodzie — odparł Al.

— Takie właśnie odniosłam wrażenie, jak spostrzegłam powybijane szyby i poszarpaną tapicerkę. — Weszła i usiadła przy biurku na wprost niego. — Zrobię dla pana chociaż tyle, że go kupię. Wiem, głównie z tego, co pan mówił, ile spodziewał się pan za niego dostać. Jakies dwa tysiące dolarów. Mam rację?

Miller pokiwał głową.

— W takim razie kupię go za taką kwotę. — Wyciągnęła książeczkę czekową i zaczęła skrupulatnie wypełniać piórem czek.

— Dobrze — przystał na to. Uśmiechnęła się, pisząc.

— Nie jest pani zaskoczona, że się zgadzam? — zapytał. Samego go to zaskoczyło, jego własna reakcja. Jego pogodzenie się z tym faktem. — Potrzebuję tych dwóch tysięcy — powiedział. Tak po prostu. Z dwoma tysiącami dolarów mógł uciec. Bez nich nie. Prawdopodobnie te dwa tysiące dolarów uratują życie jemu i jego żonie.

Kiedy tylko Lydia wyszła, pojechał do właściwego banku. Zrealizowali czek bez obiekcji — zamienił pieniądze na czeki podróżne i ruszył do mieszkania.

Zastał Julie w sypialni, pakującą swoje rzeczy do jednej z ich walizek.

— Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żebyśmy mogli wyjechać i zacząć wszystko od nowa — rzekł.

— Naprawdę? — zapytała chłodno, nie przerywając pakowania.

Usiadł na łóżku obok walizki i rozłożył na nim książeczkę z czekami podróżnymi.

— I dokąd nas zawieziesz? — zapytała Julie po dłuższej chwili.

— Wyruszymy — odparł — a potem podejmiemy decyzję.

— Teraz, zaraz? — Obserwowała, jak wyciąga drugą walizkę i zaczyna wkładać do niej swoje rzeczy.

— Wsiadamy do autobusu, jak się tylko spakujemy — odparł. Nic już nie powiedziała. Wróciła do pakowania. Uwijali się, ręka w rękę, aż zapakowali wszystkie praktyczne przedmioty do walizek.

— Kiedy cię nie było, ktoś jeszcze dzwonił. — Wskazała mu notes przy telefonie. — Zapisalam.

Ten mężczyzna prosił, żebyś zadzwonił tak szybko, jak to możliwe.

Był to domowy numer Harmana.

— Bardzo dziwnie mówił — powiedziała Julie. — Nie zrozumiałam połowy z tego. Na początku myślałam, że pomylił numery. Zachowywał się tak, jakby przemawiał do pracowników swojej firmy.

— Swojej organizacji — poprawił ją Al.

— Tak, wciąż powtarzał „wy wszyscy”.

— Jesteśmy gotowi — rzekł Al.

Julie podniosła swą walizkę i zaczęła iść w stronę drzwi.

— Aż mi się serce kraje, że to wszystko zostawiamy. — Zatrzymała się, żeby dotknąć popielniczki na ławie. — To zniknie, nim wrócimy. Już nie zobaczymy tych rzeczy.

— Czasami tak trzeba — powiedział Al.

Wciąż się ociągała.

— Podoba mi się w Bay Area.

— Wiem — odparł.

— Zrobiłeś coś naprawdę przerażającego, prawda? Wiedziałaś, kiedy tylko przyszedłam dzisiaj do domu. Czy ma to jakiś związek ze śmiercią Jima Fergessona? Myślałam o tym. Może starałeś się położyć łapę na jego pieniądzech. Nie wiem. — Pokręciła głową. — Nigdy mi niczego nie mówisz.

Myślę, że takie rzeczy zdarzają się codziennie. Nigdy go nie lubiłam. I tak naprawdę nie miał prawa do tych pieniędzy. Powtarzam to, co już mówiłam: życzyłam mu śmierci. Traktował cię podle. — Spojrzała na niego. Al podniósł swoją walizkę i ruszył do drzwi śladem żony, która wyszła już na korytarz.

\* \* \*

Woleli pojechać taksówką niż swoim samochodem. Na dworcu autobusowym linii Greyhound Al kupił dwa bilety do Sparks w Nevadzie. Godzinę później, którą spędzili w dworcowej poczekalni, jechali już piętrowym, klimatyzowanym autobusem autostradą numer 40 przez płaską dolinę Sacramento.

Był wczesny wieczór i nieco się ochłodziło. Pozostali pasażerowie albo drzemali, albo czytali, albo wyglądali przez okna. Julie należała do tych ostatnich i od czasu do czasu rzucała komentarz na temat mijanych pól i farm.

Było wciąż jasno, kiedy dotarli do Sacramento. Autobus j miał na tyle długi postój, że pasażerowie mogli zjeść kolację, po czym znów ruszyli. Teraz zapadł już zmrok. Greyhound zaczął się wspinać, pokonując coraz to bardziej zawile serpentyny starszej autostrady która wiodła z Sacramento w góry Sierra.

Większość pojazdów na trasie stanowiły duże ciężarówki. Al wyglądał przez okno i liczył przydrożne bary, zamknięte stoiska z owocami i stacje benzynowe. Pola zostały daleko w tyle.

— Ten krajobraz jest prawdziwie przygnębiający — skwitowała Julie. — Cieszę się, że nie można go wyraźnie zobaczyć. Ale żałuję, że nie widzimy gór Sierra.

— Jesteśmy w górach Sierra — powiedział Al. — Cały czas tak jest. Reklamy, szyldy i bary.

— A jak jest po drugiej stronie?

— Przekonamy się — odparł.

— Nieważne — powiedziała. — Przynajmniej mamy czyste powietrze.

W Sparks w stanie Nevada kupił bilety do Salt Lake City. Kilka godzin wałęsali się po mieście, które leżało blisko Reno i wyglądało na nowoczesne i zadbane. A później wyruszyli przez pustynię Nevada. Było wpół do czwartej rano.

Spali obydwój. Nie istniało nic poza autobusem, żadnych świateł ani śladów życia. Silnik ryczał bez przerwy.

Al obudził się, kiedy słońce już wstało. Zobaczył wokół siebie kamienisty krajobraz, wzgórza ze zwietrzałych, pokruszonych skał, mizerne szare rośliny i w miarę przemieszczania się rozrzucone ludzkie okruchy. Był kwadrans po ósmej. Zgodnie z rozkładem znajdowali się na granicy z Utah.

W Wendover autobus zatrzymał się, żeby pasażerowie mogli zjeść śniadanie. Był to ostatni postój w Nevadzie z ostatnimi automatami do gier hazardowych. Miasteczko leżało wzdłuż autostrady, rozciągając się pozbawioną roślinności, piaszczystą przestrzenią wokół każdego domu i sklepu. By rozprostować nogi, przeszli się z Julie wzdłuż miasteczka i wrócili do kafejki na kawę, gorące ciasteczka i bekon.

— Wydaje mi się, że wciąż jesteśmy w Kalifornii — powiedziała Julie, rozglądając się po kafejce. — Takie same boksy, taka sama kasa. Szafa grająca. — Wydawało się, że lokal został zbudowany wczoraj — wszystko było takie świeże i stylowe. — Jedyne różnica — stwierdziła — to inna gazeta. No i ten dziwny kurz na zewnątrz.

Kilku innych pasażerów też posilało się w lokalu, jakby w ogóle się nie bali, że kierowca ich tu zostawi.

— Zostaniemy na dłużej w Salt Lake City? — zapytała Julie.

— Może — powiedział. To miejsce wydawało się równie dobre jak każde inne. Przynajmniej z tego, co słyszał.

— To nawet podniecające — stwierdziła Julie. — Taka przygoda... nie wiemy, dokąd jedziemy, tylko naprzód, bez zatrzymywania się. Odcinamy się od przeszłości. Od rodzin. — Uśmiechnęła się do niego. Miała wymizerowane oblicze z braku snu i pogniecione ubranie. On też. I nieogoloną twarz.

Nagle opanowało go nieodparte przecucie. Salt Lake City było za dużym miastem. Na pewno mieli tam swego przedstawiciela.

— Myślę, że po dotarciu do Salt Lake City powinniśmy ruszyć dalej. — Wyciągnął mapę i zaczął rozważać możliwości. Musiało to być miasto na tyle niewielkie, żeby nie było w nim przedstawicielstwa organizacji Harmana, ale na tyle duże, by mógł dostać pracę lub rozpocząć działalność. Otworzę komis samochodowy, pomyślał. Pieniędzy wystarczy w sam raz, jeśli będzie dokonywał mądrych zakupów.

— Chciałabym zobaczyć Salt Lake City — powiedziała Julie. — Zawsze chciałam.

— Tak jak ja — odparł.

— Ale nie możemy? — Przypatrywała mu się.

— Nie — odpowiedział.

— I nie mam nic do powiedzenia?

— Lepiej zdaj się na mnie. Julie wróciła do posiłku. On też.

Po wyjściu z kafejki poszli wolnym krokiem w stronę zaparkowanego autobusu firmy Greyhound. Widzieli kierowcę, który na zewnątrz rozmawiał z dwiema kobietami w średnim wieku. Nie spieszyli się więc.

— To bardzo ładne miasteczko — powiedziała Julie. — Ale nic się tu nie dzieje. Widzieliśmy

już wszystko. To miejsce, by się zatrzymać, zjeść posiłek, naprawić samochód i zagrać ostatni raz na automatach. — Odwracając się w stronę Ala, spytała: — Czujesz się tu bezpieczniej? Pewnie nie. Nigdy nie poczujesz się bezpieczny. Masz to w genach.

— Co takiego? — zapytał.

— Wieczny konflikt. To coś, od czego uciekasz. Psychologowie mówią, że nosimy nasze problemy w sobie.

— Może i tak — zgodził się. — Nie miał ochoty na kłótnię. Podeszli do autobusu. Drzwi były otwarte i Al zaczął wchodzić po metalowych stopniach.

— Chyba nie dam rady tam wejść — powiedziała.

— Jak chcesz — odparł i zszedł z powrotem.

— W ogóle. — Nawet nie drgnęła, spojrzała mu w oczy. — Postanowiłam, że dalej nie jadę.

Myślę, że jest w tobie coś, czemu nie chcesz stawić czoła, zawsze tak było. I ciągniesz mnie za sobą. Jeśli wciągniesz mnie siłą do autobusu, zacznę krzyczeć i powstrzymają cię. Widzę patrol autostradowy, o tam. — Wskazała brodą.

Zobaczył radiowóz z wielką anteną.

— Masz zamiar zostać w Wendover? — zapytał zboląły.

— Nie. Pojadę pierwszym autobusem do Reno, zostanę przez kilka dni na zakupy i jeśli mi się spodoba, zostanę tam i dostanę rozwód w Nevadzie, no i oczywiście pracę. A jak mi się nie spodoba, wrócę do Oakland. I dostanę rozwód w Kalifornii.

— Za co?

— Nie dasz mi części pieniędzy?

Milczał. Pozostali pasażerowie, widząc ich przy autobusie, zaczęli się schodzić w obawie, że autobus odjedzie bez nich. Kierowca w najlepsze kontynuował rozmowę z kobietami w średnim wieku.

— Chcę, żebyś wrócił ze mną — powiedziała Julie. — Ale pewnie tego nie zrobisz, będziesz uciekał dalej.

Jęknął.

— Tak — stwierdziła. — Jęczysz, bo wiesz, że to prawda.

— Gówno prawda.

— Po prostu daj mi pieniądze. Nie musi być nawet połowa. Tylko, powiedzmy, pięćset dolarów.

Wiem, ile tam jest — zostanie ci prawie tysiąc pięćset. W świetle kalifornijskiego prawa majątkowego połowa jest moja. Ale co mi tam. Ja tylko chcę zakończyć tę... patologię. To całe...

— Przerwała w pół zdania.

Pasażerowie mijali ich i wsiadali do autobusu. Al powiedział:

— Muszę podpisać czeki podrózne, bo bez mojego podpisu nie będzie można ich wymienić.

— Dobrze — odparła.

Przyciskając papier do autobusu, podpisał czeki na pięćset dolarów. Dał żonie.

— Cóż — stwierdziła spokojnie. — Dałeś mi pięćset dolarów. Myślałam, że z własnej woli dasz mi połowę. Ale to nie ma większego znaczenia. — Łzy napłynęły jej do oczu. Zwróciła się do kierowcy, który podszedł już do pojazdu: — Chciałabym zabrać bagaż. Nie jadę dalej. Mogę pana prosić? — Wyciągnęła kwit bagażowy. Kierowca obrzucił ją z zaciekawionym spojrzeniem, później zmierzył wzrokiem Ala, po czym wziął od niej kwit.

Al wsiadł do autobusu i usiadł sam na ich miejscach. Poniżej, na zewnątrz, kierowca wyciągał walizkę Julie. Zatrzasnął metalowe drzwi luku bagażowego, po czym pospiesznie wsiadł do autobusu

i usiadł za kierownicą. Chwilę później zaryczał silnik, a z rury wydechowej buchnął szary dym. Spóźnialscy pasażerowie pospiesznie wsiadali i zajmowali miejsca.

Siedząc w autobusie, Al zobaczył, jak jego żona wchodzi z walizką do budynku linii autobusowej. Zamknęły się za nią drzwi. Po chwili zatrzasnęły się również drzwi autobusu i ruszyli w dalszą drogę.

Al poczuł się rozdarty, upiornie, bezsensownie rozdarty. Czy dalsza droga w ogóle miała teraz jakiegokolwiek znaczenie? Ale jechał dalej — podróżował samotnie do Salt Lake City, nie zastanawiając się, jaki będzie jego następny przystanek. Może tak jest lepiej, pomyślał. Że się rozstaliśmy. Przynajmniej nie dopadną nas oboje. Od samego początku pomysł zabrania Julie ze sobą był bezsensowny. Pomyślał: Nie można zmuszać ludzi do niczego. Nie mogę sprawić, by Julie robiła to, co ja chcę, tak samo jak Lydia Fergesson nie może mnie zmusić do wysłania kwiatów ani pójścia do kostnicy. Każde z nas ma własne życie do przeżycia, na dobre i na złe.

\* \* \*

Wielkie Słone Jezioro było niezwykle gorące, białe i niespokojne. Około południa autobus przejechał przez nie, docierając do żyznego zielonego regionu w Utah, z drzewami i niewielkimi jeziorkami — Al znów zobaczył krajobraz nie tak odmienny od kalifornijskiego. Na autostradzie zaczął się spory ruch. Przed sobą ujrzał pierwsze zabudowania wielkiego miasta.

Salt Lake City było równie zatłoczone i zabudowane jak Bay Area. Podobnie jak w Oakland, można tu było znaleźć mniejsze miasteczka, które przenikały się wzajemnie, tworząc całą aglomerację. Dzielnice mieszkalne i przemysłowe, myślał Al, wyglądając przez okno autobusu, są wszędzie takie same. Motele, sklepy wielobranżowe, stacje paliw, pralnie chemiczne, tanie sklepy... domy zostały tu pobudowane głównie z cegieł i kamieni, a jeśli już zdarzał się jakiś drewniany, to bardzo się wyróżniał nietypową konstrukcją. Ulice wyglądały na dobrze utrzymane i panował na nich codzienny rwetes. Widział wielu nastolatków w samochodach, zmodyfikowanych wehikułach, które widywał też, jak po całych dniach jeździły po San Pablo Avenue.

Doszedł do wniosku, że pod wieloma względami Salt Lake City jawi się jako idealne miasto do prowadzenia komisju samochodowego. Jeździli tu wszyscy i na ulicach widziało się mnóstwo starszych modeli.

Kiedy wysiadł z autobusu w centrum Salt Lake City, został zatrzymany przez dwóch policjantów w cywilu, którzy zaprowadzili go do budynku linii autobusowej.

— Czy pan Allen Miller z Oakland w stanie Kalifornia? — zapytał jeden z nich, pokazując odznakę.

Był tak zaskoczony, że od razu pokiwał głową.

— Mamy nakaz aresztowania pana — powiedział tajniak, pokazując mu złożony papier. — I polecenie odtransportowania z powrotem do stanu Kalifornia. — Zaczęli go konwojować między sobą w stronę zaparkowanego radiowozu.

— Ale za co? — zapytał stanowczo Al.

— Za oszustwo — odparł jeden z nich, wpychając go do samochodu. — Wyłudzenie pieniędzy.

— Jakich pieniędzy? — zaoponował Al. — Kto tak twierdzi?

— Poszkodowana złożyła skargę w hrabstwie Alameda w stanie Kalifornia, pani Lydia Fergesson. — Policjant uruchomił silnik i radiowóz włączył się w ruch uliczny Salt Lake City.

Tymczasem z tyłu wozu drugi policjant przeszukiwał Ala, który nie oponował. — Zostanie tu pan ze dwa dni i odeślemy pana z powrotem.

Al nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Zna pan tę panią Fergesson? — zapytał policjant, mrugając do drugiego.

— Jasne — odparł Al.

Po jakimś czasie jeden z policjantów zapytał:

— Czy to wdowa? Al odpowiedział:

— Tak.

— Gruba? W średnim wieku? Al milczał.

— Czym się pan zajmuje? — zapytał jeden z policjantów.

— Jestem sprzedawcą samochodów.

— Wysoko pan zaszedł w życiu — skwitował policjant i parsknął śmiechem.

\* \* \*

Szczegóły transportu ustalono na drugi dzień. Wraz z innym więźniem stanu Utah Al został odesłany do Kalifornii pod opieką zastępcy szeryfa — podróż odbyła się samolotem i po kilku godzinach od opuszczenia Salt Lake City wylądowali na lotnisku w Oakland. Tam odebrał ich radiowóz i zawiózł do Pałacu Sprawiedliwości.

Minęło ledwo dwa i pół dnia, odkąd razem z Julie rozpoczęli podróż. Ciekawe, gdzie ona teraz jest, myślał Al, siedząc na ławie w jednej z sal sądowych i czekając, aż postawią go w stan oskarżenia. Pojechała do Reno? Czy jest tam teraz? Dziwnie jest, pomyślał, po powrocie. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś zobaczy Oakland. Przez okno sali sądowej dostrzegał budynki urzędowe hrabstwa Alameda, a gdzieś tam, nie tak znowu daleko, choć nie było go widać, znajdowało się jezioro Merritt. Wielokrotnie pływał po nim w kanadyjce.

Powrót samolotem skrócił odległość. Nie zajechałem za daleko, doszedł do wniosku. To tylko kilka godzin stąd, przynajmniej dla tych, co latają. Nie przyszło mu do głowy, żeby polecieć samolotem. Pewnie między innymi o tym mówiła Lydia, pomyślał. Kiedy powiedziała, że tak kiepsko rozumiem ten świat.

Ktoś, najwidoczniej pracownik sądowy, podszedł do niego i poinformował, że powinien mieć adwokata.

— Dobra — odparł. Wszystko wydawało mu się zupełnie nierealne. — Będę miał.

— Chce pan zadzwonić?

— Może później — stwierdził Al. Nie miał pojęcia, do kogo mógłby zadzwonić. Żałował, że nie ma przy sobie tabletek.

A może ma — zaczął przetrząsać kieszenie — bezskutecznie. Nie, uświadomił sobie. Anacin został w drugiej parze spodni. A może policja go zabrała — przejrzeni wszystkie jego rzeczy. Może właśnie tak się stało, pomyślał. W jakiś sposób zostałem odcięty od moich pigulek.

Kiedy się ocknął z zamyślenia, w sali sądowej pojawił się łysy, niski mężczyzna o cudzoziemskim wyglądem, w dwurzędowym garniturze. Znam go, pomyślał Al. Może to mój adwokat. Ale zaraz sobie przypomniał. To prawnik Lydie, jak mu tam było.

Kilku pracowników sądu konferowało z nim przez chwilę, po czym przeprowadzono Ala z sali sądowej w głąb korytarza. Naprawdę znalazłem się w ich rękach, pomyślał. Prowadzą mnie, dokąd chcą. Policjant wskazał mu otwarte drzwi i Al wszedł do pomieszczenia, które wyglądało jak biuro.

Stały w nim stół i krzesła.

— Dzięki — powiedział do policjanta. Ale ten już zniknął za drzwiami.

Drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł, z aktówką w rękę, niski, łysy prawnik obcej narodowości reprezentujący Lydie. Poruszał się szybko, przydając sobie znaczenia, usiadł na wprost Ala i rozpiął aktówkę. Przez chwilę wpatrywał się w papiery, po czym podniósł wzrok.

Uśmiechnął się. Oni wszyscy się uśmiechają, pomyślał Al. Może dzięki temu można ich

rozpoznać.

— Nazywam się Boris Tsarnas — przedstawił się prawnik. — Spotkaliśmy się już.

— Taa — odparł Al.

— Pani Fergesson nie chciała się z panem widzieć, przynajmniej nie teraz. Jak się pan domyśla, reprezentuję ją w tej sprawie. — Jego głos ucichł do monotonnego bzyczenia. — Podobnie jak w innych sprawach dotyczących dóbr doczesnych jej zmarłego męża i tym podobnych. — Wpatrywał się w Ala tak długo, że ten poczuł niepokój. Mężczyzna miał inteligentne, przenikliwe, choć może nieco przymałe oczy. — Inwestycja — powiedział Tsarnas — była całkowicie legalna i czysta.

A więc to tak. To wyjaśniało wszystko. Al pokiwał głową.

— Zdobyliśmy i przejrzeliliśmy wszystkie wydruki operacji finansowych i wyciągi bankowe.

Zwrot inwestycji będzie prawdopodobnie bardzo wysoki — przynajmniej dziesięcioprocentowy, być może wyższy. Może nawet dwunastoprocentowy. Harman działał całkowicie bezinteresownie.

Nie miał żadnych udziałów w tym przedsięwzięciu, poza tym, że znał pana Bradforda i zmarłego pana Fergessona. Wychodzi na to, że postępował dokładnie, tak jak mówił — zaoferował swoją poradę przy inwestycji, zapewniając znaczne profity zmarłemu, a tym samym jego spadkobiercy, pani Fergesson. I tak jej też sprawę naświetliłem. — Tsarnas zamknął z trzaskiem aktówkę.

Odezwał się przyjacielskim tonem: — Pomyślałem sobie, że zechce pan wiedzieć. Wydawał się pan dość zaniepokojony wiarygodnością pana Harmana. Kiedy wstrzymaliśmy realizację czeku na prośbę pani Fergesson, pan Harman postanowił doprowadzić jednak sprawę do końca. To znaczy wypłacił panu Bradfordowi z własnych pieniędzy kwotę czterdziestu jeden tysięcy dolarów do czasu, aż zostanie wyjaśniona sprawa czeku. I tak zaryzykował sporo własnych pieniędzy, by mieć pewność, że zmarły, a tym samym wdowa, na tym nie stracą.

Po chwili Al zapytał:

— Czy Lydia wie o tym wszystkim?

— Kiedy tylko skończyliśmy przeglądać wyciągi finansowe, powiadomiliśmy ją o tym.

Inwestycja w Marin została bardzo dokładnie przemyślana w kręgach inwestycyjnych hrabstwa Marin. Wielu jej entuzjastów po drugiej stronie Zatoki i kilku z tej strony włożyło w nią swoje pieniądze.

Al spytał:

— A co to ma wspólnego z aresztowaniem mnie na jej polecenie?

— Wyłudził pan od pani Fergesson znaczną sumę pieniędzy. Utrzymawał pan, że chroniąc jej interesy, poniósł pan poważne straty finansowe, implikując, iż jest za to pośrednio odpowiedzialna, więc pospieszyła je wyrównać. Kiedy tylko powiedziała mi, co zrobiła, doradziłem jej, by wstrzymać realizację czeku. — Wzrok mężczyzny zatańczył po sali. — Ale z oczywistych względów od razu go pan zrealizował. Wtedy pani Fergesson poprosiła, żebym doradził jej, jakie ma podjąć dalsze kroki w tej sprawie. Jak się dowiedzieliśmy, opuścił pan Kalifornię, kiedy tylko pobrał pan pieniądze. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — W banku poinformowano nas, że zamienił pan dwa tysiące dolarów na czeki podróżne. Odkryliśmy też, że wraz z żoną spakował się pan i razem wyjechaliście. W istocie to ona się pakowała, a pan realizował czek. — Tsarnas wciąż uśmiechał się do Ala, jakby był jego najgorętszym orędownikiem.

— Kupiła ode mnie samochód — powiedział Al.

— Trzydziestoletniego wraka w kawałkach. Wartego nie więcej niż kilka dolarów na złomowisku.

To była prawda. Musiał to przyznać.



— Ale to oni zdemolowali mi wóz — poskarżył się.

— Jacy oni? — Na moment oczy Tsarnasa zapłonęły.

— Harman i jego bandziory.

— Bzdura. Tak pan jej powiedział. Policja złapała tych wandalów. Samochód został zdemolowany jeszcze przed śmiercią pana Fergessona przez młokosów, którzy od miesięcy grasowali w West Oakland.

— Młodociągnięci przestępcy — wyszeptał Al.

— Tak — odparł Tsarnas. Al powiedział:

— Harman kazał wyrzucić moją żonę z pracy.

— Pańska żona nie została wyrzucona — sprostował Tsarnas. Al wpatrywał się w niego intensywnie.

— Skoro było to takie ważne, choć zupełnie tego nie rozumiem, my — czyli organizacja Harmana — sprawdziliśmy to u pracodawcy pańskiej żony. Ona sama rzuciła pracę, proszę pana.

Powiedziała, że może to zrobić, skoro jej mąż ma przyzwoitą posesję i, jak mówiła, długo zastanawiała się nad tym posunięciem. Można się było tego spodziewać. Nie mieli pojęcia, dokąd ona czy też państwo mają zamiar się udać — po prostu rzuciła pracę i wyszła z biura. Czek z poborami zostanie do niej wysłany pocztą. Nawet nie chciała na niego poczekać. — Prawnik przypatrywał się Alowi. — Jak sądzę, był pan zainteresowany pieniędzmi Fergessona — kwotą narosłą po sprzedaży warsztatu. A może miał pan do niego żal za to, że go sprzedał? Po co zadawał pan sobie tyle trudu, by okpić panią Fergesson, wmawiając jej, że pan Harman ma nieczyste intencje, a później zadowolili się pan kwotą dwóch tysięcy zamiast...

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — przerwał mu Al. Przypomniał sobie treść zeznania.

Wydawało się, że właśnie tego chciał.

Tsarnas zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

— Pani Fergesson chce tylko odzyskać pieniądze. Nie chodzi jej o stawianie pana w stan oskarżenia. Czy ma pan pieniądze?

— Większość — odparł Al.

— Można to tak zaaranżować — kontynuował Tsarnas — że w przypadku pełnego zadośćuczynienia wycofamy skargę. Są jeszcze koszty aresztowania w Utah i transportu do Kalifornii, pewnie przedstawiciele obu stanów ustalą jakieś wspólne stanowisko. Nie wiem. Tak czy inaczej, jeśli jest pan skłonny i chce...

— Jestem — odparł Al. — Skłonny i chcę. Mogę sprzedać firmę i resztę samochodów. Żeby zdobyć pieniądze.

— Nie jest pan notowany? — zapytał Tsarnas. — Nie był pan oskarżony o malwersacje czy matactwa?

— Nigdy — odparł Al.

— Sam pan prowadził działalność? — dążył Tsarnas. — Pytam z ciekawości. Wiem, że pani Fergesson darzyła pana wielką sympatią, aż do chwili, kiedy uświadomiła sobie — a proszę sobie wyobrazić, że nie chciała tego przyjąć do wiadomości — że wyłudził pan od niej dwa tysiące dolarów. Mój Boże, czyż nie pracował pan z jej mężem od wielu lat?

— Tak — zgodził się Al. — Pracowałem wiele lat z jej mężem.

— I od tylu lat żywił pan do niego taką urażę? — dziwił się Tsarnas. — Która doszła do głosu zaraz po jego śmierci? Przecież dopiero co go skremowano.

— Jak było na ceremonii? — zapytał Al.

— Nie mogłem w niej uczestniczyć.

Nagle Al uświadomił sobie, że wciąż ma pięć dolarów, które Lydia dała mu na zakup kwiatów. Wciąż były w kieszeni jego koszuli — wyjął banknot i podał prawnikowi. Te pieniądze również od niej wyłudził.

— To należy do Lydie — powiedział.

Prawnik włożył pieniądze do koperty i schował do aktówki.

— Skąd wiedzieliście, dokąd pojechałem? — zapytał Al. — Skąd wiedzieliście, że jadę do Utah?

— Po drodze realizował pan czeki podróżne. Za każdym razem, kiedy zatrzymywaliście się na posiłek. I zapłacił pan czekiem w kasie biletowej Greyhound w Sparks. Zaraz potem wydano nakaz aresztowania pana i tamci powiadomili policję.

Al spytał:

— A co z moją żoną?

— Skontaktowała się z nami — wyjaśnił Tsarnas. — Z Reno. Zauważyła, że zachowuje się pan dziwnie, i bała się dalej z panem podróżować. Dlatego pod byle pretekstem wysiadła w jakimś małym miasteczku. W Wendover.

— Oczywiście, że zachowywałem się dziwnie — odparł Al. — Wszyscy byli przeciwko mnie. Spiskowali, by mnie zabić.

— Więc prawdopodobnie już wróciła — powiedział Tsarnas jakby do siebie, podnosząc się z miejsca. — Uważa, że potrzebuje pan opieki psychiatrycznej. Pewnie tak. Gdybym był pana adwokatem, poradziłbym panu, żeby zwrócił się pan o przyznanie okręgowej albo stanowej opieki medycznej. Z pewnością by ją pan otrzymał, bo prywatna służba zdrowia jest strasznie kosztowna.

— Harman mnie ściga — powiedział Al. — Przeciągnął wszystkich na swoją stronę. Jestem osaczony. Dlatego musiałem opuścić stan.

Przyglądając mu się bacznie, Tsarnas rzekł:

— Może uświadomi sobie pan fakty: pan Harman ma czystą sprawę przeciwko panu, gotową do złożenia w sądzie, gdyby naprawdę chciał pana ścigać, w co zdaje się pan gorąco wierzyć.

Szarganie jego dobrego imienia, nazywanie go przestępcą i oszustem przy świadkach. Można wykazać, że wpłynęło to niekorzystnie na jego interesy, na stan jego finansów, mam rację?

— Niby w czyjej obecności to powiedziałem? — W domu Harmana Al nie powiedział nic na jego temat, był tego pewien. — Kim jest ten świadek? — Stary, który słyszał te słowa, już nie żyje.

Tsarnas odparł:

— Pani Fergesson.

Była to prawda. Al pokiwał głową.

— Nie mam powodów, by przypuszczać, iż pan Harman rozważa podjęcie kroków prawnych przeciwko panu — mówił Tsarnas. — Wspominam o tym wyłącznie po to, by przywołać pana do rozumu, żeby posłuchał pan głosu rozsądku.

— Słucham głosu rozsądku — powiedział Al. — Cały czas.

— Czy żal i szok po śmierci pana Fergessona nie wytrąciły pana czasem z równowagi? — zapytał Tsarnas. — Czy pod taką emocjonalną presją nie zatracił pan zdolności oceny moralnych aspektów swego postępowania? Cóż, nie ma to znaczenia, bo jeśli będzie się pan odpowiednio zachowywał i będzie rozsądny, to i tak nie stanie pan przed sędzią. — Prawnik skinął głową na pożegnanie i wyszedł z pomieszczenia. Drzwi zamknęły się za nim.

Godzinę później powiedziano Alowi, że może sobie iść.

Wyszedł z Pałacu Sprawiedliwości i stanął na chodniku z rękami w kieszeniach wiatrówki.

Ale urządzili mi pokazówkę, powiedział do siebie w duchu, spoglądając na mijających go ludzi

i samochody, gęsty ruch z centrum Oakland pełen autobusów i taksówek. Pokazali mi, że mogą mnie zwinąć, kiedy tylko zechcą. I mogą wszystko przekręcić tak, jak będą chcieli — wybielić siebie i stłamsić mnie. Tak samo jak zdemolowali mojego marmona. I uświadomił sobie z całą mocą, że wszystkich w to wciągnęli, nawet jego żonę. Chociaż, dotarło do niego, ona o tym nie wie i nigdy się nie dowie.

A kto wie? — pytał się w myślach. Lydia Fergesson? Pewnie nie. Prawnik? Za bystry. Tak czy owak, nigdy się nie dowiem, czy wierzy w to, co robi, czy też traktuje to wszystko jako masę zwartego, dokładnie urobionego kitu. Policja? Im to wisi. To tylko maszyna, która wykonuje polecenie idące do niej po drutach, jak odkurzacz, który wciąga wszystko, co ma przed sobą, jeśli jest odpowiednich rozmiarów.

Harman wie, mówił Al do siebie. Tego nazwiska, pewnie jako jedyne, mogą być absolutnie pewien. Bob Ross nie wie, tak samo Knight, Gam ani żaden z pracowników Harmana, nawet pani Harman. Ale sam Chris Harman — na tym polega różnica między nim a nami. On wie, co w trawie piszczy — wie, o co w tym wszystkim chodzi. I ja wiem.

Z dłońmi w kieszeniach Al poszedł na przystanek autobusowy, żeby pojechać na przedmieścia do swojego mieszkania.

Żerują na słabych, myślał sobie. O to chodzi, chorych, tak jak w przypadku starego. Bezradnych, takich jak ja. Wdowach, takich jak Lydia Fergesson. I mają nas w garści. Nie możemy się nawet odgryźć, a sam język działa na naszą niekorzyść. Starannie dobrane słowa, które pozwalają im wyjaśnić całą sytuację, tak żeby u nich wszystko wyglądało dobrze, a u nas żeby leżało i kwiczało.

Żeby wyglądało fatalnie, żebyśmy się cieszyli, że w ogóle wypuścili nas z mamra, żebyśmy z westchnieniem ulgi spacerowali po chodniku.

Jak sądzę, zmuszą mnie do powrotu do komisju. Tam, gdzie byłem. Tam nikogo nie mogłem tknąć. Byłem na swoim miejscu, tak samo jak Tootie Dolittle.

Ale różnica między Tootiem i mną, uświadomił sobie Al, polega na tym, że Tootie znał granice — wiedział, jak daleko może się posunąć, zanim go zdepczą. A ja nie. Myślałem, że jak będę mówił tymi samymi słowami co Harman, Ross, Knight, Gam i wszyscy inni, to mnie też się uda.

Jak gdyby jedyną cechą odróżniającą mnie od nich był sposób mówienia.

Nadjechał żółty autobus Key System. Al wcisnął się wraz z innymi pasażerami do środka. Drzwi zasunęły się z szelestem i autobus ruszył. Al jechał do swego mieszkania w trzypiętrowym budynku, w którym mieszkali też McKeckneyowie i młoda meksykańska para. W miejscu, które było zarzewiem jego zmagania z rzeczywistością, życia w kłamstwie i zatargów z prawem.

Ciekawe, czy Julie jest w domu, zastanawiał się. Nie uśmiechał mu się powrót do pustego mieszkania.

Drzwi mieszkania nie były zamknięte na klucz, a kiedy je otworzył, usłyszał wewnątrz jakieś głosy. A więc jest w domu, pomyślał. Pchnął drzwi tak mocno, że się odbiły z hukiem od ściany.

Ale to nie była Julie. W salonie stał Bob Ross z fajką w zębach i przeglądał magazyn motoryzacyjny, który znalazł na stole. A w drugim pokoju znajdował się Chris Harman. Rozmawiał przez telefon.

Na widok Ala skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Wszedł do salonu i powiedział:

— Właśnie staramy się namierzyć twoją żonę.

— Rozumiem — rzekł Al. — Znalazłeś ją?

— Prawdopodobnie jest gdzieś w Nevadzie albo na kalifornijskim brzegu jeziora Tahoe. Może być w jednym z tych ośrodków, takich jak Harrahs Club — odparł Ross.

— Pojawi się — odezwał się Harman beztróskim, przyjaznym głosem i uśmiechnął się do Ala uśmiechem, który Al doskonale znał. — Pewnie spłukana, ale za to zadowolona, że wraca do domu.

— A co to ciebie obchodzi? — zapytał Al.

— Doznałeś w tym wszystkim wielu niepotrzebnych strat, Al. I ja osobiście pragnę, żeby zostały ci zrekompensowane — odrzekł Harman.

Stojący za jego plecami Ross odłożył magazyn i pokiwał głową.

— Jakie straty? — zapytał Al.

— Zostałeś upokorzony — wyjaśnił Harman. — To przede wszystkim. — Wykonał nieznaczny gest dłonią. Ross, widząc to, schylił głowę w progu i wyszedł na korytarz. — Dołączę do ciebie za jakieś piętnaście minut! — zawołał za nim Harman.

— Będę czekał w samochodzie — powiedział Ross i zamknął za sobą drzwi.

— Nikt mnie nie upokorzył — zaprotestował Al. — No pokaż mi niby w jaki sposób.

— Być może upokorzenie to niewłaściwe słowo. Przepraszam. Czasami zdarza mi się źle dobierać słowa, kiedy chcę wyrazić to, co czuję. Nie zasłużyłeś na to, co ci się przytrafiło, Al.

Wiesz to równie dobrze jak ja. Bob też jest tego świadomy. Właśnie wczoraj wieczorem rozmawialiśmy wszyscy na ten temat, po tym jak się dowiedzieliśmy, że zostałeś zatrzymany w Salt Lake City. Szczególnie moja żona, Bodo, uważa, że powinniśmy coś zrobić w twojej sprawie.

Skontaktowałem się z prawnikiem pani Fergesson... — Harman zamilkł na chwilę i wyszczerzył zęby w uśmiechu, który bardziej przypominał grymas. — To niesamowita osoba, ta Lydia.

Oczywiście nigdy wcześniej nie miałem przyjemności z nią rozmawiać. Aż do tej sprawy. Muszę przyznać, że nawet krótka rozmowa z nią jest intensywnym przeżyciem. Ale byłem prawdziwie zaskoczony, kiedy okazało się, jak wiele mamy wspólnych zainteresowań. Jest o wiele bardziej wykształcona, niż się wydaje przy pierwszym kontakcie. Kiedy człowiek pozna ją już na tyle, że ukazuje mu się jako zupełnie inna osoba, z niecierpliwością wyczekuje kolejnego spotkania.

Al pokiwał głową.

— Mogłaby prowadzić własny salon — kontynuował Harman — w każdym miejscu Europy.

Al znów pokiwał głową.

— Jaki jest twój stosunek do mnie? — zapytał Harman.

Al wzruszył ramionami.

— Chyba nie jest specjalnie wrogi? — upewniał się Harman. — Nie jest to na pewno uczucie, którego nie będziesz w stanie z czasem się wyzbyć. Chociaż, Bóg mi świadkiem, nie masz powodów, by traktować mnie jak wroga. Ale zapomnijmy o tym. Umysł to bardzo dziwny byt. — Zamyślił się. — Tak czy inaczej — mówił, krążąc po salonie — chcę cię zrehabilitować.

— Aha — mruknął Al.

— Uważam — mówił dalej Harman — że to mój obowiązek. Pod wieloma względami.

Niektórych z nich nie byłbyś w stanie pojąć.

Zamilkli obydwaj.

— Co masz na myśli, mówiąc „zrehabilitować”? — zapytał Al. — Masz zamiar wysłać mnie do psychiatry?

— Ależ skąd — odparł Harman. — Cóż to byłaby za rehabilitacja? Symboliczne środki publiczne polegające na ograniczeniu wolności pacjenta albo też wariacka freudowska religia, której jedynym celem jest wyłudzenie pieniędzy od neurotyczek. Mówię o przyzwoitej pracy, która przywróci ci szacunek dla samego siebie i godność. Poprzez ukierunkowanie twoich umiejętności.

Których masz mnóstwo — dodał. — Być może więcej, niż zdajesz sobie sprawę.

— Pracowałbym dla twojej organizacji? — zapytał Al. — Czy też masz zamiar szepnąć gdzieś za mną słówko?

— Szczerze mówiąc — odparł Harman, spoglądając mu prosto w oczy — chciałbym zatrzymać cię u siebie. Ale jeśli ci się to nie uśmiecha... — Wzruszył ramionami wciąż z uśmiechem na ustach. — Nie będę nalegał. Dopilnuję, żebyś zaczepił się gdzieś indziej. — Zerknął na zegarek.

— Spieszysz się dokądś? — zapytał Al.

— Tak, muszę za chwilę iść. Śmierć Jima była strasznym ciosem dla nas wszystkich. Boże, był taki... — Harman zamachał rękami. — Taki pełen życia. Ożywiony. Wrócił mu dawny animusz.

Tak jak wtedy, kiedy zacząłem przywozić do niego samochody. Tryskał humorem.

— Cały stary Jim — powiedział Al.

— Jakby — ciągnął Harman — to, co w nim zostało... jak by to powiedzieć? Gotowało się w oka mgnieniu. I to go właśnie wyczerpało. Po tym już nic nie zostało.

— To naprawdę smutne — stwierdził Al. — I jednocześnie skłania do refleksji.

— Przemyślisz to sobie? — zapytał Harman. — Zapominamy i wracamy do punktu wyjścia?

Znaczy podejmujesz pracę?

— O tak — odparł Al. — Jasne.

— Grzeczny chłopak — powiedział Harman. — Wiesz, Al, zawsze trzeba mieć spróbować jeszcze raz. Jak się człowiek tego nauczy, to wygrał. Jeśli jest w stanie odłożyć na bok wszelkie animozje i wrócić. Wracać, za każdym razem wracać, nigdy nie przestawać. Cóż, tak do tego podchodzę, Al. Nic w życiu nie jest tak ważne. Nawet śmierć. Rozumiesz?

Pokiwał głową.

Harman wyciągnął dłoń, którą Al uściśnął. Następnie Harman otworzył drzwi na korytarz, pomachał gospodarzowi, posłał mu zdawkowy, oficjalny uśmiech i wyszedł. Ale w tej samej chwili, niemal natychmiast, drzwi ponownie się uchyliły i Harman zajrzał do środka.

— Mam nadzieję, że nie masz do mnie żadnych poważnych żalów, Al? — zapytał ostrym głosem.

— Nie — odparł Al.

Harman pokiwał głową i zamknął drzwi. Tym razem zniknął na dobre.

Przez dłuższą chwilę Al stał w oknie pustego mieszkania i spoglądał na ulicę. Julie nie wróciła, minęła już szósta, a jemu zaczął poważnie doskwierać głód. Poszedł do kuchni i coś tam próbował wyczyniać z naczyniami i puszkami, ale nic mu z tego nie wyszło. Napisał więc kartkę do Julie i wyszedł z domu.

Kiedy stanął na zaciemnionej ulicy, spostrzegł jakiś kształt poruszający się w cieniu, podskakujący w górę i w dół. Z początku pomyślał, że to jakieś zwierze. Ale był to Earl McKeckney,

zajęty czymś i poruszający się cicho jak zwykle. Chłopak uniósł głowę, kiedy Al go mijał. Spojrzeli na siebie bez słowa, po czym Al poszedł dalej chodnikiem, z rękami w kieszeniach.

Jakiś hałas sprawił, że zatrzymał się na rogu. Za jego plecami Earl McKeckney biegł tyłem ile sił w nogach. Nie wpadał na nic, a jedynie się uchylał, kiedy na jego drodze wyrastały słupy telefoniczne i mury. Dotarł do Ala, zatańczył wokół niego i ruszył dalej, wciąż tyłem, unikając wszelkich przeszkód po drodze.

— Ej — zawołał Al. — Jak ty to robisz? — Myślał, że może mały zapamiętał wszystkie rzeczy znajdujące się na drodze.

Nie zatrzymując się nawet, Earl odkrzyknął:

— Mam swój pierścień. — Uniósł dłoń. Na palcu miał pierścień z kawałkiem lustra. — To mój peryskopowy pierścień Kapitana Zero. — Ze wzrokiem utkwionym w lusterku, zwrócony twarzą do Ala, chłopak pobiegł dalej, nabierając prędkości i znikając w końcu w ciemnościach.

Naprawdę dziwne, pomyślał Al. Nic z tego nie rozumiem.

Szedł dalej, aż dotarł do włoskiej restauracji, w której często jadali z Julie. Nie było jej tam, ale i tak wszedł do środka i zamówił kolację.

Po posiłku włóczył się przez jakiś czas spowitymi wieczornym mrokiem ulicami. A później skręcił w stronę mieszkania Tootiego Dolittle'a.

\* \* \*

— Cześć — rzucił, kiedy Tootie wpuścił go do środka. Rodzina Dolittle wciąż siedziała przy kolacji — Al widział nakryty stół, naczynia i sztuce. Odciągnął Tootiego na bok i powiedział: — Słuchaj, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Żebyś coś dla mnie załatwił. — Chciał, żeby Tootie zorganizował mu broń.

— A... takie buty? — mruknął Tootie. — Chodzi o to, cośmy o tym rozmawiali, że powinieneś mieć?

— No właśnie — odparł Al.

Zerkając na żonę, Tootie powiedział cicho:

— Zawsze możesz wejść do żelaznego i sobie kupić, stary.

— Aha.

— Tylko że wtedy będzie zapisany na ciebie, a sam wiesz, co oni potrafią wyczytać z kul. — Głos Tootiego stał się niemal niesłyszalny. — A tobie chodzi o gnata, którego ktoś gdzieś znalazł i nikt go nie kupował.

— Tak — zgodził się Al.

— Bo ja wiem — mruknął znowu Tootie. — No chodź, dostaniesz kolację. — Popchnął Ala w stronę stołu.

— Jak się masz, Al? — zapytała Mary Ellen Dolittle, kiedy już usiadł za stołem. — Witaj i zjedz z nami, proszę.

— Cześć — przywitał się Al. — I dzięki.

Dostał trochę klusek i pieczeni jagnięcej. Tootie już zdążył położyć przed nim talerz, serwetkę, plastikową filiżankę i spodek. Al zadziwiony wpatrywał się w te przedmioty. Zmaterializowały się przed nim z powietrza.

— Wyglądasz na naprawdę zmęczonego — powiedziała współczująco Mary Ellen. — Chyba nigdy nie widziałam cię w takim stanie, Al.

— Wciąż cię szukają? — spytał Tootie.

— Nie — odparł Al.

— Dali za wygraną?

— Nie. Dopadli mnie.

Oczy Tootiego najpierw się rozszerzyły, po czym zmrużyły.

— No to ciebie tu nie ma. Nie żyjesz.

Al nic nie powiedział, tylko zabrał się do klusek z pieczenia.

— Chciałabym zapytać — odezwała się Mary Ellen — o co tu chodzi. Ale wiem, że żaden z was, chłopcy, mi nie powie, więc będę musiała sama się zamartwiać. Al, masz zamiar tak się miotać do końca życia? Nie zmieniłeś się po tym, jak dostałeś tę wspaniałą pracę, o której tyle słyszałam?

— Czekala, ale nie doczekała się odpowiedzi. — Nie — odpowiedziała sama sobie. — Nie zmieniłeś się.

— Al już i tak nie ma tej roboty — wyjaśnił Tootie — więc daj mu spokój.

— Cóż, panie Miller, niech pan dokończy kolację i sobie idzie — powiedziała Mary Ellen.

Spojrzał na nią. Była śmiertelnie poważna.

— Naprawdę tak myśli — stwierdził Tootie. — Dała sobie z tobą spokój. Często widziałem, jak odrzucała ludzi, ale teraz jestem naprawdę zdziwiony. Czy tak postępuje osoba wierząca? Żeby człowieka tak po prostu wyrzucić? No to do diabła z tym wszystkim i z całą tą religią Wujaszka Toma, w którą jesteś tak zapatrzona. — Tootie mówił coraz głośniejszym głosem i wydawało się, że od jego głosu aż drżą naczynia. Mary Ellen skurczyła się cała, ale nie starała się mu przerywać. — Mam cię po dziurki w nosie! — darł się na nią Tootie. — Jesteś beznadziejna. Wynoś się stąd, słyszałaś? No, słyszałaś, co powiedziałem?! — krzyczał jej prosto w twarz, aż w końcu podniosła się z miejsca. — No dalej! — wydarł się i skoczył na równe nogi. — Wynoś się i nie wracaj! — Następnie opadł na krzesło. Chwycił filiżankę z kawą, ścisnął ją swymi czarnymi palcami i szurnął po blacie, aż potoczyła się po podłodze i rozbiła o ścianę. Na murze pojawiły się strużki kawy do wysokości obrazu Jezusa, który, jak Al pamiętał, wisiał tam, od kiedy on tu przychodził.

— Skończyłeś? — zapytała po chwili Mary Ellen.

— Co ty w ogóle wiesz o Alu? — spytał retorycznie Tootie. — Nic. — Na jego twarzy zagościła surowa, posępna mina. Kręcił głową. — Zupełnie nic.

— Nie chciałem być przyczyną awantury — powiedział Al, wracając do posiłku. Wstrząsnęło nim to, że Mary Ellen kazała mu wyjść — nie był w stanie na nią spojrzeć. Ale teraz podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Może źle zrobiłam — powiedziała. Palce tej prostolinijnej kobiety gładziły Ala. — Posłuchaj, Al — rzekła, przyciągając do niego krzesło. Usiadła tak blisko, że kolanami dotykała szczebli jego krzesła. — Rozumiem, o co chodziło Tootiemu, i zobaczyłam to, kiedy tylko do nas przyszedłeś.

Widać to po nim — zwróciła się do męża. — Jest to w nim i wokół niego.

— Co zobaczyłaś? — zapytał Al.

— Że wkrótce umrzesz — odparła Mary Ellen.

— Aha.

— Nawet się tym nie przejmujesz — zauważyła Mary Ellen łagodnie.

— Nie — zgodził się.

— Zrób coś — poprosiła Mary Ellen.

Wrócił do jedzenia. Kiedy skończył, wstał od stołu.

— No i co będzie z nami? — zapytał Tootiego.

Wciąż zatopiony w ponurych rozważaniach Tootie splatał i rozplatał palce.

— Eee tam.

— Naprawdę? — spytał Al. — Nie załatwisz tego dla mnie?

— Eee tam — powtórzył Tootie.

— No to na razie — pożegnał się Al.

— Powiem ci dlaczego — powiedział Tootie. — Wydaje ci się, że potrzebujesz spluwy, żeby się na nich odegrać. Ale kiedy tylko dostaniesz to w łapy... — Wpatrywał się w resztki filiżanki i ślady po kawie. — Wtedy przystawisz ją sobie do tego pustego łąba i odstrzelisz się sam. Teraz tego nie wiesz. Nie chcesz się do tego przyznać czy sobie tego uświadomić. Ale to prawda.

Naprawdę? — zastanowił się Al. Może i tak.

— Nie widzieliście się z moją żoną? — zapytał. — Nie wpadła tutaj?

— Nie — odparła Mary Ellen. — Nie wiesz, gdzie jest? Tootie mruknął:

— Zostawiła cię, stary?

— Może — odparł Al.

— Jesteś jak Humpty Dumpty. Jak taka wańka-wstańka. — Stwierdził Tootie. — Tak sobie stoisz, a wszystko wali ci się na łeb. A ty tylko się kiwasz i na to patrzysz. Więc teraz jeszcze nie masz żony. A miło jest spotkać porządną kobietę.

— Może powinieneś jej poszukać — zaproponowała Mary Ellen.

— Zjechałem Mary Ellen, bo poprosiła cię, żebyś wyszedł. Ale teraz myślę, że miała rację.

Powinieneś już iść. Powinieneś iść i coś z sobą zrobić. A potem wróc, to sobie posiedzimy. Zgoda?

— rzekł Tootie.

Al włożył kurtkę i wyszedł. Obydwoje patrzyli, jak zamyka za sobą drzwi.

\* \* \*

Stanął przy szczątkach marmona i kopnął cylinder, który kiedyś stanowił część zapłonu.

Większość parkingu spowijały ciemności, choć neon kafejki po drugiej stronie ulicy dawał na tyle dużo światła, że Al mógł stwierdzić to, co już i tak wiedział — nie ma szans, żeby przywrócić marmona do dawnego stanu. Ktokolwiek dokonał tych zniszczeń, znał się na rzeczy. Groteskowa myśl kołatała mu się w głowie — nie będzie można go naprawić, nie wkładając w to kilku miesięcy pracy, po czym i tak będzie to już bez znaczenia. Wyobraził sobie, jak jedzie rozpadającym się marmonem po autostradzie późno w nocy, kiedy prawie nie ma ruchu. Aż do mostu Richmond, gdzie rozpędza się do stu mil na godzinę i wjeżdża z całym impetem w stalowo-żelbetowe przesłło, przebija je i wpada do wody. Ale teraz było to niemożliwe, a poza tym była to jedynie fantazja, marzenie o własnej śmierci.

Karawan, pomyślał. Przez cały czas, przez te wszystkie miesiące — czy właśnie do tego zadania go remontowałem? Czarny, wielki, ciężki, cichy karawan pędzący przez opustoszałe ulice ze mną w środku. Leżę z tyłu, ze splecionymi dłońmi i otwartymi oczami. Język pewnie wystawałby odrobinę, sztywny, opuchnięty, chyba że grabarz wepchnąłby mi go do ust albo nieco przyciął. Z

wyciągniętym ozorem dałbym się wozic po ulicach, pokazywałbym im język nawet po śmierci.

Tym skurwysynom.

A później pojawiło się kolejne marzenie, kolejna wizja — była tak wyraźna, że Al od razu zaczął ją realizować. Bez wahania. Pobiegł do swojego domku, otworzył drzwi i zaczął poszukiwania, aż natrafił na papierową torbę po lunchu. Wyniósł ją na zewnątrz, nachylił się i zaczął zgarniać piasek z parkingu. Rozsypał go tu, żeby wsiąkał weń olej ze stojących samochodów. Zgarniał piach rękami, tworząc kopczyk, a następnie przesypał go do papierowej torby.

Może uda mi się załatwić oba, pomyślał, mercedesa i cadillaca. Chyba że, zastanowił się, mają zamykany wlew paliwa. Nie pamiętał.

Kiedy tak stał na skraju parkingu z papierową torbą w ręku i starał się przypomnieć sobie, czy



samochody mają zamek na wlewie paliwa czy nie, usłyszał dźwięk klaksonu. Odwrócił się i zobaczył starego, ale wypolerowanego cadillaca przy krawężniku. Wóz zatrzymał się i kierowca obserwował Ala — w świetle lamp ulicznych Al widział jego oczy.

Kierowca opuścił szybę i zawołał w jego kierunku:

— Cześć!

Kobieta. Przez chwilę Al myślał, że to jego żona — aż podskoczył i ruszył w jej stronę. Ale to nie była Julie i wiedział o tym. Była to pani Lane. Mimo to wciąż szedł w stronę samochodu, choć może nieco wolniej, z torbą piasku w ręce.

Stał na chodniku bez słowa.

— Witam pana, panie Miller — powiedziała pani Lane, ukazując w uśmiechu złote elementy na zębach — zalśniły trefl i karo. — Co pan robi w tych ciemnościach? Wygląda pan, jakby szukał czegoś, co pan upuścił.

Nie odezwał się.

— Chce pan, żebym wjechała na parking, żeby lepiej go oświetlić? — zapytała.

— Nie — odparł. — Dziękuję.

— No niech pan tylko zobaczy, co ja najlepszego robię — powiedziała, wciąż wychylając się w jego stronę. Teraz dotarł do niego zapach jej perfum — był tak intensywny, że dobywał się z samochodu i owiewał Ala stojącego obok. — Proszę, pokażę panu. — Wyłączyła silnik, przekreśliła się na fotelu, otworzyła drzwi od strony Ala i wysiadła z wozu. Miała na sobie sukienkę z dzianiny, kapelusz i buty na obcasach — była wystrojona, jakby się wybierała na przyjęcie. — No niech pan powie, dobrze wyglądam? — zapytała.

— Tak — zgodził się. Nigdy nie widział jej tak wymuskaniej i eleganckiej. Jej włosy, skóra, oczy

— wszystko lśniło. Z biżuterii miała na sobie jedynie broszę przy kołnierzyku.

— Byłam na diecie — mówiła. — Nie mam na sobie nawet, proszę wybaczyć, pasa wyszczuplającego. — Poklepała się po brzuchu. — Płaska jak deska — powiedziała. — Jak stół. Po tych wszystkich latach. Jestem szczuplejsza niż te wszystkie młódki, które się garbią i opychają lodami na patyku. — Zaśmiała się. Obracając się w świetle latarni, unaoczniała Alowi, nie trzeba było tego komentować, że nie ma też na sobie stanika. — Chodzi o to — stwierdziła — że nie muszę niczego wkładać pod spód. — Uniosła ramiona i podskoczyła dwa razy.

— To zupełnie niepotrzebne — zgodził się Al.

— Miau! — mruknęła, błyskając oczami.

— Gdzie pani mąż? — zapytał.

— A, ten — westchnęła. — Pojechał. Jest budowlańcem. Do hrabstwa Shasta, tam teraz trwają wielkie państwowe budowy. Wróci za tydzień. A ja wybieram się na ubaw. — W jej głosie słychać było wyraźną nutę radości. — Do widzenia — powiedziała, otwierając drzwi auta. — Muszę lecieć.

Zatrzymałam się, bo widziałam, że pan tu jest, i chciałam się pokazać. Niecodziennie nadarza się taka okazja.

— Wygląda pani świetnie — powtórzył.

— Panie Miller, mówi to pan takim smutnym głosem. Gdzie się podziały pana żarty i ironiczne poczucie humoru?

Wzruszył ramionami.

— Znikły bez śladu — stwierdziła pani Lane, przyglądając mu się uważnie. — O to chodzi? Słyszałam o panu Fergessonie. Dokąd pan teraz pójdzie? Co pan robi?

— Szukam żony — powiedział.

— Ona też zniknęła? Wszyscy znikają? Zdaje się, że nikt pana nie chce. Bez żony, bez przyjaciół, bez pracy. Wpadł pan po uszy. Jak się pan znalazł na tym torze, panie Miller? Życie pod pewnymi względami stawia nas na rozdrożach. Jednego dnia człowiek ma wszystko, a drugiego nic.

A co pan zrobił między jednym i drugim? Jak na to patrzę, to nic a nic. Czasami zastanawia się pan tylko, czy ci, co chodzą do kościoła, nie mają przypadkiem racji. Ale ja nigdy nie chodzę do kościoła i w nic nie wierzę. Już to przechodziłam i jest tak samo z tym czy bez tego. Myślę, że musiałyby nam kompletnie odbić, gdybyśmy chcieli do tego wracać, chociaż może nawet byśmy bardzo chcieli, jak inni.

Pokiwał głową.

— Co jest w tej torbie? — zapytała.

Nie wiedział, o co jej chodzi. Rozejrzał się wokół.

— Trzyma ją pan w ręku — wyjaśniła pani Lane. Pokazał jej.

— Piasek — stwierdziła, zaglądając do środka. — Zbiera pan piasek jak mały chłopiec. — Odebrała mu torebkę i postawiła na dachu jednego z samochodów. — I tylko tyle pan z tego wyniósł? W pańskim wieku, mając trzydzieści kilka lat? Nic dziwnego, że nie tryska pan humorem.

A ja muszę jechać na ubaw. Wsiądę do samochodu i zostawię tutaj pana. I może nawet zabiorę panu torbę z piaskiem. Zła byłaby ze mnie kobieta, gdybym tak postąpiła. Naprawdę zła — już widzę, jak się zaśmiewam do rozpuku. Jak naprawdę zła kobieta.

— W porządku — powiedział. — I tak się donikąd nie wybierałem. Dajmy sobie spokój.

— Przecież nie zazdrości mi pan, że jadę na ubaw. Ja wiem, panie Miller. — Po chwili wyciągnęła rękę i złapała go za nadgarstek. — Chyba jednak pana z sobą zabiorę — uznała.

— Dokąd? — zapytał.

— Nie, nie na ten ubaw, na który miałam jechać. Zabiorę pana do siebie do domu. — Pociągnęła go w stronę samochodu. Posłusznie ruszył za nią. Otworzyła drzwi, posadziła go na fotelu, po czym obeszła wóz dookoła i zajęła miejsce za kierownicą. — Ja prowadzę — powiedziała do Ala. — Bo ja wiem dokąd... — Włączyła silnik.

Wyciągnął ramiona i objął ją.

— Tak — stwierdziła. — Naprawdę wyglądam dzisiaj oszałamiająco. Myślę, że nie wyglądałam tak nawet piętnaście lat temu. — Przyciągnęła Ala, przytulając go do ramienia, i poklepała po głowie. Następnie wrzuciła bieg i ruszyła, prowadząc auto wolną lewą ręką. — Dobrze, że mam automatyczną skrzynię biegów — zauważyła — bo inaczej, zmieniając biegi, mogłabym kogoś potrącić.

Wkrótce rozpoczęli podróż po ulicach, których Al nie widział nigdy w życiu. Ulicach, których nie znał.

— Jeszcze nikogo w życiu nie potrąciłam — powiedziała pani Lane.



# Spis treści

<a href="#">1. 3</a>
<a href="#">2. 8</a>
<a href="#">3. 14</a>
<a href="#">4. 23</a>
<a href="#">5. 32</a>
<a href="#">6. 37</a>
<a href="#">7. 48</a>
<a href="#">8. 56</a>
<a href="#">9. 63</a>
<a href="#">10. 74</a>
<a href="#">11. 83</a>
<a href="#">12. 92</a>
<a href="#">13. 102</a>
<a href="#">14. 111</a>
<a href="#">15. 120</a>
<a href="#">16. 128</a>